WIRUS I SENIORZY
Bez dostępu do sieci, z dostępem do serc

WSPÓLNOTA WIERNYCH
Biskup Bergamo opowiada o chwili próby

HANIA RANI
Posłuchajcie mnie w domu

BYŁ SOBIE ŚNIEG
Bałwan, kulig, sanna i inne rozkosze

Kraków 29 marca 2020 nr 13 (3690) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

75 TYGODNIK POWSZECHNY

SUWERENNI DZIĘKI CZYTELNIKOM

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

BOGDAN DE BARBARO

Jak być razem w czasie epidemii

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY

Chcesz otrzymać wydanie „Tygodnika” na Wielkanoc

– zamów prenumeratę!

Zapraszamy Was do lektury wydania wielkanocnego „Tygodnika Powszechnego”. Niezmiennie od 75 lat jesteśmy wtedy w Waszych domach, dzielimy z Wami kwestie najważniejsze, te mniej ważne, albo i z pozoru błahe, ale dające nam wszystkim nadzieję. Tak, to będą święta inne niż wszystkie, które przeżyliśmy razem dotychczas. W czasie oddalenia tym bardziej potrzebujemy wzajemnej bliskości, również bliskości Boga. Szukaliśmy jej dla Was w tekstach numeru na Wielkanoc.

W tym roku wszyscy stajemy przed wyzwaniem, jakie postawił przed nami kryzys epidemiczny. Ze względu na to nie wiemy, ile punktów z prasą będzie czynnych oraz jak będą pracowali dystrybutorzy. Pewne jest, że **wydrukujemy „Tygodnik” i dostarczymy go naszym Prenumeratorkom i Prenumeratorom do domu.**

Zespół „Tygodnika Powszechnego”

Co zyskujesz? Zobacz szczegóły promocji wielkanocnej pod adresem:

powszech.net/tygodnikwdomu

UWAGA! Aby mieć pewność rozpoczęcia prenumeraty na czas – złóż zamówienie przed 5 kwietnia 2020!

Kontakt w sprawie prenumeraty:
Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 668 479 075 lub e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl – wydania drukowane
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 lub e-mail: kontakt@powszechswiat.pl – wydania cyfrowe

Regulamin prenumeraty i promocji na **powszech.net/regulamin**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Jak to będzie*

A kiedy już słoneczko wysuszy koronawirusa, a biotechnologiczna firma Medicago (współwłaścicielem jest koncern tytoniowy Philip Morris International) wyprodukuje szczepionkę na COVID-19 (w której przeciwciała pozyskano z liści tytoniu!), kiedy niebo znów zapełnią samoloty, kiedy ruszą fabryki i ludzkość znów będzie mogła pełną piersią wdychać CO_2, a drogi zapełnią się kopcącymi automobilami, kiedy galerie, kina, teatry i sklepy (te, które przetrwają) znów otworzą podwoje, wtedy my wszyscy, głęboko przemienieni czasem zarazy, będziemy się witać (i przekazywać sobie znak pokoju) jak Japończycy: ukłonem i pozostaniemy z nawykiem mycia rąk, od kciuka po nadgarstki. Tylko nieliczni będą się udawać do miejsc pracy, bo praca zdalna okaże się dla firm tańsza, a pracujący lud nie będzie wstawał bladym świtem, chyba że musi, bo pracuje fizycznie. Szkolna dziatwa i nauczyciele nie będą musieli chodzić do szkoły, bo ministerstwo oświaty przygotuje (już przygotowało!) system zdalnego nauczania i uruchomi zaawansowaną platformę e-learningową. Zajęcia prowadzone na sześciu (potem na szesnastu) kanałach komunikacji tak wypełnią dziatwie czas, że na głupstwa już im go nie zostanie. Nauczyciele stale będą w pogotowiu, bo pytania do nich będzie można kierować przez e-dziennik całą dobę. Jeśli uczniowie nie mają komputera (w niektórych szkołach nie ma ich nawet 64 proc.), materiały ze szkoły będą dostawali pocztą albo przez kuriera (opłacanego przez samorządy).

Nie wszystko jest do przewidzenia. Nie wiadomo np., czy kupimy tanie T-shirty i podzespoły do różnych urządzeń w krajach o taniej sile roboczej. Doświadczenie z tego czasu może się okazać bodźcem do podjęcia produkcji wszystkiego u siebie. Polskie T-shirty będą droższe od wyprodukowanych przez dzieci w Bangladeszu, ale za to będą.

Zobaczymy, jak będzie z kościołami. Czy stęskniony za pasterzami lud boży tłumnie wróci do świątyń, które opuścił na czas narodowej kwarantanny za namową swoich pasterzy? Czy urok mszy w telewizorze, podczas których można na czas kazania czy listu pasterskiego wyłączyć głos, nie okaże się tak wielki, że nikomu nie będzie spieszno do fizycznej obecności w kościele? W każdym razie media nie zastąpią obecności na chrzcie, ślubie i pogrzebie oraz innych wydarzeniach sprawowanych tylko – jak w kościelnym żargonie mówimy – *corpo presente*. Być może wejdzie na stałe (ku ubolewaniu tradycjonalistów) praktyka przyjmowania komunii na rękę i... (ku zadowoleniu tychże) znaku pokoju przez kiwanie głową.

Niewiadomych jest wiele. Czy Chińczycy i Amerykanie dogadają się co do tego, kto komu przyniósł koronawirusa? Czy nasz kraj był dobrze na epidemię przygotowany, a jeśli nie był, to czy z winy Tuska? Przewiduję też spór o wpływ na bieg wydarzeń charyzmatu pana prezydenta.

Dziś na wiele niepokojących pytań nie mamy odpowiedzi. O los tych, których czas kwarantanny doprowadził do zapaści finansowej, o stan psychiczny ludzi, czasem sobie bliskich, skazanych na przebywanie razem 24 godziny na dobę, o antyszczepionkowców – czy się przekonają do szczepionek, o warunki w domach opieki w czasie zarazy. Byleśmy nie chcieli stawiać pomnika służbie zdrowia. Tak, ona zasługuje na łuk triumfalny. Ale pomnik niczego nie zmieni. Pomnikiem będą takie struktury i finanse, że będzie mogła spokojnie wyjść na spotkanie każdego kolejnego koronawirusa. ©℗

Przyjaciele!

Szczególnie w tym roku, naszego 75-lecia, prosimy o przekazanie nam 1% w rozliczeniu rocznym, a także o darowizny – aby „Tygodnik" mógł trwać kolejne 75 lat, tak jak do tej pory, niezależnie od okoliczności.

ks. Adam Boniecki

TYGODNIK POWSZECHNY

1%

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

a w rubryce Cel szczegółowy 1%: TP75

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

OGŁOSZENIE OPP

W NUMERZE:

22 Nadciśnienie
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Niemal dziesięciomilionowa grupa polskich seniorów trafia na trudny czas: groźba choroby nakłada się na schorzenia już istniejące, lęk przed zakażeniem na już i tak częste lęki, przymusowa alienacja – na powszechne osamotnienie.

32 Świat w stłuczonym lustrze
EDWARD AUGUSTYN, ARTUR SPORNIAK
Kościół katolicki też przeżywa trzęsienie ziemi. I zaczyna zdawać sobie sprawę, że stan nadzwyczajny może potrwać miesiące.

58 Spłaszczyć krzywą
MICHAŁ ECKSTEIN
Gdy jedni naukowcy pracują nad lekiem i szczepionką na wirusa SARS-CoV-2, inni próbują zrozumieć, jak ograniczyć jego ekspansję. Co podpowiadają nam modele matematyczne?

42 Superwirus w supermocarstwie
MARTA ZDZIEBORSKA Z KALIFORNII
Do niedawna Amerykanie wierzyli, że epidemia to problem reszty świata. Dziś przygotowują się na najgorsze.

62 Posłuchajcie mnie w domu
ROZMOWA Z HANIĄ RANI, PIANISTKĄ I KOMPOZYTORKĄ:
Nie umiemy wracać do początku, proste rzeczy wydają się trudne do zdobycia. Ale pytam siebie: kiedy byłam ostatni raz w ciszy? Ostatni raz sama? A w ciemności?

78 Requiem dla śniegu
BARTEK DOBROCH
Pisanie na początku wiosny o śniegu byłoby aktem co najmniej przewrotnym. Ale nie po bezśnieżnej zimie, gdy łączy nas tęsknota za dawną normalnością.

ÁLVARO CALVO / GETTY IMAGES // PIER MARCO TACCA / GETTY IMAGES // JUSTIN SULLIVAN / GETTY IMAGES // ANNE-CHRISTINE POUJOULAT / AFP / EAST NEWS // MONIKA ORPIK // YASIN AKGUL / AFP / EAST NEWS

6 Majowe wybory nie będą równe PAWEŁ BRAVO

7-12 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Nadciśnienie PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

26 Prastara sztuka prokrastynacji MAREK RABIJ: *Pracowałem z domu, zanim stało się to modne*

29 Zagraj Błaszczykowskim MARCIN CHODUŃ: *Coraz więcej drużyn ekstraklasy piłkarskiej zakłada sekcje e-sportowe*

WIARA

32 Świat w stłuczonym lustrze EDWARD AUGUSTYN ARTUR SPORNIAK

36 Przestrzegajmy zasad i módlmy się ROZMOWA Z BP. FRANCESCO BESCHIM Z BERGAMO

38 Nie każda trwoga prowadzi do Boga JACEK PRUSAK SJ: *Dojrzałe i niedojrzałe sposoby szukania religijnego wsparcia*

41 Jak wystawać ponad czas ZBIGNIEW NOSOWSKI: *Rekolekcje wielkopostne: polskie pokusy (V)*

ŚWIAT

42 Superwirus w supermocarstwie MARTA ZDZIEBORSKA

46 Tych kilka dni wiosny PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

TEMAT TYGODNIKA

ANDRZEJ BANAŚ / POLSKA PRESS / EAST NEWS

13 Korona sprawdza

ROZMOWA Z PROF. BOGDANEM DE BARBARO, PSYCHIATRĄ I PSYCHOTERAPEUTĄ:

Kiedy to wszystko minie – a minie tak czy inaczej – będziemy zadawać sobie pytanie: „Jak to było z tobą, kiedy byłeś w sytuacji nadzwyczajnej?”. O odpowiedź możemy zadbać już dzisiaj.

FELIETONY

31 ANNA DZIEWIT-MELLER **53** WOJCIECH BONOWICZ **76** JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO **82** ANDRZEJ STASIUK **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: BOGDAN DE BARBARO
Fotografia: GRAŻYNA MAKARA
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

Szanowne Prenumeratorki, Szanowni Prenumeratorzy!

W najbliższych tygodniach mogą powstać problemy z dostawą „Tygodnika Powszechnego” do Państwa skrzynek. Dokładamy wszelkich starań, by druk i spedycja odbywały się bez opóźnień, jednak nie mamy wpływu na cały łańcuch dystrybucji. Prosimy serdecznie o wyrozumiałość oraz cierpliwość.

49 Mały król Korona PATRYCJA BUKALSKA *o książeczce dla dzieci, która ma im wyjaśnić obecną sytuację – i uspokoić*

50 Między wojną i epidemią MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

HISTORIA

54 Bóle fantomowe ANDRZEJ SADECKI Z BUDAPESZTU: *Sto lat po podpisaniu traktatu w Trianon*

NAUKA

58 Spłaszczyć krzywą MICHAŁ ECKSTEIN

60 Cel na przyszłość WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Chorobę zakaźną da się wyeliminować, jeśli osiągniemy tzw. odporność stadną*

KULTURA

62 Posłuchajcie mnie w domu ROZMOWA Z HANIĄ RANI

66 Wina niczyja MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK: *Po 20 latach od „Sąsiadów” Grossa mamy sporą bibliotekę dzieł o polskich postawach wobec Zagłady*

70 Pełzająca zmiana ANITA PIOTROWSKA *o serialu „Spisek przeciwko Ameryce”*

72 Miasto bez teatru DARIUSZ KOSIŃSKI: *Potrzebny jest nam teatr publiczny*

76 Prawda literatury LEKTOR *o książce „Życie i los” Wasilija Grossmana*

ZMYSŁY

78 Requiem dla śniegu BARTEK DOBROCH

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„Tygodnik” na kwarantannę

ZOSTAŃCIE W DOMU. Zadbajcie nie tylko o zdrowie w fizycznym wymiarze, ale także o kondycję psychiczną i duchową – *w trosce o nie przygotowaliśmy wybór najlepszych tekstów odpowiednich na ten czas* **tygodnikpowszechny.pl/tygodnik-na-kwarantanne**

Rozmowy o byciu razem [Podkast Powszechny]

Małe rzeczy, które dziś są dla niektórych czymś naturalnym i niewymagającym namysłu, po czasie okazują się aktami odwagi – *mówi* **WOJCIECH MANN** *w cyklu rozmów o tym, co dawał, daje i dawać będzie fakt, że stanowimy wspólnotę* **powszech.net/rozmowy-razem**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

RADEK PIETRUSZKA / PAP

Paczki z listami poparcia dla kandydatury Andrzeja Dudy wnoszone do siedziby PKW w Warszawie, 19 marca 2020 r.

TE WYBORY NIE BĘDĄ ANI POWSZECHNE, ANI RÓWNE

Obóz władzy uznaje, że majowy termin, wymuszony wbrew rozsądkowi i przyzwoitości, to jedyna szansa na drugą kadencję Andrzeja Dudy.

PAWEŁ BRAVO

Wybory muszą się odbyć 10 maja – Jarosław Kaczyński w niedawnym wywiadzie radiowym przeciął spekulacje, czy obóz władzy zdecyduje się na to, czego oczekuje już znaczna część pytanych w sondażach wyborców. Postraszył organy samorządu, odpowiedzialne za praktyczną stronę procesu wyborczego. Ten nacisk jest zrozumiały, samorządy bowiem mogą nie chcieć naginać woli politycznej do realiów paraliżu społecznego i restrykcji sanitarnych, jakie w maju raczej pozostaną w mocy. „Trzeba tylko wprowadzić tutaj odpowiednie rozwiązania techniczne i być może prawne, ale o wyłącznie technicznym charakterze" – mówił Kaczyński, jakby nie rozumiał, że niektóre sprawy „techniczne", np. wożenie urn do domów ludzi objętych kwarantanną, stają się czynnością wysoce ryzykowną (podobnie jak zasiadanie w stacjonarnej komisji), a zmian ordynacji wyborczej nie robi się na miesiąc przed terminem.

Pomijając już kwestię, na ile realne jest zrekrutowanie w ciągu najbliższych dni ok. 200 tys. osób do komisji wyborczych, i parę innych praktycznych problemów, które mogą podważyć konstytucyjny warunek powszechności wyborów, determinacja PiS, by nie przesuwać terminu, budzi też sprzeciw z innych zasadniczych względów. Chodzi o możliwość

prowadzenia kampanii (o ile opinia publiczna ma w ogóle do tego teraz głowę). Prezydent jest stale obecny w sferze publicznej, mniejsza o to, czy z sensem czy bez – jako głowa państwa ma do tego prawo. Sęk w tym, że prawa istnienia zostali pozbawieni (z oczywistych względów ochrony zdrowia) jego konkurenci. Demokracja jest w stanie tolerować pewne skrzywienie szans na korzyść urzędującego prezydenta, ale mówimy o sytuacji lekkiej przewagi na starcie, nie zaś takiej, gdy jeden zawodnik biegnie, a pozostali muszą tkwić w miejscu.

Nikt nie może przewidzieć, w jakiej sytuacji epidemicznej będziemy jesienią. Ale do tego czasu można wprowadzić kilka sensownych zmian w procedurach. Choćby przywrócenie głosowania korespondencyjnego, tak by np. osoby nadal przebywające w kwarantannie miały realną możliwość zagłosowania. Gdyby klasa polityczna zdecydowała się na konsensus w tej sprawie, można by odpowiednie zmiany uchwalić w kwietniu, zachowując półroczny odstęp od wyborów. Ważne, by stało się to już po zamknięciu listy kandydatów, co pozwoliłoby „zamrozić" cały proces i nie wprowadzać dodatkowego zamieszania.

„Byłoby to niezwykle niekorzystne, żeby prezydent i premier byli z różnych obozów politycznych i się spierali" – stwierdził Kaczyński. Warto na marginesie zauważyć, że właśnie przesunięcie wyborów gwarantuje, iż przez najbliższe, zapewne dramatyczne miesiące prezydent i premier będą na pewno z tego samego obozu. Ale te słowa, jakkolwiek absurdalne, ujawniają sedno obecnego uporu. Niepewny, jaka będzie sytuacja za kilka miesięcy, Kaczyński kalkuluje, że tylko dociśnięcie kolanem majowego terminu daje Andrzejowi Dudzie duże szanse na drugą kadencję.

Gdyby odbyły się w maju, wybory – choć formalnie każda kartka zostałaby prawidłowo policzona i wyniki byłyby formalnie rzetelne – należałoby traktować tak, jakby zostały sfałszowane. Uznanie epidemii (nawet jeśli w Polsce nie będzie miała tak dramatycznego przebiegu jak w innych krajach – co jeszcze się okaże) za okazję do utwierdzenia władzy nie będzie kolejnym zręcznym, ale wciąż legalnym manewrem politycznym Kaczyńskiego. Będzie to goła przemoc. W momencie, kiedy jako obywatele powinniśmy zachować karność – ale w zamian za pełne zaufanie do uczciwości zamiarów władzy. ©℗

Ministerstwo edukacji udawanej

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

To szansa, by lekarze rezydenci pokazali, że nie tylko potrafią protestować i ubiegać się o wyższe wynagrodzenie, ale także są po prostu dobrymi lekarzami". Wyobraźmy sobie: co by było, gdyby takie słowa wypowiedział minister zdrowia?

Podobnymi złajał nie lekarzy, lecz nauczycieli szef resortu edukacji Dariusz Piontkowski. Przeszły bez większego echa – pewnie dlatego, że ich adresatem jest grupa darzona w Polsce niespecjalnym szacunkiem. W dodatku żyjąca od dwóch tygodni w napięciu. Miotająca się między wymaganiami dyrektorów a dezorientacją rodziców. Padająca ofiarą informacyjnej kakofonii: w początkowej fazie epidemii szef MEN mówił, że z realizacją podstaw programowych nie będzie problemu, bo jego poprzedniczka zaprojektowała je z „odpowiednim zapasem"; później, że nie ma mowy o obowiązku realizacji programu; na koniec: że rząd ogłosi nowe prawo, które pozwoli przywrócić normalne wymagania.

Teraz, gdy rząd już to prawo przyjął, nauczyciele mają jasność: z dniem 25 marca nauczanie zdalne to obowiązek, podobnie jak realizacja programu i ocenienie pracy uczniów. Czy rzeczywiście – jak mówi Piontkowski – wybór był zerojedynkowy: albo przywracamy normalne zasady, albo nie robimy nic? Niekoniecznie. Wielu nauczycieli zdążyło przez te dni dowieść, że można inaczej. Da się uwolnić kreatywność dzieci; zafascynować je czytaniem, pisaniem, tworzeniem; porozmawiać – jak nominowany właśnie do prestiżowej Global Teacher Prize sopocki nauczyciel filozofii Przemysław Staroń w czterominutowym filmiku – o wszechobecnym w tych dniach lęku. Wszystko bez biurokratycznego drylu i szału oceniania.

Trwająca epidemia ugruntuje podział na – jak mówią niektórzy – edukację dwóch prędkości. Szkoły od dawna pracujące przy użyciu nowoczesnych technik i te tkwiące w XIX w. Nauczycieli wyszkolonych cyfrowo i tych bezradnych. Uczniów z dostępem do komputera, sieci, wyposażonych w kompetencje – i pozbawionych tego wszystkiego.

A szef MEN nadal będzie uchwalać rozporządzenia o rzeczywistości, której nie wolno się zmieniać. ©℗

Na pierwszej linii walki z epidemią

„KORONAWIRUS NAS NIE WYNISZCZY. Sami się wyniszczymy agresją, hejtem i fejkami. Powstrzymajmy tę falę zła. Wspierajmy się nawzajem!" – wezwał szef samorządu lekarskiego Andrzej Matyja po śmierci prof. Wojciecha Rokity, kieleckiego konsultanta wojewódzkiego ds. ginekologii. Adwokat rodziny ogłosił, że lekarz, zakażony SARS-CoV-2 i hospitalizowany, popełnił samobójstwo. Po fałszywych medialnych doniesieniach, że nie przestrzega kwarantanny, dotknął go internetowy hejt.

KAROL MAKURAT / REPORTER

Wielu lekarzy i pracowników medycznych kwituje: traktuje się nas jak bohaterów, ale też jak zadżumionych. Podobnie nasze rodziny. Choć lekarze – jak pielęgniarki i ratownicy – na ogół nie wracają nocować do domu, by nie narażać bliskich. Brakuje kombinezonów, maseczek i środków dezynfekujących, a dostęp do diagnostyki jest bardzo ograniczony – zapasem testów i biurokracją. Na wyniki czeka się po kilka dni (mimo wysiłku diagnostów). Dyrektorzy szpitali skarżą się na brak wsparcia z MZ: sami muszą sfinansować zakup sprzętu i dodatków dla personelu.

Do pomocy w szpitalach zgłaszają się studenci medycyny, a minister Szumowski zapowiedział dopuszczanie do pracy lekarzy, którzy nie zdawali jeszcze egzaminów końcowych. To środki niezbędne, bo w razie wykrycia zakażenia u medyka lub pacjenta kwarantanną obejmuje się wszystkich na oddziale.

Tymczasem ratownicy prowadzą akcję informacyjną „NieKłamMedyka", mnożą się bowiem przypadki zatajania przed dyspozytorami informacji o pobycie za granicą, a nawet – przebywania w kwarantannie. Apele publikują też lekarze z pierwszej linii frontu: „My zostajemy dla was w pracy, wy zostańcie dla nas w domach".

©℗ MACIEJ MÜLLER

Recesja pod egidą rządu

MAREK RABIJ

Tarcza antykryzysowa. Walkę z recesją, która zbliża się do polskiej gospodarki wraz z rozwojem epidemii COVID-19, rząd PiS zaczął od sprawdzonego triku – czyli od znalezienia chwytliwej nazwy dla pakietu przepisów i decyzji mających wzmocnić rodzime firmy. Co zostanie po odwinięciu tych propozycji z propagandowego pozłotka?

Niewiele. Nawet kwota 212 mld zł, którą rząd cisnął opinii publicznej, okazała się po dokładniejszej analizie chaotyczną kompilacją realnej pomocy i stałych wydatków państwa, uzupełnioną o takie kurioza, jak np. szacunki wartości umorzonych kar oraz składek ZUS i podatków, których płatności mogą zostać odroczone. Wypunktowanie tego kuglarstwa przez dziennikarzy nie przeszkodziło jednak minister rozwoju Jadwidze Emilewicz w porównaniu projektu do „helikoptera", który lata nad Polską rozrzucając miliardy złotych.

Tymczasem w porównaniu z krokami, na jakie zdecydowały się rządy innych krajów, polską odpowiedź na kryzys trudno nazwać adekwatną do skali zagrożenia. Tajwan obniżył podatki obywatelom. Francja zwalnia firmy z opłat komunalnych i z rachunków za prąd. USA wrzucą na rynki finansowe blisko bilion dolarów dla ratowania giełdy, od kondycji której zależą emerytury wielu Amerykanów. Natomiast polski rząd zachowuje się tak, jak gdyby grał na zwłokę, a jego celem był nadal budżet bez deficytu. Przedsiębiorcy skarżą się np., że odroczenie płatności niektórych danin, zamiast ich anulowania, jedynie oddali falę bankructw, bo skumulowane zobowiązania z kilku miesięcy prędzej czy później pociągną firmy na dno.

W pakiecie najbardziej brak jednak rozwiązań stymulujących konsumpcję wewnętrzną, która obok inwestycji i eksportu jest filarem PKB. Pomoc firmom sparaliżowanym przez epidemię i ochrona miejsc pracy to jedno. Ale za tym powinny pójść działania wspierające popyt, np. obniżka podatku PIT, który przecież dostarcza polskiemu budżetowi trzy razy mniej pieniędzy od VAT-u.

Tylko w ten sposób można naprawdę powstrzymać ten kryzys. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

PAPIER

Po wybuchu związanej z koronawirusem paniki przedsiębiorczy mieszkaniec Mogilna przystąpił do systematycznego wykradania z urzędu miasta papieru toaletowego i innych środków czystości. Po kilkudniowym dochodzeniu strażnicy miejscy złapali złoczyńcę na gorącym uczynku, wyciągnęli mu z torby trzy rolki papieru toaletowego oraz odświeżacz opisany „Urząd Miejski", a następnie przekazali w ręce policji.

POŚCIG

Policja z poznańskiej drogówki zatrzymała z kolei – po pościgu – dwóch czternastolatków, którzy wymusili pierwszeństwo w centrum miasta, a następnie nie zatrzymali się do kontroli. Szybkie śledztwo wykazało, że chłopcy ukradli samochód babci jednego z nich.

PRZYMROZEK

Dobrze, że chłopcy nie wpadli podczas ucieczki w poślizg: pierwsze dni wiosny przebiegają pod znakiem przymrozków i ochłodzenia, więc na drogach może być ślisko.

PUSTKA

Ochłodzenie postępuje również w Programie III Polskiego Radia: po Annie Gacek i Wojciechu Mannie – którego satyryczne komentarze biją teraz rekordy popularności na portalach społecznościowych – stację opuścił prowadzący tam od 45 lat audycje o muzyce bluesowej Jan Chojnacki; z występów na antenie zrezygnowali również Gaba Kulka i Jan Młynarski.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARTA ZDZIEBORSKA, autorka korespondencji z Kalifornii (s. 42), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia Tok FM, w czwartek 26 marca, o godz. 16.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

WOJCIECH ZATWARNICKI / REPORTER

Nie rzucaj wszystkiego i nie jedź w Bieszczady

MIESZKAŃCÓW GÓR NIEPOKOJĄ przyjezdni z miast, którzy w czasie epidemii COVID-19 chcą się odizolować na łonie natury. Korzystając z lepszej pogody, w pierwszych dniach stanu zagrożenia epidemicznego w Bieszczady przyjechali turyści. Policja nie odnotowała przypadków łamania zakazu funkcjonowania gospodarstw agroturystycznych (działać mogą hotele), pojawiają się jednak wątpliwości, czy w kolejnych tygodniach – obciążona nadzorem osób w kwarantannie – będzie w stanie kontrolować jego przestrzeganie. PKS Jarosław, główny przewoźnik autobusowy w Bieszczadach, zawiesił już kursy weekendowe. O niewychodzenie w góry – w obawie przed zarażeniem ratowników w czasie ewentualnej akcji – zaapelowało GOPR. „Jedno podejrzenie zakażenia może doprowadzić do konieczności kwarantanny zespołów ratowników z poszczególnych Stacji Ratunkowych", napisano w komunikacie zarządu głównego Pogotowia. ©℗ ŻYM

Siepomaga szpitalom

PONAD 15,2 MLN ZŁ – tyle w chwili zamykania bieżącego wydania „Tygodnika Powszechnego" zebrała fundacja Siepomaga na wsparcie polskiej służby zdrowia walczącej z epidemią COVID-19. Akcję wsparło ponad 229 tys. osób.

Fundacja, która zwykle inkasuje prowizję od każdej zbiórki, tym razem z niej zrezygnowała. Opłat nie pobierają także operatorzy systemów płatniczych, za pomocą których można wpłacać pieniądze; dzięki temu cała zebrana kwota pójdzie na wsparcie szpitali. Placówki z całego kraju mogą zgłaszać do fundacji zapotrzebowanie na brakujące akcesoria. Siepomaga wraz ze współpracującymi firmami zajmie się zakupami i przekaże sprzęt potrzebującym.

Zbiórka ma trwać tak długo, jak długo ze szpitali płynąć będą apele o pomoc. ©℗ MR

Inwigilacja kontra wirus

W IZRAELU WYGLĄDA TO DZIŚ TAK: zwykle około godziny 20 premier Netanjahu – od ponad roku pełniący tę funkcję tylko komisarycznie – zwraca się do obywateli. Wśród zapowiadanych przezeń decyzji była i ta, że rząd planuje inwigilację telefonów: krok, który w innych warunkach powinien zostać zaakceptowany przez parlament. 17 marca o poranku rzecz była przesądzona: nocą rząd zezwolił wywiadowi wewnętrznemu Shin Bet na gromadzenie danych z komórek ludzi w Izraelu i na Zachodnim Brzegu. Na ich podstawie wywiad tworzy tzw. profile mobilności zainfekowanych i identyfikuje osoby, które w krytycznym czasie mogły być w pobliżu, przekazuje te dane ministerstwu zdrowia, a ono wzywa te osoby, by poddały się testom lub kwarantannie. W razie odmowy grozi więzienie.

Podstawą rozporządzenia jest ustawa o zwalczaniu terroryzmu z 2002 r. Jednak przewiduje ona, że na dostęp do danych z telefonów konieczna jest zgoda komisji parlamentu i sądu. Rząd obszedł oba zastrzeżenia. Opozycja i organizacje obywatelskie skrytykowały tę decyzję; mowa jest o „niebezpiecznym precedensie". Opozycyjna koalicja Niebiesko-Biali zarzuciła Netanjahu, że chce zagarnąć jak najwięcej władzy.

W ostatnim czasie Korea Południowa, Tajwan, Chiny czy Singapur sięgały po podobne (lub bardziej drastyczne) narzędzia inwigilacji obywateli, by zapobiec epidemii.

© INGA ROGG z Jerozolimy

Więcej o sytuacji w Izraelu na stronie powszech.net/rogg-izrael

Jak trwoga to do... Unii. Ale dlaczego?

OLAF OSICA

Nie pierwszy to kryzys, który wywołuje pytanie o sens integracji europejskiej. Od Włoch przez Hiszpanię po Polskę słyszymy pretensje pod adresem europejskich instytucji i stolic. Zamykanie granic, dzielenie obywateli Unii na tych, którzy mieli szczęście dostać się do domu, i tych, którzy utknęli na granicach. W tle widzimy walkę rządów o zakup środków ochronnych i wyścig na pakiety finansowe dla ratowania gospodarek. Powstaje wrażenie, że każdy sobie i na własny rachunek. W efekcie jedynym „porządnym" miałyby być władze chińskie, choć to one – jako że długo tuszowały epidemię – są głównym odpowiedzialnym za wybuch światowej pandemii. Teraz robią na niej interes polityczny i gospodarczy. I Rosja, która śle na pomoc Włochom „osiem brygad medycznych" w nadziei, że po kryzysie Rzym się zrewanżuje... Czy to koniec świata, jaki znamy? I koniec Unii Europejskiej?

Nie. Jest to natomiast, a raczej powinien być (co oznacza, że nie musi), koniec złudzeń o funkcjonowaniu współczesnego świata. Także integracji europejskiej, która nie jest oderwanym od rzeczywistości procesem, lecz częścią naszego życia. Oczekujemy od Brukseli pomocy, gdy państwa same sobie nie radzą. Ale te same państwa nie chcą nie tylko zrzec się części suwerenności na rzecz organów Wspólnoty, lecz i ze sobą współpracować. Ich egoizm jest funkcją społecznych egoizmów. Solidarności łatwiej żądać od innych, niż ją okazywać. Czy chodzi o finanse dla Grecji, przyjęcie uchodźców czy dzielenie się deficytowymi towarami w czasie epidemii – rządy działają wedle prostej zasady: czy ludzie nas za to nagrodzą, czy przeklną? Dlatego w czasie umownego pokoju nie chcemy więcej Europy, bo jawi się nam jako zagrożenie dla naszego stylu życia i tożsamości. A w czasie kryzysu zdziwieni odkrywamy, że Europa jest jak cesarz bez szat. Tymczasem ochrona granic, polityka zdrowotna, zagraniczna i obronna – to kompetencje narodowe. I jest szereg powodów, by takimi pozostały.

Jeśli z obecnego kryzysu płynie jakiś wniosek dla przyszłości Unii, to taki: potrzebujemy w Europie nowej umowy politycznej, która jasno określi, czego możemy oczekiwać od instytucji Unii, a czego od instytucji narodowych. Spodziewane załamanie gospodarcze przyniesie nam bowiem kolejną falę rozczarowań, że opowieść o Europie nie jest tożsama z Europą, którą widzimy. Nasze poczucie rozdźwięku zawsze będzie jednak mniejsze od tego, którego doświadczają Chińczycy czy Rosjanie, słuchając swoich narodowych opowieści. ©

MICHAEL PROBST / AP / EAST NEWS

KONTAKTVERBOT, czyli zakaz wszelkich zgromadzeń w miejscach publicznych powyżej dwóch osób, ogłosił w całym kraju rząd Niemiec w niedzielę 23 marca; zamknięte są wszystkie instytucje publiczne i usługowe (zakaz nie dotyczy sklepów spożywczych i aptek). Dalej poszedł szczególnie dotknięty epidemią land Bawaria, którego premier ogłosił zakaz wychodzenia z domów. W Niemczech, gdzie do 23 marca odnotowano prawie 25 tys. infekcji i prawie 100 zgonów, trwa dyskusja, czy władze nie reagują na epidemię zbyt wolno. Kanclerz Angela Merkel wezwała w niedzielę obywateli do „wyrzeczeń i ofiar" oraz do stosowania się do zarządzeń władz. Od niedzieli pani kanclerz musi pracować z domu: jest poddana kwarantannie po tym, jak lekarz, z którym miała kontakt kilka dni wcześniej, zachorował na COVID-19. Na zdjęciu: plac przed ratuszem na Starym Mieście we Frankfurcie nad Menem, 15 marca 2020 r. ©℗ WP

Łukaszenka wie lepiej

WOJCIECH KONOŃCZUK

Jest w Europie państwo, w którym do momentu oddania tego numeru do druku życie płynęło normalnie. Władze w Mińsku zachowywały się tak, jakby Białoruś miała być jedynym krajem, który ominie pandemia. Nie wprowadzono żadnych ograniczeń – otwarte były przedszkola, szkoły i uniwersytety, kina, teatry, restauracje i centra handlowe. Odbywały się koncerty i mecze. Kilka dni temu prezydent Aleksandr Łukaszenka uznał zamknięcie granic przez sąsiadów Białorusi za „kompletną głupotę". W buńczucznych słowach stwierdził: „Ja ten koronawirus nazywam nie inaczej jak psychozą. (...) Jestem absolutnie przekonany, że bardziej możemy stracić od paniki niż od samego wirusa. Cywilizowany świat naszej planety zwariował". Opowiedział się przeciw zamknięciu szkół i zalecił: „Jeśli ktoś się źle poczuł, niech pobędzie w samoizolacji, przyjedzie lekarz i cię wyleczy". Zgromadzeni wokół doradcy pilnie notowali.

Wyjaśnienie tej białoruskiej anomalii kryje się, jak się zdaje, w mentalności Łukaszenki: najwidoczniej nie widzi zagrożenia dla swego kraju. W przeszłości już wielokrotnie dowodził, że jest „ekspertem" od wszystkiego, zatem jego obecne „kompetencje" wirusologiczne są naturalne.

Choć Łukaszenka próbuje uspokajać, że wszystko jest pod kontrolą, że państwo jest silne i żadnej tragedii być nie może, wielu obywateli to nie przekonuje. Ceny walut w kantorach idą mocno w górę, szerzą się informacje, że władze rzekomo ukrywają pierwsze przypadki śmierci. Według oficjalnych danych do niedzieli 22 marca zachorowało 76 osób. Pocieszeniem może być postawa lekarzy, którzy – wobec zaniechań władz – wzywają w sieciach społecznościowych wszystkich do zastosowania „kwarantanny ludowej". Nadzieją jest też to, że Białoruś ma znacznie bardziej efektywną służbę zdrowia niż Ukraina czy Rosja.

Celne wyjaśnienia białoruskiej specyfiki w czasach zarazy dał wiceminister spraw wewnętrznych Ukrainy, Anton Heraszczenko: „Władza sowiecka, z której wywodzi się pan Łukaszenka, przez tydzień po wybuchu w elektrowni atomowej w Czarnobylu ukrywała prawdę, bojąc się powiedzieć o tej katastrofie własnemu narodowi". Stwierdził też, że idzie o zakład, iż w ciągu najbliższych dni Łukaszenka każe wprowadzić najsurowszą kwarantannę.

Tak też pewnie się stanie. Tylko cenę za spóźnioną reakcję zapłaci – podobnie jak po Czarnobylu – społeczeństwo. ©

MICHAŁ KAMARYT / CTK / PAP

Zakupiony w Chinach sprzęt medyczny dotarł do Pragi, 20 marca 2020 r.

Pomoc i propaganda

WŁADZE W PEKINIE, które początkowo tuszowały epidemię COVID-19, uznały najwyraźniej, że skoro w kraju wyhamowano jej rozwój, czas przejąć inicjatywę polityczno-wizerunkową. W minionych dniach do wielu miejsc w Europie i Azji zaczął trafiać sprzęt ochronny z Chin; głównie są to dostawy na eksport, a rzadziej pomoc humanitarna.

Dostawom „towarzyszy bardzo szeroka akcja promocyjna, w tym w mediach anglojęzycznych i społecznościowych, a także działania dyplomatyczne" – zauważa Jakub Jakóbowski, analityk Ośrodka Studiów Wschodnich. „Z reguły w chińskim przekazie nie rozgranicza się dwóch form: dostaw komercyjnych i pomocy bezzwrotnej", a Chińczycy przemilczają, że wcześniej otrzymali dużą pomoc od Unii Europejskiej.

Jakóbowski uważa, że Chiny chcą „ograniczać straty wizerunkowe związane z ukrywaniem epidemii w Wuhan" i wykorzystać sytuację do budowania wpływów. Akcji towarzyszy dyskredytowanie USA (na razie Trump dostarcza im argumentów). Do obywateli Zachodu ma trafić przekaz, że autorytarny system polityczny w kryzysie góruje nad demokracjami. Chińską akcję chętnie wykorzystują antyunijne środowiska w Europie, do krytyki Unii jako rzekomo biernej – zauważa ekspert OSW.

Pekin rozpoczął też próby pisania na nowo historii tej epidemii: chińskie MSZ zaczęło upowszechniać tezę (także z pomocą fake newsów w internecie), że koronawirus pochodzi z USA i został przeniesiony stamtąd do Chin.

©℗ WP / OSW.WAW.PL, BANKIER.PL

Nauka na przyszłość

SZCZEPIONKI. W Seattle podano pierwsze cztery dawki szczepionki na SARS-CoV-2. Odbyło się to w ramach badań klinicznych nad preparatem złożonym z materiału genetycznego tego wirusa. WHO podaje, że w przygotowaniu jest już 41 prób szczepionek, ale do powszechnego użytku jakakolwiek z nich będzie dostępna najszybciej za rok.

REKOMENDACJE. Po doniesieniach o niekorzystnym działaniu ibuprofenu w trakcie infekcji koronawirusem, WHO postanowiła nie odradzać stosowania tego leku. Takie informacje propagował wcześniej nawet francuski minister zdrowia, jednak zgodnie z dostępnymi danymi przyjmowanie ibuprofenu w przypadku objawów CO-VID-19 nie powoduje pogorszenia stanu zdrowia. Brytyjski NHS pomimo braku dowodów zaleca jednak o zwalczać objawy podobne do COVID-19 za pomocą paracetamolu.

REINFEKCJE. W prasie naukowej pojawiła się optymistyczna informacja dotycząca nabywania odporności na SARS-CoV-2. W małym badaniu, obejmującym raptem cztery makaki, wykazano, że małpy te po przebyciu takiej infekcji nie zarażają się przy ponownej ekspozycji na patogen. Badanie to jest niewielkim przyczynkiem do zrozumienia działania wirusa na układ odpornościowy. Wcześniej media informowały o reinfekcjach koronawirusem u ludzi.

© BARTOSZ KABAŁA

Wirus uderza w finanse Kościoła

ARTUR SPORNIAK

Powodowana pandemią nieobecność ludzi na niedzielnych mszach i brak regularnego dopływu pieniędzy z tacy powodują, że Kościół zaczął odczuwać problemy finansowe. Skąd czerpać teraz środki na utrzymanie budynków kościelnych, domów parafialnych i urzędów diecezjalnych?

O tym, że martwi się tym hierarchia, świadczą dwa dekrety wydane 19 marca przez biskupa świdnickiego Ignacego Deca. Pierwszy odracza płatności proboszczów do kasy kurialnej. Drugi zobowiązuje wikariuszy otrzymujących wynagrodzenie katechetów „z tytułu zatrudnienia na stanowiskach nauczyciela religii w szkołach, przedszkolach, innych instytucjach państwowych" do „wniesienia opłaty w wysokości 25 proc. od otrzymywanych dochodów bądź 1000 zł i wpłacenia do kasy parafialnej". Wikariusze posiadający dochody mają od teraz partycypować w kosztach utrzymania domów, w których mieszkają.

Rzecznik prasowy świdnickiej kurii ks. Daniel Marcinkiewicz wyjaśnia, że dotychczas zgodnie z dekretami synodu archidiecezji wrocławskiej (przyjętymi także przez diecezję świdnicką) każdy proboszcz określał sposób finansowania budynków parafialnych. Zwykle pieniądze pochodziły z tacy i kolędy. Epidemia to zmieniła.

Doraźnie Kościół instytucjonalny ratuje się zatem pieniędzmi wypłacanymi przez państwo za lekcje religii. To oczywiście nie rozwiąże wszystkich problemów. Prędzej czy później biskupi będą musieli otwarcie poprosić wiernych o wsparcie.

Wśród dziedzin boleśnie weryfikowanych przez pandemię znalazły się także finanse Kościoła, w dużej mierze funkcjonujące na nieformalnych zasadach. Na dłuższą metę biskupi mają dwie możliwości: albo finanse sformalizować w postaci np. podatku kościelnego, albo odpowiedzialnością za Kościół wyraźnie podzielić się ze świeckimi. W tym drugim przypadku współodpowiedzialność musi łączyć się z realnym wpływem świeckich na Kościół. ©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

Z POWODU PANDEMII
Ponieważ Wielkanoc nie może być przeniesiona na inny termin, obrzędy będą sprawowane bez ludzi – ogłosiła Kongregacja ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów. Msza Wieczerzy Pańskiej będzie sprawowana z pominięciem obrzędu umycia nóg oraz procesji. Podczas Wigilii Paschalnej celebransi pominą rozpalanie ogniska oraz procesję, a liturgię chrztu ograniczą do odnowienia przyrzeczeń chrzcielnych.

MIMO PANDEMII
Święty Sobór Biskupów Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego zdecydował, że mimo epidemii „wszystkie nabożeństwa należy odprawiać zgodnie z wielkopostnym harmonogramem". Biskupi stwierdzili, że „św. Eucharystia jest źródłem życia, zdrowia duszy i ciała, wobec której żadna choroba nie ma mocy", i przypomnieli słowa Chrystusa skierowane do apostołów: „W imię Moje (...) żmije będą brali do rąk i nawet gdyby pili truciznę, nic im nie zaszkodzi (...) kłaść będą ręce na chorych i uleczą ich".

JOE MABEL / / WIKIPEDIA.ORG

ZAKON ZAMIAST POLITYKI
38-letni wicegubernator stanu Waszyngton, Cyrus Habib, ogłosił, że nie będzie ubiegał się o reelekcję, gdyż wstępuje do jezuitów. Jego rodzice wyemigrowali z Iranu do USA. Trzykrotnie zmagał się z rakiem – gdy miał 8 lat, choroba odebrała mu wzrok. Na katolicyzm nawrócił się podczas studiów w Oksfordzie po spotkaniu z byłym generałem dominikanów Timothym Radcliffe'em. „Doszedłem do wniosku, że (...) sprostanie wyzwaniom, przed którymi stoi nasz kraj, będzie wymagało czegoś więcej niż tylko kształtowania polityki" – tłumaczył.

Wszystkie pasje Ewy Unger

FUNDACJA KRZYŻOWEJ

WE WSPOMNIENIACH, które teraz się ukazują, podkreśla się jej pracę w Fundacji „Krzyżowa" dla Pojednania Europejskiego: że w 1990 r. była wśród jej twórców, i że bez niej trudno wyobrazić sobie rozwój tego miejsca. Może ta pasja, którą stała się dla niej Krzyżowa, sprawiła, że w cień odsunęły się wcześniejsze etapy jej życia. Jak lata 60., gdy była (obok Kazimierza Czaplińskiego) głównym „adresem" we Wrocławiu – w Klubie Inteligencji Katolickiej – dla młodych Niemców z Akcji Znaków Pokuty z NRD, którzy chcieli zadośćuczynić za ojców. Albo lata 70., gdy otworzyła się możliwość niezależnej od władz PRL współpracy ze środowiskami z RFN i ona za to odpowiadała. Albo stan wojenny: na jej adres przychodziły stosy paczek z Niemiec, z pomocą dla uwięzionych.

Niestety, ku żalowi historyków, Ewa Unger nie dokumentowała tych kontaktów i dyskusji: tej, jak wiemy dziś, działalności przedpolitycznej, która – prowadzona przez garstkę pasjonatów – miała procentować po 1989 r. w postaci nowej polityki polsko-niemieckiej. „Sybir nauczył mnie, by nic nie trzymać na papierze" – mówiła mi w 2012 r., w rozmowie wspomnieniowej.

Za Ural trafiła z rodzicami i bratem w 1940 r. Sowieci deportowali ich ze Lwowa, dokąd trafili we wrześniu 1939 r., uciekając przed Niemcami z Górnego Śląska. Ojciec był tam inżynierem w fabryce i tam się urodziła: w 1926 r., w Królewskiej Hucie (dziś Chorzów). „Ojciec dostał zawału, jak Sowieci przyszli po nas" – wspominała dzień 29 czerwca 1940 r. Przeżył, ale wkrótce miał drugi zawał; zmarł jesienią 1940 r. W łagrze – były to „baraki w lesie i 200 Polaków, same rodziny" – pracowali przy wyrębie. Także ona, czternastolatka. Potem spóźnili się do armii Andersa („O kilka dni"), utknęli w Kazachstanie, brat poszedł do armii Berlinga („Skłamał, że ma 18 lat") i zginął. Do pojałtańskiej Polski wróciły z mamą w 1946 r. Do Wrocławia.

„Jestem urodzoną Żydówką – mówiła mi. – Nie byliśmy rodziną religijną, byliśmy zasymilowani. Chrzest przyjęłam po powrocie z Rosji. Początkowo z inicjatywy mamy, bardzo jej zależało. Mama ochrzciła się jesienią 1946 r., ja w kwietniu 1947 r. Trafiłam do Sodalicji Mariańskiej i dopiero tu nauczyłam się czegoś o katolicyzmie. Im więcej wiedziałam, tym bardziej mi się to podobało. Władze rozwiązały Sodalicję, ale ja już bakcyla połknęłam". W KIK-u we Wrocławiu działała od początku, od 1958 r. Na liście członków miała numer 2, a jej mama numer 3 („Mój profesor był założycielem Klubu, byłam u niego asystentką, przyszedł i mówi: pani Ewo, może by się pani zapisała?").

„Wielu mi mówiło: spisz wspomnienia! Ale nie chciałam... A teraz już za późno, pamięć słaba" – mówiła. Ewa Unger zmarła 15 marca, w wieku 93 lat.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

KULTURA W SKRÓCIE

NIE JESTEŚ SAM
„You'll Never Walk Alone" – utwór brytyjskiej grupy Gerry & The Pacemakers rankiem 20 marca wybrzmiał jednocześnie w kilkuset europejskich rozgłośniach. Cel: podkreślenie solidarności ze wszystkimi słuchaczami objętymi przedłużającą się przymusową izolacją.

MIEJSKI KOWBOJ
Zmarł legendarny muzyk country Kenny Rogers. Debiutował w połowie lat 50. w grupie The First Edition, ale swój pierwszy przebój, balladę „Lucille", nagrał pod koniec lat 70. Od tamtej pory sprzedał ponad 100 mln płyt. W 2015 r. wyruszył w ostatnią trasę koncertową. Miał 81 lat.

IFA FILM / EAST NEWS

ZDZISŁAW ZARAZEK
– to bohater internetowej powieści, którą „spontanicznie, epizodycznie i podług rozkazów serca" piszą Łukasz Orbitowski i Szczepan Twardoch. „Jako pisarze jesteśmy w ciężkich czasach zasadniczo bezużyteczni, postanowiliśmy więc chwycić się tego, co ledwie, ale jednak uzasadnia naszą egzystencję: przyjaźni i pracy" – tłumaczą.

MINECRAFT POMAGA
W środowisku gry powstała wirtualna Nieocenzurowana Biblioteka przechowująca zakazane w Arabii Saudyjskiej, Egipcie, Meksyku, Rosji i Wietnamie artykuły i książki. Pomysł Reporterów bez Granic pozwala sprytnie ominąć cenzurę – w końcu Minecraft to tylko dziecinna gra, ale dzięki temu każdy internauta na świecie ma do niej swobodny dostęp.

DAVID PFENNIG / AMERICAN INSTITUTE OF PHYSICS

POKUSA HYBRYDYZACJI. W płytkich stawach Ameryki Północnej samice ropuch z gatunku *Spea bombifrons* decydują się na skok w bok – krzyżują się z samcami innego gatunku ropuchy, *S. multiplicata*. Jak wyjaśniają Catherine Chen i Karin Pfenning w „Science", spłodzone w ten sposób potomstwo rozwija się szybciej – w trudniejszych warunkach ma większe szanse na przeżycie. W głębszych stawach samice *S. bombifrons* preferują partnerów z własnego gatunku. To pierwszy dowód na to, że hybrydyzacja – krzyżowanie się osobników należących do różnych gatunków – może podlegać presjom selekcyjnym. ©℗ ŁK

Domowy włóczykij kulturalny

25 MARCA O GODZ. 20.00 krakowski Teatr Łaźnia Nowa zaprasza na pierwszy internetowy pokaz „Konformisty 2029" w reż. Bartosza Szydłowskiego na podstawie legendarnej powieści Alberta Moravii (link do spektaklu na fb.com/laznianowa).

26 MARCA O GODZ. 20.30 koncert tria Brodacze Live Act, znanego m.in. ze wspólnych występów z zespołem Łąki Łan. „Odbędziemy podróż w krainę elektroniki miksowanej z pięknem brzmienia żywych instrumentów. Zalecamy odsłuch na sprzęcie, który jest w stanie wygenerować choćby część dolnego pasma zwanego mistycznie bassem" – zachęca grupa.

27 MARCA O GODZ. 19.00 spotkanie z naszą autorką i reporterką Marceliną Szumer-Brysz na kanale fb.com/agencjaopowiesci.

27 MARCA O GODZ. 19.00 performatywne czytanie sztuki „Całuj ciotkę" Hanocha Levina w reż. Karoliny Kirsz na kanale YouTube warszawskiego Teatru Żydowskiego.

27-28 MARCA O GODZ. 20.00 w ramach trwającego cały tydzień pierwszego wirtualnego festiwalu Soundrive Online odbędą się koncerty rapera Kozy oraz punkowego duetu Siksa. Wydarzenie dostępne w streamingu przez kanał Soundrive na YouTubie.

27-28 MARCA: 24-godzinna wirtualna dyskoteka The Virtual Exstatic Dance, w trakcie której kilkunastu DJ-ów z całego świata zagra na żywo, a tysiące uczestników podzieli się streamingiem swojej zabawy w domu.

28 MARCA: Nowy Teatr im. Witkacego w Słupsku udostępni link do zapisu technicznego spektaklu „Ulica" Daniela Odiji w reż. Iwo Vedrala.

29 MARCA: domowy koncert znakomitego amerykańskiego pianisty i kompozytora jazzowego Freda Herscha (szczegóły: fb.com/fredherschmusic).

CODZIENNIE O GODZ. 20.00 na stronie ninateka.pl pokazy specjalne wybranych filmów, dokumentów i spektakli; wśród propozycji wiele niedostępnych wcześniej nagrań.

SPEKTAKLE DLA DZIECI od „Bajek robotów" po „Pchłę Szachrajkę": iteatr.tvp.pl. ©℗ MOC

Kres królestwa pingwinów

BYŁO TO WIDAĆ NA ZDJĘCIACH LOTNICZYCH z 2017 r. Na Wyspie Świń (Île aux Cochons), w subantarktycznym archipelagu Crozeta, jeszcze 30 lat temu żyło milion pingwinów królewskich. Dziś z największej na świecie kolonii tego gatunku została jedna dziesiąta. 900 tys. nielotów zniknęło. Jesienią ubiegłego roku wyruszyła tam francuska ekspedycja naukowa ekologów Henriego Weimerskircha i Charlesa Bosta. Ich pierwsze ustalenia publikuje „Science".

Winne nie są lądowe drapieżniki (m.in. zawleczone tu przez wielorybników koty), pingwiny nigdzie się nie przeniosły ani nie chorowały. Przyczyną jest najpewniej ocieplenie oceanu: w czasie lęgu na zmianę jedno z rodziców opiekuje się gniazdem, a drugie płynie po pożywienie nawet setki kilometrów na południe, ku tzw. strefie konwergencji antarktycznej, gdzie zimne wody spotykają się z cieplejszymi. Na takich frontach termicznych gromadzi się morska fauna. Ocieplenie oceanu odsuwa strefę bardziej na południe, zmuszając pingwiny do dalszych podróży i narażając na śmierć z wyczerpania, głodu i od drapieżników. Zdesperowane ptaki zaczęły też ruszać na północ, ku tzw. frontowi subantarktycznemu. Badacze zauważają, że wywołana globalnym ociepleniem zagłada grozi też innym gatunkom pingwinów. ©℗ MK / SCIENCE

ANDRZEJ BANAŚ / POLSKA PRESS / EAST NEWS

KORONA SPRAWDZA

BOGDAN DE BARBARO:

Kiedy to wszystko minie – a minie tak czy inaczej – będziemy zadawać sobie pytanie: „Jak to było z tobą, kiedy byłeś w sytuacji nadzwyczajnej?”. O odpowiedź możemy zadbać już dzisiaj.

MICHAŁ OKOŃSKI: Boję się.
BOGDAN DE BARBARO: Ale czego?

Np. tego, że spotkam kogoś, kto mnie zarazi, i że zarażę swoich bliskich. Że zachoruję, a służba zdrowia będzie w stanie zapaści i mi nie pomoże. Że zachorują rodzice. Że nie wytrzymam na kwarantannie z sobą samym albo z najbliższymi. Że nie spłacę kredytu. Że politycy zrobią coś takiego, iż przestanę być wolny. Że znany mi świat się zawali.
O jednym pan chyba nie wspomniał.

Boję się śmierci?
Wspólny mianownik widzę właśnie taki: boimy się śmierci. Zagrożone są pierwsze i drugie prawo biologiczne: przetrwania jednostki i przetrwania gatunku. Stąd ten lęk jest głęboki, niezależnie od tego, na ile realistyczny.

Przecież zawsze się tego baliśmy.
Chyba po 1945 r. poczucie zagrożenia nie było już aż tak intensywne. Łatwiej nam było o środki zaradcze. Dziś sytuacja jest szczególna: czujemy się bezradni w konfrontacji z czymś, czemu nadajemy nieomal apokaliptyczną moc. Dlatego myślę, że mówimy nie tylko o strachu przed zarażeniem, ale także o lęku.

Na czym polega różnica?
Strach dotyczy czegoś konkretnego: idę wąską ulicą, nagle nadjeżdża auto, „łapie mnie strach" i uskakuję.

Lęk to stan, w którym trudno zidentyfikować racjonalne przesłanki. Nie bardzo wiem, czego się boję. Niby wiadomo, że chodzi o koronawirusa, ale w gruncie rzeczy on jest tak nieznany, podstępny, wszędobylski i nieujarzmiony, że przy okazji rujnuje pychę człowieka XXI wieku, która mówi: „Jesteśmy panami tego świata".

To szczególnie ważna okoliczność: dotąd żyliśmy w przeświadczeniu, że ze wszystkim damy sobie radę. Polecieliśmy na Księżyc, internet pozwala nam natychmiast dowiedzieć się wszystkiego (a właściwie: jakoby wszystkiego). Powodów, dla których staliśmy się pyszałkami, było wiele.

Kiedy za parę miesięcy będzie lekarstwo, a za parenaście szczepionka, nasza pycha być może się odrodzi. Ale na razie takie „małe coś" pokonuje ludzkość. Zdejmuje nam koronę z głowy.

Brzmi to tak, jakby ta historia przydarzyła się po coś.
Nie ośmieliłbym się tak powiedzieć – wokół jest przecież tak wiele cierpienia, tragedii, bólu. Ale mimo wszystko warto nie uchylać pytania, czy potrafimy coś dobrego uczynić z tym dramatem. Jest przecież możliwość przyjęcia do wiadomości przestrogi: „Jak będziesz, człowieku, taki zarozumiały, to zginiesz". Albo: „Jeśli nie będziesz empatyczny, to zginiesz". Albo: „Jeśli będziesz przekonany, że wszystko możesz, to wcześniej czy później dopadną cię pytania, których dotąd unikałeś". Może więc dla niektórych popłynie z tego jakaś cenna nauka? Może zrobimy dzięki koronawirusowi krok ku dojrzałości? Oby.

Powiedział Pan Profesor, że coś małego zdejmuje nam koronę. Ładna metafora, zastanawiam się jednak, na ile źródłem zagrożenia jest dla mnie coś małego i niewidocznego, a na ile drugi człowiek.
A więc chodzi o dwie, pozornie sprzeczne sprawy: na ile Inny jest zagrożeniem i na ile my jesteśmy zagrożeniem dla Innego. Ale proszę zauważyć: pytanie, na ile tzw. Inny jest dla nas zagrożeniem, to jedno z najważniejszych pytań ludzkości. To tutaj tworzy się świat relacji: albo nasycony miłością, albo nienawiścią – a najczęściej pomieszaniem jednego z drugim.

Nie wystarcza mi ta odpowiedź. Tak przecież było zawsze – a teraz czuję, że sytuacja jest nowa.
W średniowieczu, jeszcze zanim myśl oświeceniowa wpędziła nas w zarozumialstwo, gdy waliły pioruny albo ludzie umierali z powodu zarazy, to byli przekonani, że Bóg daje lekcję, jak żyć. Za grzechy sprowadzał suszę, a dzięki modlitwom dawał żyzne plony. Potem, stopniowo rozum zaczął wszystko wyjaśniać. Koronawirus zabrał nam satysfakcję płynącą z przekonania o wszechpotędze rozumu, a wyjaśnienia teologicznej natury też już nie zadowalają. Owszem, pojawił się w Polsce ksiądz, który uważał, że pandemia to kara za grzechy, i twierdził, że to wszystko przez homoseksualistów, ale, chwała Bogu, ta teza nie znalazła uznania w Episkopacie.

Czyli brakuje objaśnienia, które byłoby w stanie nas uspokoić.

Co gorsza: nie wiemy, czego się spodziewać.
Ale czy to naprawdę jest sytuacja nowa? Nasze spojrzenie to spojrzenie Europejczyków żyjących od kilku dziesięcioleci w relatywnym spokoju, a może nawet dostatku. Ci, którzy pamiętają II wojnę światową, gdy wróg był namacalny, wyraźny i spersonifikowany, powiedzieliby pewnie, że olbrzymia groza była wtedy.

Dziś też jest olbrzymia.
Ale bywa wyolbrzymiana. Jeśli pan zaczął rozmowę od naszych lęków, to przydałoby się je skalibrować. Tak, by nas nadmiernie nie osłabiały. Bo zaiste: oprócz tych, którzy się nigdy niczego nie boją, ponieważ brak im wyobraźni, są ludzie, których lęk odzwierciedla konkretne dramaty. Myślę np. o tych, którzy umierają w szpitalach, są sami i boją się, bo nie mogą być odwiedzeni. To przecież straszne – być pozbawionym możliwości umierania w obecności bliskich.

No to jak mamy skalibrować lęk?
Ważne, co z lękiem robimy. On może nas nie tylko krzywdzić – bo to stan subiektywnie nieprzyjemny – lecz także prowadzić do konkluzji nieracjonalnych. Np. do wersji: „Olewam, nic mi nie grozi, pójdę zarażać albo dać się zarazić". Albo do skurczenia się w panice. W ten sposób mój lęk może krzywdzić zarówno mnie, jak i bliźnich, mogę też ulec paraliżowi i – kiedy zabraknie magicznego czy mistycznego wytłumaczenia – pogrążyć się w trwałym cierpieniu.

Ale lęk może też pomóc zrozumieć siebie. Może wymusić refleksję i wesprzeć dotarcie do zachowań racjonalnych.

Czy ktoś, kto się lęka, może w ogóle siebie zrozumieć?
Mogę się przecież bać, a równocześnie się sobie przyglądać. Sprawdzać, czego w gruncie rzeczy się boję i co ten lęk ze mną robi. Chodziłoby o to, żeby z reakcji lękowej przejść do refleksji i namysłu. Czy miałem w życiu takie wydarzenia, które budowały moją wrażliwość – może: nadwrażliwość? – i teraz mają wpływ na to, co się ze mną dzieje? W procesie psychoterapii, kiedy ktoś przychodzi z lękiem, szukamy „przodków" jego lęku. Jak to się stało, że boi się właśnie tego czegoś?

Oczywiście mówię o sytuacji, w której lęk nas przerasta: kiedy już nie wi-

dzimy, że ma swoje uzasadnienie. Bo pamiętajmy, że lęk ma swój sens. Jest ważnym sygnałem ostrzegawczym. Dzięki lękowi żyjemy, tak jak żyjemy dzięki bólowi, który informuje, że nasz organizm jest w niebezpieczeństwie. Lęki mogą być nietrafne, uogólnione, mogą prowadzić w ślepe uliczki, ale bywają przydatne.

W przypadku koronawirusa chyba nie bardzo.

Trudno mówić, że to coś dobrego. Ale możemy np. racjonalnie wykorzystać nasz lęk i zachowywać się zgodnie z instrukcją ludzi, którzy się lepiej znają na walce z wirusem: przestrzegać ich wskazań jako najlepszych z możliwych, żebyśmy wszyscy mogli łatwiej przez to przejść.

A koszty emocjonalne? Widzimy już, że czeka nas nie kilka dni życia w stanie nadzwyczajnym, ale kilka tygodni, jeśli nie miesięcy.

Nie kwestionuję tego. Mówię jedynie, że możemy temu nadać wymiar apokaliptyczny i trafić w ślepą uliczkę bezradności, albo możemy wykorzystać mechanizmy przystosowawcze. Stosujemy się wtedy do zaleceń płynących z zewnątrz, a wewnętrznie przyjmujemy postawę: „Co ja na to? Jakie moje zachowanie będzie optymalne? Jaki mam być dla siebie, a jaki dla innych?". Jeżeli będę od siebie wymagał świadomej refleksji, to dla mnie, dla mojego rozwoju, mogą z tego wynikać dobre rzeczy.

Mówię to z niepokojem, bo ktoś może pomyśleć, że cieszę się z koronawirusa. To byłby nonsens. Chcę tylko powiedzieć, że do każdego nieszczęścia da się podchodzić destruktywnie albo w taki sposób, że zostaniemy jak najmniej uszkodzeni. A niekiedy kryzys przygotowuje do rozwoju.

Jaki byłby zatem kodeks dobrych praktyk w przypadku koronawirusa?

Ogólnej odpowiedzi nie ma, zwłaszcza takiej, która nie sprowadza się do banału. Każdy ma inną sytuację: ktoś, kto siedzi w pięć osób na 40 metrach kwadratowych, przeżywa ją inaczej niż ktoś, kto jest zamknięty sam; ktoś, kto nie martwi się o swoje bezpieczeństwo finansowe, inaczej niż ktoś, komu za chwilę może zabraknąć; ktoś, kto jest zatrudniony w szpitalu, a jego etos każe mu ofiarnie pracować, ale boi się, że przyniesie zarazę do domu, inaczej niż ktoś, kto siedzi przy kasie w sklepie.

> Wirus zabrał satysfakcję płynącą z przekonania o wszechpotędze naszego rozumu. Zdjął nam koronę z głowy. Dlatego **nasz lęk jest taki głęboki.**

Skupmy się na tej piątce na 40 metrach.

Do tej pory to jakoś funkcjonowało: rodzice chodzili do pracy, dzieci do szkoły, wracali zmęczeni, coś jedli, coś oglądali, szli spać. Teraz sytuacja zagęszczenia może tworzyć stres tak poważny, że wręcz nie do wytrzymania.

W pierwszych dniach koronawirusa żartowano, że czeka nas baby boom, teraz mówi się raczej, że fala rozwodów.

Można powiedzieć: „Korona sprawdza". Różne mechanizmy psychologiczne i społeczne pozwalały nie konfrontować się z ukrytymi w naszych rodzinach problemami, pozwalały stosować mechanizmy łagodzące. A teraz jest jak u Szymborskiej: tyle o sobie wiemy, ile nas sprawdzono. Rozmawiałem przez Skype'a z pacjentem, który w ten sposób opisał swoją sytuację: „Dotąd podział był oczywisty, bo ja pracowałem, a do żony należało dbanie o to, żeby w domu było posprzątane. Ale teraz, kiedy oboje jesteśmy w domu, nie mam powodu, żeby prac domowych nie dzielić po połowie. I tego nie wytrzymuję". Skonfrontował się z genderową niesprawiedliwością. Można powiedzieć: doznał wglądu. Zobaczył, że to nie jest tak, iż czasem pozmywa i będzie się uważał dzięki temu za szlachetnego męża.

Wyzwań jest więcej. Jak być z dziećmi. Jak nie podrzucać im smartfona, żeby samemu siąść do komputera. Jak nie sprzedawać im własnego lęku.

Znamy przecież taką sytuację: jedziemy na urlop, wszystko ma być pięknie, ale w tym „pięknie", kiedy jesteśmy non stop twarzą w twarz, zaczyna się kryzys. A tu nie o urlopie mówimy, tylko o przymusowym zamknięciu.

W radzeniu sobie z lękiem pomaga ruch?

Z pewnością. Może są tacy czytelnicy, którzy mają bieżnię albo rower stacjonarny? Jogging stał się trudniejszy, ale za mojej młodości o 6.50 w radiu prowadzono gimnastykę poranną. W internecie są lekcje jogi i tańca. Za miastem z pewnością można bezpiecznie wyjść na pole. Albo na dwór.

Szukam porady, jak przetrwać ten czas. Pytam teraz jak klient terapeuty.

Jako terapeuta czuję obligację, żeby szukać odpowiedzi, ale zarazem czuję, że mnie też ubyło pychy spod znaku „wiem". Z klientami mogę tylko rozmawiać o tym, jak sobie radzą, na ile koronawirus ich jednoczy, a na ile uwyraźnia różnice, czy im przybywa, czy ubywa empatii. Albo skłonności do rywalizacji. Albo odwagi. A przy odwadze możemy też sprawdzić, czy nie staje się ona ryzykanctwem. Zadawałbym raczej pytania. Jak przeżywają obecną sytuację? Jak rozmawiają z bliskimi? Jak dbają o wzajemny szacunek? To w gruncie rzeczy najprostsze, a zarazem najbardziej fundamentalne pytania. Dopiero po usłyszeniu odpowiedzi na nie szukałbym wspólnie odpowiedzi na kolejne: jak się teraz zachować? Ale na podstawie obserwacji z ostatnich dni ośmielam się powiedzieć, że ludzie, wydawałoby się, wrażliwi i zbudowani z różnych kruchych części radzą sobie nad wyraz dzielnie, odnajdując w sobie nieznane dotąd zasoby siły i szlachetności.

Czy można sobie własnego lęku nie uświadamiać? Pogrążać się w działaniach kompulsywnych, popadać w nadaktywność, spędzać cały czas na portalach społecznościowych itd., żeby odsunąć od siebie to, co tak przeraża?

Jest takie powiedzenie: nie ma odważnych, są tylko ludzie bez wyobraźni. Czyli ktoś, kto chce się wydawać odważny, musi mieć w sobie rozmaite mechanizmy zaprzeczeniowe: wypierać lęk, żeby czuć się silnym. Ale druga skrajność to wspomniane już zanurzenie w lęku, ↦

↦ czego skutkiem jest zbyt daleko idąca bezradność i osłabienie. Stąd banalna, ale użyteczna reguła złotego środka. Bądź świadomy, czego się boisz, nie generalizuj lęku, ale w kolejce do apteki stój dwa metry za poprzednikiem. Co zresztą nie musi być wyrazem lęku, tylko szacunku dla innych.

To, że o nich dbamy, jest połączone z tym, że dbamy o siebie.

Abp Grzegorz Ryś napisał w liście do wiernych archidiecezji łódzkiej: „wasze zostanie w domu to wyraz troski i rzeczywistej miłości do innych. I do siebie również".

Dobrze, że są jeszcze tacy biskupi. Niestety, słyszałem też księdza, który mówił, że jak się podaje w czasie komunii Pana Jezusa, to przecież nie podaje się wirusa...

A czy lęk nieuświadomiony grozi przerodzeniem się w furię?

W furię albo w inną formę destrukcji. W kompulsję, w depresję – istnieje cały zestaw mechanizmów obronnych i reakcji służących radzeniu sobie z lękiem. Rzucanie się na kogoś, kto ma skośne oczy i dlatego zostanie zaliczony do kategorii „roznosicieli".

Pytam w związku z tym, jak rozwija się sytuacja w Polsce. W pierwszym etapie była mobilizacja, zastosowanie się do instrukcji władz, organizowanie akcji samopomocy. Ale samobójstwo zarażonego kieleckiego lekarza, którego dotknęła fala internetowego hejtu w związku z pogłoskami o odwiedzinach salonu samochodowego, może zwiastować nadejście drugiego etapu.

To chyba najbardziej dramatyczna, ale częsta metoda radzenia sobie z lękiem: przerabianie go na agresję. Rozeznanie, co lęk z nami robi, jest niezbędne choćby po to, by nie uderzać nim w innych. Warto zapytać siebie samego: czy chcesz, żeby lęk robił z tobą to, co teraz robi? Czy musi cię prowadzić do agresji albo autoagresji? Nienawiść jest w nas – motywowana lękiem czy nie. Istnieniu Tanatosa nie możemy zapobiec. Chodzi jedynie o to, żeby nami nie rządził.

Wydawałoby się, że jednym ze sposobów na oswajanie lęku jest relacja. Jak o nią dbać w czasie dystansu społecznego i izolacji? Czy oba te stany nie sprzyjają raczej pogłębianiu lęku?

Mam dystans do mediów społecznościowych, muszę jednak zauważyć, że teraz się przydają. Pan i ja rozmawiamy przez Skype'a, bez obawy, że się zarazimy.

> Przydałoby się zobaczyć, co lęk z nami robi – choćby dlatego, by nie uderzać nim w innych. Ale także dlatego, że on może nam pomóc **zrozumieć siebie.**

Nie poklepie mnie Pan Profesor po ramieniu. Nie uściśnie dłoni.

Ale mogę na pana spojrzeć. A filozofowie dialogu zwracają uwagę na rolę spojrzenia, twarzy, komunikacji pozawerbalnej.

Niektórzy tęsknią właśnie za dotykiem. Za przytuleniem.

Nie chcę powiedzieć, że nie ma z tym problemu. I gdyby do końca naszych dni miało być tak, rana byłaby głęboka. Ale jeśli to potrwa kilka czy kilkanaście tygodni, może zaczniemy dzięki temu doceniać ów dotyk. Na szczęście większość z nas nie żyje w jednoosobowych celach.

Ale są ci inni.

I o nich należy się troszczyć najbardziej. O samotnych. O wdowca, który wychodził dotąd na spacer do parku i rozmawiał tam ze znajomymi – i który nie zrobi tego przez internet, bo nie wie, jak Skype'a uruchomić. Tu jest dramat pełny, zgoda. I dobrze, że akcje społeczne typu „Widzialna ręka" zajmują się szukaniem takich ludzi i udzielaniem im wsparcia. A druga sprawa: jak zadbać o jakość relacji wewnątrz czterech ścian z bliskimi. Żeby nie przerzucać na nich swojej złości czy lęku.

Mówi się czasem o relacjach: tyle miłości, ile wolności. A tu wolność jest ograniczona. Nie wyjdę do pracy, a jeśli mieszkam na blokowisku, trudno mi nawet pójść na spacer.

Do wolności i miłości dodałbym jednak bezpieczeństwo. Relacja to nie jest utwór z dwóch nut. Trzeba wewnątrz niej dbać o bezpieczeństwo, swoje i partnera.

Co otwiera kolejny temat: przemocy domowej w czasach pandemii.

Na płaszczyźnie psychospołecznej to jeden z najbardziej dramatycznych problemów obecnego czasu. Sprawcy przemocy nie są przecież osobami dojrzałymi emocjonalnie, gotowymi na wgląd, który w tej rozmowie postulujemy, i na refleksję nad tym, jak dbać o relację w sytuacji stresu zewnętrznego. Przeciwnie: to ludzie, którzy swoje napięcie rozładowują na osobie słabszej.

Czy coś tu można zrobić?

Niestety, trudno mi sobie wyobrazić sytuację, w której dyżurny policjant dzwoni teraz do kogoś, kto ma założoną niebieską kartę, i pyta, co słychać. Dobrze, że pan o tym wspomniał, bo widać na tym przykładzie, że wirus atakuje na różne sposoby.

Kiedy obserwuję media, widzę, że znajdują przestrzeń na podnoszenie podobnych problemów: że może stają się bardziej empatyczne. Czytałem np. wyznanie-apel dziennikarki „Gazety Wyborczej" Żanety Gotowalskiej. „Nie wyśmiewajcie tych, którzy dziś boją się bardziej od was. Koronawirus winduje emocje osób ze stanami lękowymi" – napisała, także z myślą o sobie.

Skoro poruszył pan sprawę mediów: w magazynach informacyjnych czytamy liczby na pasku: ile osób zmarło na koronawirusa. Ale nie dostajemy informacji o tym, ile osób w tym czasie zmarło z głodu. Ile zostało zabitych przez swoich krewnych. Przecież są to – liczbowo – wielokrotności ofiar koronawirusa. Nasza wyobraźnia jest organizowana bardzo wybiórczo.

Mamy się odciąć od mediów? Zarządzać czasem, który im poświęcamy?

Powinniśmy czuwać nad tym, co nam wkładają do umysłów. Czuwać, by nie miały władzy nad naszą wyobraźnią i rozumem. Żebyśmy się nie poddawali uproszczeniom i żebyśmy pozostawali w stanie zaniepokojonej niewiedzy, świadomi, że rzeczywistość jest bardziej skomplikowana, niż się przed chwilą do-

wiedzieliśmy. Gdybym miał wpływ na media, to bym je zachęcał, by bardziej dbały o tych, którzy cierpią. By opowiadały o tworzących się sieciach pomocy. By opisywały sytuację kogoś, kto właśnie zrobił coś nadzwyczajnie dobrego. Owszem, wierzę, że dobroć jest zaraźliwa...

Jak mogłoby wyglądać relacyjne BHP w sytuacji ludzi, których praca polega na kontakcie z innymi? Sprzedawców, pracowników komunikacji, a przede wszystkim: służby zdrowia?

Środowisko psychoterapeutów krakowskich, ale jestem pewien, że nie tylko krakowskich, oferuje im możliwość rozmów, *pro bono* oczywiście. Chodzi o to, by mogli powiedzieć, jak to przeżywają, by nie czuli się zostawieni sami sobie. By czuli, że za linią frontu mają psychologicznych sanitariuszy. Informacje o tym, co z tego typu akcji wynika, pozwalają mówić o skutkach wsparcia dużo głębszych niż banalna rozmowa. Podobną rolę pełni wspomniana „Widzialna ręka". Przypomina mi się wiersz Gałczyńskiego, choć pochodzący z fatalnego okresu socrealistycznego uwiedzenia: „Gdy wieje wiatr historii, / ludziom jak pięknym ptakom / rosną skrzydła, natomiast / trzęsą się portki pętakom". Widzę wokół, jak ludziom rosną skrzydła. I pamiętam, że wspieranie innych też jest sposobem radzenia sobie z lękiem.

À propos pętaków: politycy nie mają w Polsce dobrej opinii, ale w sytuacji zagrożenia możemy się zwracać także do nich. Potrzebujemy silnego państwa, z łatwością oddajemy mu niemałą część swojej wolności.

Można by w języku psychologicznym powiedzieć, że „gdy trwoga, to regresujemy się do pozycji dziecka". Dziecko potrzebuje ojca, który daje poczucie bezpieczeństwa nawet kosztem wolności. W życiu publicznym to o tyle niebezpieczne, że w sytuacji zagrożenia można się przyzwyczaić do roli zalęknionego dziecka. Nasze poczucie bezpieczeństwa jest zresztą pozorne i ufundowane na pokrętnych obietnicach. Warto się zastanowić, kogo obsadzamy w roli ojca. A zachęta, byśmy w maju szli do urn (wyborczych), prowokuje do czarnego humoru.

Problem jest, od razu dodam, globalny i występował także przed wirusem. Obietnica, że będziemy wstawać z kolan i nie damy się upokorzyć, działa tak samo w Polsce, jak w USA czy we Włoszech. A analogie do Niemiec lat 30. zeszłego wieku, o których ostatnio dużo czytam, są naprawdę niepokojące.

PROF. BOGDAN DE BARBARO
(ur. 1949)
jest psychiatrą i psychoterapeutą, wieloletnim pracownikiem naukowym Katedry Psychiatrii Collegium Medicum UJ.

GRAŻYNA MAKARA

Medyczny magazyn „Lancet" przedstawił badania na temat losów społeczności dotkniętych kilkanaście lat temu epidemią SARS. Przedłużająca się izolacja, przygnębienie, nuda, wrażenie utraty wolności miały tam wyjątkowo negatywny wpływ: wywoływały złość, depresję, panikę, nawet myśli samobójcze.

Dwa najważniejsze czynniki warunkujące zdrowie, nie tylko psychiczne, to poczucie sprawczości i sieć społeczna. Sytuacja epidemii, kwarantanna uderzają w oba.

Przyjmijmy, że substytutem sieci społecznej będą portale społecznościowe. Ale jak dbać o sprawczość?

Marek Aureliusz powiedział: „Jeśli widzisz, że złe rzeczy dzieją się dookoła, to znajdź dla siebie jakąś dobrą cząstkę działania". Możliwości jest mnóstwo, począwszy od dbania o higienę klamki i poręczy w bloku: maleńkie rzeczy, które mogą dać poczucie, że istnieję w sposób sensowny. Podziwiam Marka Aureliusza nie tylko za to, że wiedział takie rzeczy, zanim w XX wieku zaczęto przeprowadzać badania nad stresem, poczuciem sprawczości i jakością życia. Ale dodałbym do niego Stanisława Jerzego Leca, który radził: „Bądź altruistą. Szanuj egoizm drugich". Innymi słowy: dbając o innych, dbam o siebie.

Wszystko to brzmi dobrze w sytuacji względnego komfortu, jaka wciąż jeszcze jest udziałem większości Polaków. Za kilka tygodni, kiedy krzywa zachorowań wzrośnie, stan gospodarki się pogorszy, a nawet zdrowi poczują się już bardzo zmęczeni, będzie trudno mówić Lecem i Markiem Aureliuszem.

Podzielam pana niepokój, ale wiele więcej nie podpowiem. Mówienie, że mamy wszyscy dużo książek nieprzeczytanych, filmów nieobejrzanych, a zwłaszcza rozmów nieodbytych – takich, na które rzekomo nie było dotąd czasu – trąci banałem. Skonstruuję wersję marzeniowo-optymalną: człowiek w ten sposób zatrzymany wyskakuje z wyścigu szczurów i korzystając z bezruchu, zauważa w sobie coś, czego dotąd nie widział. W sobie, w innym, w tym, co ludzkość czy natura stworzyły. Znamy historie więźniów politycznych, którzy czas przymusowego osadzenia wykorzystywali do osobistego rozwoju.

Ale z tego, co się dzieje, może płynąć jeszcze jedna szansa. Gdy zorientujemy się, a co ważniejsze, doświadczymy, jak silne jest sprzężenie między tym, co dobre dla mnie, a tym, co dobre dla innych – wartość solidarności nie będzie tylko ↦

↦ hasłem z podręcznika dumy narodowej. A ofiary głodu, wojny, przedawkowania czy przepicia zostaną objęte naszą uważnością i troską nie tylko od święta. A więc wersja maksymalistyczna jest taka: pandemia przewartościuje nasze myślenie o innych, odrzuconych, niezauważanych, obcych.

W sytuacji zagrożenia wydaje mi się to niemożliwe: skupiam się na tym, żeby sam przetrwać.

To jedno jeszcze spróbowałbym podpowiedzieć: kiedy to wszystko minie – a minie z całą pewnością, tak czy inaczej, bo przestanie być sytuacją nadzwyczajną – będziemy zadawać sobie pytanie: „A jak to było z tobą, kiedy byłeś w sytuacji nadzwyczajnej?”. O to, jaka będzie odpowiedź, możemy zadbać już dzisiaj. I chodzi nie tylko o naszą reakcję bezpośrednią, lecz także o lekcję z przedmiotu „Jak żyć”. Żeby to nie była odpowiedź, która nas kompromituje.

Muszę wrócić do kwestii: jak się skutecznie przeciwstawić zagrożeniu, które długo trwa?

Muszę więc przypomnieć początek naszej rozmowy: zagrożeniem jest śmierć. A śmierci się nie przeciwstawimy, możemy ją jedynie opóźnić. To zdanie wypowiadam może mocniej niż inne, ale robię to dlatego, że nawet w tej zmasowanej akcji informacyjnej, płynącej z ekranów, gazet i radia, nie padło proste zdanie: sednem tej sprawy jest lęk przed śmiercią własną i własnego świata. Centralny problem naszego życia został po prostu uwyraźniony.

> Warto pytać: **na ile wirus nas jednoczy,** a na ile uwyraźnia różnice? Czy nam przybywa, czy ubywa empatii? Skłonności do rywalizacji? Odwagi? I czy odwaga nie staje się ryzykanctwem?

Proszę zwrócić uwagę: przecież o śmierci mówimy na ogół poprzez metafory albo uniki. W naszej kulturze ludzie nie umierają, tylko odchodzą. Niektórzy twierdzą, że wiedzą dokąd, inni mówią, że nie wiedzą, jeszcze inni mówią, że nigdzie nie odchodzą, ale i tak przecież odchodzą. Nie chcę filozofować, ale tu akurat psychoterapeuta mógłby się spotkać z filozofem. Pytanie brzmi, jak żyć, skoro jesteśmy znikomi, przypadkowi i tymczasowi. Jak dotąd XXI wiek nie zachęcał do rozważań na ten temat, prawda?

Czyli mam znaleźć przestrzeń na poważne myślenie o własnej śmierci?

Mnie jest łatwiej o tym myśleć, bo skończyłem 70 lat, jestem na emeryturze i mogę powiedzieć, że miałem dobre życie. Patrząc na swoje dzieci i wnuki, mam prawo czuć, że życie zostało przekazane. Gdybym był w wieku moich dzieci, miałbym więcej trwogi. Wymądrzam się, bo mam z górki, nie zdobywam już świata. A pan jest w którym miejscu? Zdobywania świata, prawda?

Jestem w miejscu, w którym się nie wie.

Czyli możemy powiedzieć, że w panu ta sytuacja wyostrza myślenie „gdzie jestem i po co jestem?”.

I jak mam wykorzystać ten czas.

Żeby za parę miesięcy mógł pan spojrzeć na dzień 19 marca 2020 r. z poczuciem: w dobrym biegu uczestniczyłem.

To akurat jest proste: 19 marca rozmawiałem z Panem Profesorem. Ale zanim za to podziękuję, zapytam jeszcze: czy w takim czasie wypada być szczęśliwym?

Na pewno lepiej nie być nieszczęśliwym – nieszczęście osłabia nawet w działaniu wobec innych. To zależy, czy szczęście to jest droga, czy stan umysłu, emocja. Kiedy myślę o tych, którzy umierają w szpitalu, w bólu i bez możliwości, że ktoś bliski trzyma ich za rękę, nie potrafię być szczęśliwy. Kiedy myślę, że żyję w świecie, w którym jedni konają z głodu, a inni z przejedzenia – nie potrafię być szczęśliwy. Ale gdy wczoraj byłem na spacerze w pobliskim lesie z półtorarocznym wnukiem, odczuwałem szczęście.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI
W KRAKOWIE

Kraków, 24 marca 2020 roku

Redaktor Naczelny Senior
„Tygodnika Powszechnego"
Ks. Adam Boniecki

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy,

W tym roku obchodzimy 75. rocznicę powstania „Tygodnika Powszechnego". „Tygodnik" na stałe wpisał się w krajobraz wydawniczy i kulturowy, bez którego nie jestem w stanie wyobrazić sobie Krakowa i Polski. To ogromna radość móc być Państwa czytelnikiem.

Od początku swojej działalności „Tygodnik Powszechny" realizuje misję kulturalną, edukacyjną oraz wydawniczą, która ma być odpowiedzią na pytania nurtujące nas, współczesnych. Co więcej, od zawsze – poprzez wszystkich swoich Redaktorów Naczelnych – „Tygodnik" był miejscem, gdzie prawda i szacunek względem drugiego człowieka stały wyżej niż partykularne interesy. Przez te wszystkie lata „Tygodnik" nigdy nie zboczył z raz obranego kursu i za to w imieniu całej społeczności akademickiej Uniwersytetu Jagiellońskiego chcę serdecznie podziękować.

„Tygodnik Powszechny" od początku swojego istnienia był i pozostaje miejscem otwartym. Dyskurs publicystyczny, zogniskowany wokół Kościoła, to niewątpliwa zaleta „Tygodnika": zawsze był i jest otwarty na różnego rodzaju punkty widzenia. Dialog, poszanowanie człowieka, ekumenizm – to tylko niektóre wartości, którymi kierują się Redaktorki i Redaktorzy „Tygodnika". Pozostaje mi więc życzyć całej Redakcji, na czele z Wielce Szanownym Redaktorem Naczelnym Księdzem Adamem Bonieckim, kolejnych 75 lat sukcesów.

Życzę, aby wszystkie Państwa plany i projekty dalej mogły docierać do rzeszy czytelniczek i czytelników w Krakowie, Polsce i na całym świecie. Dziękuję za odwagę tak w myśleniu, jak i w głoszeniu swoich poglądów, za szczerość i ogromną otwartość na świat, Europę i Polskę, a przede wszystkim na człowieka. Wszystkiego najlepszego!

Prof. dr hab. med. Wojciech Nowak
Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego

PAWEŁ

Śpiewak:
Pierwsza miłość

Gdy Bóg przyprowadził Ewę do Adama, ten zakrzyknął: to jest kość z moich kości. To będzie ta, która, uderzając we mnie jak w dzwon, zdoła mnie najgłębiej poruszyć. Ona będzie mnie cieszyć i podniecać całą noc. Taki wniosek wyciągają mędrcy Talmudu, dodając, że już w szóstą godzinę po stworzeniu Raju dokonało się piękne zespolenie ciał. Mężczyzna poznał kobietę. Zadziwiające to zastosowanie słowa „poznać".

Małżeństwo zostało zawiązane pod hupą ozdobioną najpiękniejszymi szlachetnymi kamieniami. Sam Bóg prowadził za rękę pannę młodą. Trzy cuda zdarzyły się jednego dnia, naucza autor midraszy: stworzony został Adam i Ewa, odbyli stosunek płciowy i poczęli bliźniaków – Kaina i Abla. Jeszcze jeden drobiazg wydaje się co najmniej ciekawy. Bóg spuścił na Ewę przekleństwo trudnego połogu, dodając: „on zaś będzie panował nad tobą". Co znaczą te słowa? Patriarchalna kultura Izraela po dziś dzień, cytując te słowa, przypisuje mężczyźnie rolę władczą w domowych pieleszach.

We wszystkich biblijnych rozważaniach zapewne chodzi o to, że nie rodzimy się z imperatywem kategorycznym Kanta w głowie lub nakazem studiowania Tory, ale z poczuciem swej niepełności, wzajemnego poszukiwania, bezwzględnymi potrzebami seksualnymi, w odmiennościach odczuwania radości, bólu, ciężaru życia. W tym jest szacunek dla wielkich sił prokreacyjnych tkwiących w człowieku, podziw i groza wobec instynktownych sił, które są poza naszą kontrolą oraz wdzięczność za moc tworzenia nowego życia. Wynika z tego nakaz czytania tych fragmentów w duchu antropologicznym, z patrzeniem na opisane tam zjawiska nie poprzez nakazy, wezwania, pouczenia, ale jako na coś, co istnieje, i z czym musimy sobie dawać radę.

Kolejne słowa i zdarzenia tuż po wygnaniu z raju odkrywają podstawowe pytania o ludzkie życie. Mowa tam o związkach rodzinnych, namiętnościach: pysze, złości, zazdrości, strachu. Obserwujemy pierwszą zbrodnię i naturalną, wpisaną w nas przemoc. Rodzi się pytanie o karę, sprawiedliwość. I wreszcie, co często bywa przeoczane, mowa tu o pierwszych miastach, rolnictwie, wynalazkach, sztuce. Pojawia się kwestia kultu, ofiar złożonych Bogu, które wydają się tak naturalne jak oddech czy pragnienie wody. Wchodzimy w centrum ludzkiego życia. W czas od początku wypełniony nadzwyczajnymi zdarzeniami. Tora je rozwija i dopowiada.

Najstraszniejsze jest oczywiście bratobójstwo. Nic się z tego zdarzenia synowie Izraela nie nauczyli. Wszak cała Księga Rodzaju jest i będzie zapamiętana przede wszystkim jako księga bratobójstwa, które powraca w każdym pokoleniu. Nic, żadna siła, nie jest w stanie powstrzymać pierwotnego odruchu nienawiści. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Czarna niedziela

Paweł Apostoł w liście skierowanym do Kościoła w Rzymie napisał: „Jeśli więc mieszka w was Duch Tego, który wskrzesił Jezusa z martwych, to Ten, który wskrzesił Chrystusa z martwych, ożywi wasze śmiertelne ciała dzięki mieszkającemu w was Jego Duchowi". Ta zapowiedź wypełni się w dniu Pańskim, co nie musi oznaczać, że po tzw. końcu świata. Nie po to Bóg świat stwarza, żeby go następnie niszczyć. Dzień Pański nie jest kwestą przyszłości, ale teraźniejszości. Według Ewangelii już żyjemy w czasie ostatecznym.

W pierwszej modlitwie eucharystycznej czytamy, że umarliśmy, byliśmy martwi z powodu popełnionych grzechów, z których największym było zabicie Jezusa, Syna Bożego. Poddaliśmy Boga piekielnej próbie i okazało się, że Boga zabić nie można, gdyż miłość jest silniejsza od śmierci. A to święto zła, jakim jest dzień śmierci Syna Bożego, okazało się dniem objawienia najgłębszej prawdy o Bogu: „Ty [Ojcze] dałeś nam najwyższy dowód swego miłosierdzia, gdy Twój Syn, jedyny Sprawiedliwy, wydał się w nasze ręce i pozwolił się przybić do krzyża". Wciąż sprzeniewierzamy się Bogu, ale On, w przeciwieństwie do nas, wierności dochowuje. „Wiele razy ludzie łamali Twoje przymierze, a Ty, zamiast ich opuścić, zawarłeś z nimi nowe przymierze przez Jezusa, Twojego Syna i naszego Odkupiciela: przymierze tak mocne, że nic nie może go złamać" – czytamy we wspomnianej modlitwie. To dlatego w dzień sądu Bóg objawi swoją wszechmoc „w łasce przebaczenia".

Papież Franciszek o dniu sądu mówi: „Kiedy zastanawiam się, jak to będzie wyglądało, przychodzi mi na myśl przytulenie. Pan mnie obejmie i powie: tu byłeś wierny, tu niezbyt, ale chodź, świętujmy, że przybyłeś. I przebaczy mi błędy, które popełniłem". „Kiedy widzę chrześcijan zbyt czystych, którzy znają wszystkie prawdy, są pełni ortodoksji, prawdziwej doktryny i nie są w stanie ubrudzić sobie rąk, by pomóc komuś wstać, mówię im: wy nie jesteście chrześcijanami. Nie doszliście jeszcze do chrześcijaństwa". To coś dla nas.

Po odwołaniu mszy z powodu epidemii o. Waldemar Borzyszkowski SJ, jak przystało na proboszcza narodowego sanktuarium, wyszedł do tych, którzy mimo wszystko przyszli, i od razu od piekielnie rozsierdzonej parafianki usłyszał mniej więcej coś takiego: „Winszuję księdzu tej bezbożnej i gorszącej decyzji. Już wam się odprawiać nie chce! Pan Jezus Król wam, jezuitom, nigdy tego nie wybaczy. My, katolicy, także!".

Wbrew tym pobożnym złorzeczeniom wierzę, że akurat tego „grzechu" Jezus nie będzie musiał ani nam, ani komukolwiek wybaczać. „Czy wolno w szabat dobrze czynić – pyta Jezus swoich oskarżycieli – czy źle czynić? Ratować życie, czy zabić? I spojrzał na nich z gniewem, zasmucony z powodu niewrażliwości ich serca". „Na nich", czyli na kogo? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Posłuszeństwo i wzrost

Kochać to, co jest skazane na zniszczenie, wiedząc, że jest skazane na zniszczenie.

SIMONE WEIL

Strzeż przyjaźni.

SENTENCJE DELFICKIE

Wybrał PIOTR SIKORA

Bardzo mocno i zupełnie inaczej niż do tej pory przemówił do mnie końcowy fragment Łukaszowej Ewangelii dzieciństwa Jezusa: „I poszedł z nimi i wrócił do Nazaretu; i był im poddany (...). Jezus zaś czynił postępy w mądrości, w latach i w łasce u Boga i u ludzi" (Łk 2, 51-52). Nasze „poszedł" można by precyzyjnie oddać jako „zstąpił" – to właśnie znaczy użyte tu greckie słowo *katabainō* (od *katá* – w dół + *bainō* – iść, wędrować); św. Hieronim jest tu dosłowny i używa łacińskiego *descendit* („zstąpił").

Owo *descendit* kryje w sobie wiele znaczeniowych pokładów: „zstąpił" – ponieważ Jerozolima, a w niej świątynia, były położone „na górze", więc odchodzenie od świątyni było w rzeczywistości schodzeniem (por. przypowieść o miłosiernym Samarytaninie: „pewien człowiek schodził z Jerozolimy do Jerycha" – Łk 10, 30). Z drugiej strony Nazaret również jest położony na górze, więc wymiar topograficzny nie jest najważniejszy. „Zstąpił" może oznaczać pójście do Nazaretu, czyli do miasta nie tylko o nie najlepszej opinii („Czy może być co dobrego z Nazaretu? – J 1, 46), ale tak naprawdę do miejsca kompletnie nijakiego i nieznanego. Stary Testament nie zna Nazaretu: to miejsce, o którym nic nie można powiedzieć, nie dzieje się w nim nic godnego uwagi (właśnie dlatego, w poszukiwaniu „ostatniego miejsca na ziemi", wybrał Nazaret Karol de Foucauld). W ostateczności jednak – jak myślę – owo *descendit* oznacza uniżenie się do poddania i posłuszeństwa: „był im poddany". Jezus, wcielony Syn Boga „zstąpił" – uniżył się, poddając się rodzicielskiej władzy Maryi i Józefa. Tym właśnie przez wieki zachwycali się chrześcijańscy pisarze. Stwórca świata podporządkował się cieśli! – zdumiewa się św. Antoni z Padwy.

Mnie jednak uderzyło i zachwyciło tym razem jeszcze coś innego – a mianowicie to, że w owym podporządkowaniu i posłuszeństwie Jezus miał doświadczenie „wzrastania". W uniżeniu – rośnie. Poddany i podporządkowany – wzrasta. Świadczy to dobrze o Nim; ale nie mniej dobrze świadczy o Maryi i Józefie. To wcale nie takie proste – myślę nawet, że to wielka sztuka i umiejętność: w taki sposób sprawować władzę (rodzicielską, ale też każdą inną), aby ci, którzy jej podlegają, mieli poczucie ciągłego wzrostu i rozwoju, a nie stłamszenia i blokowania swoich możliwości. Myślę o tym ostatnio wiele; nie dziwcie się: każdego roku, przynajmniej dwukrotnie, kilku, kilkunastu mężczyzn składa mi przyrzeczenie posłuszeństwa. Czy w tym posłuszeństwie stają się coraz bardziej dojrzali i odpowiedzialni? Czy mogą rozwinąć wszystkie tkwiące w nich uzdolnienia i predyspozycje? Czy stają się sami przewodnikami dla innych? Czy rosną? Czy mnie przerosną? Czy wtedy się ucieszę? I czy to są tylko moje pytania? Czy oni nie powinni sobie samym stawiać podobnych? Posłuszeństwo jest niesłychanie ważną rzeczywistością w Kościele (czy tylko w Kościele?); źle przeżywane – i to po obu stronach relacji – może generować dziesiątki dramatycznych problemów. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (29 III – 5 IV)

5. niedziela Wielkiego Postu:
Ez 37, 12-14; Ps 130; Rz 8, 8-11; J 11, 1-45;
Poniedziałek: Dn 13, 1-9. 15-17. 19-30. 33-62;
Ps 23; J 8, 1-11;
Wtorek: Lb 21, 4-9; Ps 102; J 8, 21-30;
Środa: Dn 3, 14-20. 91-92. 95;
Dn 3, 52. 53-54. 55-56; J 8, 31-42;
Czwartek: Rdz 17, 3-9;
Ps 105; J 8, 51-59;
Piątek: Jr 20, 10-13; Ps 18; J 10, 31-42;
Sobota: Ez 37, 21-28; Jr 31; J 11, 45-57;
Niedziela Palmowa:
Iz 50, 4-7; Ps 22; Flp 2, 6-11;
Mt 26, 14 – 27, 66.

KRAJ

NADCIŚNIENIE

Niemal dziesięciomilionowa grupa polskich seniorów trafia na trudny czas: groźba choroby nakłada się na schorzenia już istniejące, lęk przed zakażeniem na już i tak częste lęki, przymusowa alienacja – na powszechne osamotnienie.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Tyle o sobie wiemy, na ile nas sprawdzono – mówi prof. Dominika Dudek, psychiatra. – To będzie bezprecedensowy test: czy obudzą się w nas solidarność i wspólnotowość, czy niższe instynkty w stylu: „Mnie nic nie grozi, a staruszki niech poumierają".

To pierwsze już się obudziło: media społecznościowe obrodziły w fotografie wieszanych na klatkach schodowych ogłoszeń z ofertami „zakupów dla seniora", opowieści o dawno nieprowadzonych rozmowach, krótkich, acz serdecznych spotkaniach przez próg.

To drugie czai się – czasem wypowiadane wprost, innym razem domyślne – w nieustannie powtarzanych statystycznych prawdach, że „młodzi i zdrowi na to nie umierają". W nie zawsze uświadomionym konflikcie pokoleń, w ramach którego naszą wartość wyznacza produkcyjna i prokreacyjna „przydatność".

„Ktoś cynicznie mógłby powiedzieć: ten wirus jest głównie niebezpieczny dla osób powyżej sześćdziesiątki, więc gdyby rzeczywiście nastąpił ten bardzo czarny scenariusz, no to cóż, nasze społeczeństwa się trochę odmłodzą, prawda?" – mówił nie tak dawno w radiowej Jedynce prof. Zdzisław Krasnodębski, socjolog, lat 67. Trudno zresztą orzec, czy wyrażał własną opinię, czy próbował odtwarzać społeczne nastroje („Przepraszam, że to brzmiało tak cynicznie, ale rzeczywiście ktoś mógłby tak pomyśleć" – tłumaczył chwilę później).

Polski senior natrafia w czasie epidemii na przekaz bardziej niejednoznaczny, niżby się wydawało. I na czas trudniejszy, niżby można sądzić z samych statystyk obrazujących ryzyko powikłań COVID-19: groźba choroby nakłada się na schorzenia już istniejące; lęk przed zakażeniem na już i tak częste w tej grupie lęki; przymusowa alienacja – na dość powszechne osamotnienie.

Starość jest kobietą

Natrafia też na czas szczególny w historii. Oto w połowie ubiegłego roku demografowie odtrąbili nadejście symbolicznego momentu: już co czwarty Polak ma 60 lat bądź więcej, przy ledwie 12 proc. jeszcze trzy dekady temu. W ciągu tych 30 lat wolnej Polski liczba 60-latków i osób starszych wzrosła o niemal 4 mln, i niewiele brakuje, by dobiła do 10 mln (to tyle co cała populacja sąsiadujących z nami Czech).

To prawda: moment ukończenia szóstej dekady życia pozostał cezurą głównie prawną (definicja „osoby starszej" w ustawie, moment przejścia kobiet na emeryturę), a nie pro-

ÁLVARO CALVO / GETTY IMAGES

80-letnia emerytka z Santa Eulalia La Mayor (Hiszpania), gdzie w walce z koronawirusem wydano zakaz wychodzenia z domów, marzec 2020 r.

giem prawdziwej starości, ale równie szybko wzrasta udział w społeczeństwie Polaków w wieku sędziwym. O ile osoby z przedziału 80 plus jeszcze dwie dekady temu można było uznać za grupę statystycznie marginalną, teraz to już 1,7 mln Polaków, stanowiących ponad 4 proc. społeczeństwa (w zestawieniu z 2000 rokiem wzrost ponad dwukrotny).

Nawet te dane niewiele jednak mówią o codziennej rzeczywistości wielu polskich gmin, w których wielopokoleniowość przestała niemal istnieć. – Są miejsca, w których wyludnianie trwało od lat 60. XX w. i dotyczyło trzech kolejnych generacji – zauważa prof. Piotr Szukalski, demograf z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego. – Warto w czasie wzmożonej dyskusji o seniorach pomyśleć nie tylko o dużych miastach, ale też o takich gminach jak Orla czy Dubicze Cerkiewne na Podlasiu, albo Telatyn na Lubelszczyźnie. Tam odsetek seniorów dochodzi nawet do 40 proc.!

Nie bez znaczenia, dodaje łódzki demograf, jest też w takich miejscach zabudowa: domy porozrzucane w odległości nawet kilkuset metrów od siebie to pejzaż niesprzyjający wzajemnym kontaktom. – Bywa, że nie widać nawet, czy sąsiad ma włączone światło, nie mówiąc już o regularnych wizytach – mówi prof. Szukalski. – Tam rzeczywistość nijak się ma do miejskich bloków, gdzie w trudnym czasie epidemii można przynajmniej liczyć na przyniesienie zakupów przez kogoś z młodszych mieszkańców.

Polska starość ma twarz samotnej kobiety. Nadumieralność mężczyzn (odchodzą średnio osiem lat wcześniej) sprawia, że w grupie najstarszych seniorów dominują prowadzące w pojedynkę gospodarstwo Polki.

Wiele chorób naraz

Znakiem rozpoznawczym polskiego wieku podeszłego jest też niestety choroba. A raczej – to pojęcie w dobie epidemii COVID-19 odmieniane przez wszystkie przypadki – wielochorobowość. Rzecz jasna schorzenia (podobnie zresztą jak samotność) nie dotykają wszystkich: styl życia i stan zdrowia wielu dzisiejszych 60-, 70-latków nie kojarzy się w ogóle ze starością.

– Warto pamiętać, że to grupa bardzo zróżnicowana – zauważa dr n. med. Hanna Kujawska-Danecka, geriatra z Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych, Chorób Tkanki Łącznej i Geriatrii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. – „Młodzi-starzy", czyli osoby w okresie wczesnej starości, to bardzo często ludzie w dobrym stanie zdrowia, prowadzący aktywny tryb życia.

Z GUS-owskiego raportu „Sytuacja osób starszych w Polsce w 2018 r." wynika np., że co dziesiąty senior korzysta z biblioteki publicznej, ponad jedna czwarta osób z grupy 60 plus podejmuje kształcenie, a mniej więcej taki sam odsetek to aktywni fizycznie. To paradoks czasu epidemii: właśnie ta grupa może najboleśniej odczuć przymusowe odosobnienie.

Choć realne zagrożenie – przynajmniej to zdrowotne – dotyczy innej grupy. – Charakterystyczna dla wieku podeszłego jest większa podatność na infekcje, ale też właśnie wielochorobowość, definiowana przez WHO jako współistnienie dwóch lub więcej schorzeń przewlekłych – tłumaczy dr Hanna Kujawska-Danecka. – Nie wiemy jeszcze zbyt wiele o specyfice COVID-19, ale w dostępnych publikacjach podkreśla się, że czynnikiem zwiększającym ryzyko powikłań jest współwystępowanie chorób przewlekłych, przede wszystkim układu sercowo-naczyniowego, przewlekłej obturacyjnej choroby płuc czy cukrzycy.

Ogłoszone w 2011 r. wyniki badań PolSenior, w ramach którego przepytano niemal 6 tys. osób, pokazały, że aż 75 proc. osób w grupie 65 plus skarżyło się na nadciśnienie, niemal połowa na nieodpowiednio skorygowane wady wzroku, a co czwarta na cukrzycę (w dodatku niemal połowa cukrzyków miała dodatkowe powikłania).

Slogan, że starość nie musi boleć, łatwy jest do wygłoszenia, ale w Polsce słabo się broni. Potwierdza to najświeższy raport GUS-u: swój stan zdrowia jako bardzo dobry ocenia ledwie 1,9 proc. osób w wieku 60 lat ↦

↦ i więcej, jako dobry – niecałe 24 proc. Z kolei aż dwóch na trzech seniorów uskarża się na długotrwałe problemy zdrowotne lub schorzenia przewlekłe.

Trudny czas epidemii natrafia więc na grunt mało korzystny. Co więcej: tak jak trudno dziś przewidywać skalę spustoszeń zdrowotnych, jakie wywoła COVID-19, tak nie sposób oszacować, w jakim stopniu na skutek pozamykanych na cztery spusty instytucji ucierpi stan zdrowia najstarszych Polaków. – Przechodzimy w tryb teleporad – mówi dr Hanna Kujawska-Danecka. – Ograniczane są zabiegi planowe nieratujące życia, ale też potrzebne. Podobnie jest z diagnostyką. Niestety jednym ze skutków ubocznych tego, co się dzieje, będzie ograniczony dostęp do systemu ochrony zdrowia, na którym ucierpieć mogą w dużej mierze właśnie ludzie starsi.

Senior sobie sam

Gdy niemal dekadę temu ogłaszano wyniki pierwszej edycji PolSeniora, największym badawczym objawieniem nie były jednak wcale wskaźniki dolegliwości somatycznych. Media obiegła wówczas inna robiąca wrażenie statystyka, która właśnie dziś – w apogeum lęku przed epidemią – zyskuje dodatkowe znaczenie: aż 30 proc. polskich seniorów dostrzegło u siebie objawy depresji.

– To były wyniki badania kwestionariuszowego, nie można ich więc utożsamiać z pełną diagnozą depresji – tłumaczy dr Hanna Kujawska-Danecka. – Częstość ich występowania, jak pokazują inne badania, w populacji osób starszych dochodzi do kilkunastu procent. A wśród osób z wielochorobowością i przewlekłym bólem jest nawet większa.

Jeszcze bardziej alarmistyczne są dane pokazujące sam szczyt piramidy emocjonalnych problemów najstarszych Polaków. Z najnowszych policyjnych statystyk wynika, że liczba samobójstw w Polsce wzrasta najbardziej w dwóch grupach wiekowych: dzieci i seniorów. W 2019 r. życie odebrało sobie ponad 1100 osób w wieku 65 plus, czyli o 10 proc. więcej niż w roku poprzednim. I nie ma większego znaczenia, czy ten wzrost to „wyłącznie" odbicie zwiększającej się populacji seniorów, czy stoją za tym czynniki głębsze. Na przykład coraz większe poczucie osamotnienia – przyczyna kłopotów emocjonalnych najstarszych Polaków, którą eksperci wskazują od lat.

W przypadku seniorów trudniej o emocjonalne bufory powszechnie dostępne młodszym. Choćby te cyfrowe: **z internetu korzysta wciąż tylko co trzecia osoba z grupy 65–74.**

„Proszę to sobie wyobrazić: zbliża się pan do osiemdziesiątki, pana dzieci wyjechały lat temu 30, a wnuki tym bardziej czują się już mieszkańcami Warszawy, Krakowa czy Białegostoku – mówił kilka tygodni temu na naszych łamach prof. Szukalski, komentując niepokojące statystyki dotyczące dobrostanu psychicznego polskich seniorów. – Brak krewnych, przyjaciele powoli wymierają. Nie bardzo pan wie, co ze sobą zrobić, na dodatek pojawiają się choroby. Na te czynniki nakłada się kultura, w ramach której nie lubimy robić innym przykrości, wyrzutów. Nie dzwoni pan więc, nie użala się, bo gdyby pan to robił, krewni przestaliby może odbierać telefony. »Jak nie będę narzekał, to przyjadą choćby te dwa, trzy razy do roku«. To właśnie ta kultura i nakładające się na nią przemiany mogą powodować coraz więcej problemów".

Jak na tę rzeczywistość może nałożyć się przymusowe odosobnienie w związku z epidemią, nietrudno sobie wyobrazić. Zwłaszcza że w przypadku seniorów trudniej o emocjonalne bufory powszechnie dostępne młodszym. Choćby te cyfrowe: w końcu to właśnie komunikatory, prywatne połączenia za pomocą kamer, zawodowe telekonferencje pozwalają nam w czasie epidemii zachować kontakt ze światem, nawet jeśli to stanowi tylko ersatz prawdziwych relacji. Czy to prywatnych, czy zawodowych (tych ostatnich seniorzy w przytłaczającej większości nie utrzymują – 86 proc. z nich była w 2018 r. bierna zawodowo). Choć wiele się w tej mierze zmienia, a statystyczny 60-latek nie przypomina tego sprzed dekady, cyfrowe wykluczenie nadal widać wyraźnie: z internetu korzysta wciąż tylko co trzecia osoba z grupy 65–74.

W tygodniach, a może i miesiącach przymusowego odosobnienia nie zadziałają też inne mechanizmy obronne. – Do kościoła na różaniec starsze kobiety chodzą nie tylko w celach duchowych, podobnie w przychodni lekarskiej seniorzy załatwiają nie tylko problemy zdrowotne – zauważa prof. Dominika Dudek. – Mam sporo starszych pacjentów, a w zasadzie częściej pacjentek, które przychodzą do mnie ze swoim smutkiem, beznadziejnością, utratą sensu życia. Potem zbliżają się święta, a wraz z nimi wizyta rodziny, i niektóre z tych kobiet odżywają. Gdy leczymy stany depresyjne ludzi starszych, wręcz namawiamy ich na aktywność, spotkania, wychodzenie do ludzi. Na kluby seniora, uniwersytety trzeciego wieku. Teraz nie tylko to wszystko jest zawieszone, ale każdemu spotkaniu z ludźmi może towarzyszyć strach. Odosobnienie jest konieczne, a zawieszenie odwiedzin starszych krewnych powodowane najlepszymi intencjami, ale warto sobie zdać sprawę, że może przynieść też skutek uboczny: nasiloną alienację.

– Większym problemem niż samo osamotnienie może się okazać dla seniorów lęk – uważa z kolei prof. Piotr Błędowski, ekonomista i gerontolog ze Szkoły Głównej Handlowej. – Nawet u tych, którzy mają przyniesione zakupy i nie są zostawieni sami sobie. Są przecież nieustannie bombardowani różnymi informacjami, których, podobnie zresztą jak młodzi, nie są w stanie do końca zinterpretować. A oko ludzkie jest tak skonstruowane, że wzrok pada na te najgorsze wiadomości. Siedząc w czterech ścianach, można na podstawie tych doniesień odnieść wrażenie, że zbliża się koniec świata. Pocieszeniem jest fakt, że jesteśmy świadomi zagrożenia, i że wiele od nas zależy: możemy, ograniczając kontakty, minimalizować zagrożenie.

Pani Ewa spod 43

Trudny dla najstarszych Polaków czas to nie tylko opowieść o nich samych – także o młodszych generacjach. Czy moment kryzysu skruszy międzypokoleniowy mur, czy może go jeszcze umocni? – Na niekorzyść seniorów działa ich pozycja w społeczeństwie, która na przestrzeni lat wyraźnie osłabła – mówi prof. Szukalski. – W trzech podstawowych, badanych przez socjologię wymiarach, a więc władzy, bogactwie i prestiżu, ludzie starsi byli kiedyś na świeczniku. Znacznie większą wartość w oczach młodszych generacji miało też ich doświadczenie życiowe:

uchodzili za „skarbnice wiedzy”. Dziś zyskuje tzw. wiedza zimna, odwołująca się do mniej lub bardziej sformalizowanych informacji. Dodajmy do tego postęp technologiczny, za którym przestają nadążać nawet 40-latkowie. I odwróconą piramidę demograficzną: ona z kolei sprawia, że to seniorzy, których jest coraz więcej, muszą zabiegać o względy dzieci i wnuków, których jest mniej. Dokładnie odwrotnie niż kiedyś.

Prof. Szukalski opowiada o „teście przymiotników”, jaki od lat przeprowadza wśród swoich studentów. – Pytam, z jakimi przymiotami kojarzy im się osoba starsza – mówi łódzki badacz. – Ewidentnie dominują te o zabarwieniu negatywnym, jak „zrzędliwy” czy „czepialski”. Gdy moi studenci już o tym teście zdążą zapomnieć, to samo pytanie zadaję w odniesieniu do ich dziadków. Nadal jest różnorodność opinii, ale tu z kolei dominują przymiotniki pozytywne.

Ten test, zauważa demograf, to tylko jedna z ilustracji prawdy, która w czasach epidemii może mieć niebagatelne znaczenie: w Polsce nastąpiło drastyczne ograniczenie relacji międzypokoleniowych poza tymi w ramach własnej rodziny: – Większość ludzi, z którymi mamy bliskie stosunki poza rodziną, to osoby należące z grubsza do naszej grupy wiekowej. Część młodych ludzi po prostu nie zna dobrze żadnych seniorów poza swoimi dziadkami, dlatego operują stereotypami.

Być może jednak czas szczególny przyniesie też szczególne zachowania. – Mamy do dyspozycji historyczne analogie, mogące dawać nadzieję na to, że w momencie wspólnego zagrożenia budzi się w nas solidarność, by przywołać choćby rok 1980 i ogólną biedę, która wtedy panowała – zauważa prof. Błędowski. – Mało było wówczas postaw „dosiębiernych”: myślano o innych, ludzie dzielili się ze sobą nawet zawartością paczek przychodzących z Zachodu. Potem był kapitalizm, a wraz z nim zaczęliśmy się bardziej skupiać na sobie. Gdy teraz sytuacja wymknęła się spod kontroli, zaczynamy chyba dostrzegać potrzeby innych. Sytuacja jest wyjątkowa, wyjątkowe mogą się też okazać zachowania ludzi.

Prof. Błędowski zaobserwował takie na pobliskim osiedlu: – Były nienachalne, wręcz subtelne. Jacyś ludzie zapytali np. portiera, czy zna w w bloku osoby potrzebujące pomocy.

Opisy podobnych przykładów pojawiły się mediach. „Gorzowianie udostępniają już na Facebooku informację, że w naszym mieście mieszka supergość, a na imię ma Piotrek. To właśnie ten mężczyzna (najprawdopodobniej) jako pierwszy wywiesił na klatce schodowej (...) apel do swoich sąsiadów seniorów. Na białej kartce A4 zaoferował swoją pomoc w zrobieniu zakupów czy też wykupieniu leków” – pisała ponad tydzień temu „Gazeta Lubuska”.

„Drodzy Sąsiedzi Seniorzy, jeśli wolicie nie wychodzić z domu, chętnie zrobię dla Was zakupy lub pójdę do apteki. Mieszkam w tym budynku. Gdyby nie było mnie w mieszkaniu, proszę o kontakt telefoniczny. Piotrek, sąsiad spod numeru 28” – kartkę z takim ogłoszeniem wywiesił 10 marca Piotr Żyłka (rocznik 1986), szef portalu deon.pl i współzałożyciel krakowskiej Zupy na Plantach, pomagającej osobom w kryzysie bezdomności.

Po tygodniu napisał na Facebooku: „Kiedy już myślałem, że moje ogłoszenie nie zadziała, (...) zadzwonił do mnie ktoś ze stacjonarnego telefonu (...) »Dzień dobry, panie Piotrze. Potrzebuję pomocy w kilku rzeczach. I Skype mi się popsuł. Da pan radę mnie jakoś poratować?« – usłyszałem w słuchawce. Tak zaczęła się moja znajomość z sąsiadką spod numeru 43. Pani Ewa. Rocznik 1936. Wyczynowa wioślarka”.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

POŻEGNANIE

15 marca 2020 roku odeszła

Ś.† P.

Ewa Unger

Była dla nas uosobieniem odwagi i pokory, dialogu i pojednania, skromności i bezinteresowności.
Wdzięczni za świadectwo Jej życia i dar spotkania z Nią żegnamy naszą Dużą Ewę pogrążeni w wielkim smutku.

GRONO KRZYŻOWSKICH PRZYJACIÓŁ Z WROCŁAWIA:
RENIA, MAŁA EWA, MONIKA, ELA, RENATA,
JOLA, LUCYNA, MAREK, KAZIMIERZ

Z wielkim żalem żegnamy

Ś.† P.

dr Ewę Unger

Osobę mającą ogromne zasługi w budowaniu przyjaznych relacji polsko-niemieckich,
wieloletnią prezes wrocławskiego Klubu Inteligencji Katolickiej,
współzałożycielkę i wieloletnią przewodniczącą
Zarządu Fundacji „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego.

Rodzinie i Przyjaciołom Pani Ewy
składamy wyrazy głębokiego współczucia.

ZARZĄD, PRACOWNICY I GREMIA
FUNDACJI „KRZYŻOWA” DLA POROZUMIENIA EUROPEJSKIEGO

SAMUEL DE ROMAN / GETTY IMAGES

Prastara sztuka prokrastynacji

MAREK RABIJ

Jeśli po tygodniu pracy z domu nadal czujecie się nie na miejscu, powinniście sobie gratulować, zamiast czynić wyrzuty. To znak, że nie straciliście kontaktu z rzeczywistością.

Pracowałem z domu, zanim stało się to modne. Ponad 16 lat, licząc od pewnego listopadowego popołudnia 2001 r., gdy po udanej rozmowie kwalifikacyjnej w pewnej stołecznej redakcji wypaliłem do nowego szefa: „Rozumiem, że nie muszę przeprowadzać się do Warszawy?”.

Chciałem powiedzieć coś dokładnie odwrotnego. Podkreślić zrozumienie dla konieczności przenosin z mojej strony. Wykazać się przed nowym pracodawcą ową „elastycznością i dyspozycyjnością”, bez których nie mógł się wtedy obejść żaden list motywacyjny. Opór przed porzuceniem Krakowa wziął jednak najwyraźniej górę i język powiedział, co naprawdę myślała głowa. Na szczęście nim zdążyłem się poprawić, świeżo poznany szef posłał mi spojrzenie człowieka zaskoczonego bezczelnością, jaka go właśnie spotkała, westchnął i nieoczekiwanie wyraził zgodę. „Pomyślałem – wyznał mi po latach – że musisz wiedzieć coś, o czym ja nie mam pojęcia, i wyjdę na głupka, jeśli się nie zgodzę”.

Zostałem telepracownikiem. Rzecz jasna nie zdawałem sobie sprawy z tego, na co się porywam. Praca w domu po prostu wydawała mi się idylliczną kombinacją zalet etatu, czyli stabilnych dochodów, i elastyczności typowej dla samozatrudnienia. W myślach żegnałem się więc z budzikiem i porannym ściskiem w komunikacji miejskiej, których miejsce miała odtąd zająć wyprawa po croissanty do najbliższej piekarni i niespieszna lektura prasy do porannego espresso. *Work-life balance* w czystej formie, jak powie-

dzieliby współcześni doradcy personalni. O tym, że praca zdalna może kojarzyć się ze wszystkim poza właśnie równowagą, miałem się dopiero przekonać.

Czy jeszcze pracuję?

Kiedy piszę te słowa, z sąsiednich pomieszczeń dobiegają ostre rockowe riffy gitary elektrycznej, przez to przebijają się odgłosy reprymendy, jakiej młodszy syn udziela krnąbrnym klockom Lego. W kącie chrapie zmęczony spacerem pies, a paletę doznań dźwiękowych co jakiś czas uzupełnia zza ściany płacz dziecka sąsiadów. Kot wyniośle dystansuje się od tego harmidru, lubi jednak siąść okrakiem na oparciu fotela, w którym usiłuję klecić słowa w zdania, żeby co jakiś czas przeciągnąć mi po twarzy ogonem.

Są to – powiedzmy szczerze – okoliczności, w których można łamać na przesłuchaniu największych twardzieli, nie warunki do pracy. Nieważne, czy komponujesz sonatę czy linijkę kodu komputerowego, wklepujesz dane do arkusza kalkulacyjnego czy namawiasz zdalnie klienta do zakupu koparki. Dwie godziny w podobnych okolicznościach przekształcają motywację w zagubienie, po trzech mózg zmienia się w papkę, a po kolejnej z największych ambicji ostaje się jeno garstka popiołu desperacji. Jestem w dodatku przekonany, że nie muszę tego nawet tłumaczyć.

Odkąd SARS-CoV-2 odesłał niemal wszystkich Polaków w wieku produkcyjnym w domowe – wybaczcie sarkazm – zacisze, doskonale wiecie, o czym piszę. Wiedzcie więc również, że doświadczenia wyniesione z 16 lat pracy zdalnej nie uczyniły mnie lepiej przygotowanym na bieżące wyzwanie. Podobnie jak wy po kilka razy dziennie usiłuję teraz odpowiadać sobie na pytanie, czy jeszcze pracuję, czy może już gotuję obiad, albo czy wciąż czytam synowi bajkę, czy może już odpisuję na ważny mail.

Dwie godziny na plus

Naszym przekleństwem w tej sytuacji staje się poczucie odpowiedzialności. Zbyt wiele życiowych funkcji skoncentrowanych na zbyt małej przestrzeni musi doprowadzić do interferencji aspiracji. Nawet podczas kwarantanny nosimy przecież w teczkach buławy prezesów, genialnych naukowców czy wybitnych pisarzy, a jednocześnie wciąż intuicyjnie próbujemy trzymać z dala barbarzyńców, jakimi są obowiązki służbowe, od ogrodu życia prywatnego. Jako debiutanci w tej wymagającej grze zapewne próbujecie wypracować jakiś kompromis, dlatego skrócę wam męki – nie warto. To się nie może udać.

Kiedy pracowałem zdalnie przed kwarantanną, trzymałem się kurczowo narzuconej sobie samemu zasady, że czas, gdy domownicy szczęśliwie dla mnie znikają za drzwiami, rezerwuję wyłącznie na pracę. Dokładniej – na obowiązki, którym prawdziwy facet musi sprostać bez względu na okoliczności. Kiedy więc podczas lektury trudnego artykułu lub długiego raportu podświadomość nagle przypominała mi o pilnym odmrożeniu lodówki, ugotowaniu tajskiej zupy, myciu okien czy o zakupie nowej obroży dla psa, bez wahania odkładałem na bok wcześniejsze błahostki. Powiadam wam, jeśli tego jeszcze nie wiecie: kto nigdy nie pracował dłużej z domu, ten nie zdaje sobie sprawy, do jakiej perfekcji można dojść w prastarej sztuce prokrastynacji.

Właśnie dlatego nie warto walczyć. Lepiej dać się ponieść tej fali. Bo właściwie dlaczego mielibyście siedzieć przy komputerze ustawowe osiem godzin w sytuacji, gdy za oknem wszystko zaprasza do treningu biegowego, a w głowie nie rodzą się żadne konkrety? Analogicznie – jaki sens ma przekonywanie siebie (nie wspominając o uwieszonym na szyi sześciolatku), że ma się w tej chwili coś szalenie ważnego do zrobienia, gdy słowa i serce zgodnie podpowiadają, że tą niezwykle ważną sprawą jest właśnie ulepienie ośmiornicy z ciastoliny? Oczywiście nie wszystkim praca pozwala na pełną elastyczność, jeśli jednak się da, warto pracować tylko wtedy, kiedy naprawdę pozwalają na to warunki. Choćby wczesnym rankiem i w nocy. Bo oto za sprawą kwarantanny doba w cudowny sposób wydłużyła się o te półtorej-dwie godziny, które wcześniej każdego dnia traciliśmy na dojazdy do pracy i powrót do domu. Jeśli nie wierzycie, spróbujcie, sprawdziwszy na własnych organizmie, czy bliżej mu do sowy, czy raczej skowronka, popracować intensywnie w rześkości poranka lub w ciszy późnej nocy. Dwie godziny w takich warunkach mogą czasami wystarczyć na nadrobienie zaległości z połowy dnia.

Zaufanie

Oczywiście, trudno przyznać przed samym sobą, że w czasie pracy człowiek zajmuje się czymś, o czym milczy umowa o pracę lub kontrakt. Ale czy przed epidemią praca miała wobec was podobne skrupuły? Czy uprzejmie pytała domowników o zgodę na przetrzymanie was w biurze przez kilka nadgodzin? To, co do niedawna nazywaliśmy „normalnością", było w istocie sprytną taktyką salami, za pomocą której praca przejmowała kontrolę nad kolejnymi godzinami czasu wolnego. „Po godzinach ogranicz do niezbędnego minimum lekturę służbowych maili" – to pierwsza z brzegu porada od złotoustych doradców od wspomnianego już *life-work balance*. Niezbędne minimum? Jak w ogóle doszło do tego, że służbowa poczta wędruje za nami do domu? Czas na rewanż jest tym lepszy, że wszyscy siedzą teraz w izolacji i przeżywają podobne rozterki. Na co dzień, jako zdalne rodzynki w korporacyjnym cieście, mielibyście znacznie trudniej. Prawda jest bowiem bolesna: pracując z domu, dla przełożonych zawsze będziecie dekownikami.

Znam kilku światłych i uczciwych przedsiębiorców, którzy błyskawicznie przeistaczają się w archetypicznego Janusza biznesu, gdy w rozmowie z nimi pojawia się wątek pracy zdalnej. Nie chodzi o spadek efektywności. Badania prowadzone m.in. w Japonii i w USA pokazują, że tryb zdalny zapewnia wręcz jej wzrost w przedziale od 3 do 9 proc. – o ile pracodawca rzeczowo podejdzie do sprawy i zapewni stosowne narzędzia, np. VPN do zdalnego połączenia z korporacyjną siecią. Skąd zatem przekonanie, że pracownik zdalny się leni? Dlaczego „dupogodziny" marnowane w biurach całego globu na oglądaniu YouTube'a, e-zakupach czy wertowaniu mediów społecznościowych łatwo przechodzą test „czasu pracy", któremu nie jest w stanie sprostać podwładny robiący to samo, ↦

RDC POLSKIE RADIO

MAREK RABIJ będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 25 marca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

tylko z domu? Specjaliści od zarządzania od dawna wytykają rodzimym menedżerom brak umiejętności tzw. delegowania obowiązków, co z kolei wynika z ograniczonego zaufania nie tyle do umiejętności podwładnych, co ich motywacji.

Nie jest to oczywiście zabawa dla każdego. Niemcy i Brytyjczycy, którzy na początku stulecia poważnie myśleli o przeniesieniu jak największej części swoich etatów do domów, przeprowadzili także pierwsze kompeksowe badania poziomu zadowolenia pracowników zdalnych. Wyniki pokazały, że od trybu zdalnego trzeba trzymać jak najdalej osoby ze skłonnościami do pracoholizmu. Kolejnym odkryciem było to, że poziom satysfakcji z tego typu pracy nie ma w praktyce wiele wspólnego ze stereotypowym podziałem na introwertyków i ekstrawertyków. Kluczem do zadowolenia nie były nawet oceny ze strony przełożonych czy zarobki. Rzecz cała rozbijała się przede wszystkim o zaufanie. Ważne okazywało się też poczucie odpowiedzialności: osoby, które je przejawiają (a do tego skądinąd niezbędne jest, by czuły zaufanie pracodawcy), potrafią znacznie lepiej docenić fakt, iż dostają wolną rękę w realizacji obowiązków.

Problem w tym, że siedząc w domu łatwo tę samokontrolę utracić także w innych obszarach. Ujmę to dyplomatycznie: internetowe historyjki o zdalnych pracownikach snujących się po domu w piżamach, trzy dni bez prysznica, wyjadających z dna lodówki resztki jedzenia, nie są wcale przesadzone. Wiem, co mówię. Dziś w tej mierze zrobiło się trudniej. Odkąd pracodawcy zyskali możliwość prowadzenia telekonferencji, również telepracownicy stracili swobodę w zmienianiu się w niemyte straszydła. Pojawiły się jednak inne trudności. Żona znajomego, który w ich sypialni urządził sobie tymczasową salę telekonferencyjną, kilka dni temu wzięła niechcący udział w jego wideonaradzie z podwładnymi odziana jedynie w turban z ręcznika na głowie.

Kluczem do zadowolenia z pracy zdalnej jest zaufanie i poczucie odpowiedzialności: osoby, które je przejawiają doceniają fakt, iż dostają wolną rękę w realizacji obowiązków.

Przecież w domu

Elastyczny czas pracy i nieobecność w biurowym kotle intryg nie czynią też telepracowników odpornymi na większość klasycznych korporacyjnych przypadłości. Pracując z domu, możecie być niemal pewni, że zobaczycie swoje nazwisko na szczycie listy pracowników wyznaczonych do ewentualnego zwolnienia; dla szefów jesteście przecież tylko nazwiskiem na liście płac. Księgowość niemal na pewno zapomni o waszych dzieciach, kiedy będzie przygotowywać listę adresów, na które pracodawca wyśle bożonarodzeniowe paczki. Jako ostatni, oczywiście przez przypadek, dowiecie się również o atrakcyjnym szkoleniu, które dawno temu zapowiedziano w centrali. A dla kolegów w biurze będziecie naturalnym kandydatem na kozła ofiarnego przy każdej większej wtopie. Nic prostszego, jak udowodnić, że to „ten zdalny" znów nie zrozumiał procedur, coś przegapił albo zlekceważył. Pracujecie „przecież w domu".

Zapamiętajcie ten zwrot. Gdy świat wyjdzie z kwarantanny, biura znów zatętnią życiem, ale wy postanowicie pozostać na trwałe w trybie zdalnym, będziecie słyszeć go systematycznie. Kiedy przed świętami lub długim weekendem trzeba będzie wyznaczyć kogoś do zdalnego dyżuru, myśli uczynnych kolegów od razu popłyną w waszą stronę. „Przecież ty i tak pracujesz z domu" – usłyszycie i nie próbujcie nawet odszczekiwać się współpracownikom, że i oni nie musieliby w tym celu gnać do biura. Pewnej piątkowej nocy, właściwie już w sobotę rano, z łóżka zerwał mnie telefon od przełożonego, który jadąc z Warszawy do Zakopanego mijał właśnie Kraków i przypomniał sobie, co miał mi przekazać przed urlopem. Znalezienie wytłumaczenia, dlaczego wydzwania do mnie po nocy, nie zajęło mu wiele czasu.

„Bo ty przecież pracujesz z domu".

©℗ MAREK RABIJ

REKLAMA

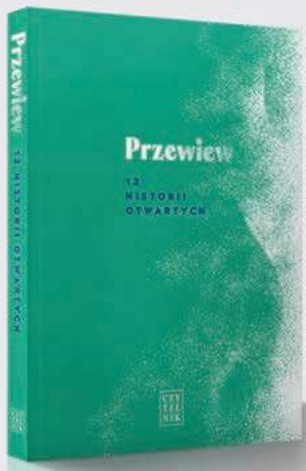

Przewiew.
12 historii otwartych

zbiór reportaży o absolwentkach i absolwentach Programu Liderzy Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności realizowanego przez Fundację Szkoła Liderów od 15 lat

12 historii, 22 liderek i liderów i 1 cel: szukanie sposobu na budowanie trwałych społeczności

„Robią to, czego nikt inny nie zrobi, rzeczy konieczne i najważniejsze, a jednocześnie powszednie, codzienne. Przywództwo dzieje się tu poprzez proste działania, w zwykłych sprawach. Nic szczególnego? A jednak".

Katarzyna Czayka-Chełmińska
prezeska Fundacji Szkoła Liderów

KSIĄŻKA JEST DOSTĘPNA W KSIĘGARNIACH

WIĘCEJ INFORMACJI: www.liderzy.pl

SZKOŁA LIDERÓW
POLSKO-AMERYKAŃSKA FUNDACJA WOLNOŚCI
LIDERZY PAFW
CZYTELNIK

JACEK TARAN DLA „TP"

Bartosz „bejott" Jakubowski, zawodnik Wisły Kraków w e-sporcie, marzec 2020 r.

Zagraj Błaszczykowskim

MARCIN CHODUŃ

Coraz więcej drużyn ekstraklasy piłkarskiej zakłada sekcje e-sportowe.

Cztery stoliki, na każdym monitor. Pomiędzy nimi coś w rodzaju parawanu – chodzi o to, żeby gracze nawzajem się nie rozpraszali. Siedzą już na stanowiskach: do tak ważnego meczu trzeba się psychicznie przygotować.

Pod sufitem dużego pomieszczenia w sektorze rodzinnym na stadionie Wisły Kraków mnóstwo pozawieszanych baloników i wstęg. Zaraz zaczną się zamknięte kwalifikacje do wiosennej rundy Ekstraklasy Games. Czyli do turnieju futbolowej gry wideo „FIFA".

Jak tam twój mecz?

Mieszko Łabuz, menadżer sekcji e-sportowej Wisły Kraków: – Pomysł sekcji pojawił się w klubie już w 2016 r. Ostatecznie powstała w październiku zeszłego roku w związku z pojawieniem się w naszym kraju turnieju Ekstraklasa Games. Do rozgrywek każdy klub z polskiej Ekstraklasy jest zobowiązany wystawić e-sportową drużynę „FIF-y".

Rywalizacja odbywa się niezależnie od siebie na dwóch konsolach: PlayStation 4 i Xbox One. Pierwsze dwie rundy – zimowa i wiosenna – zaczynają się od kwalifikacji *online*, które są prowadzone oddzielnie dla każdego klubu. W finałowej grają zwycięzcy klubowych turniejów kwalifikacyjnych. W decydującym meczu sezonu, wzorem międzynarodowych rozgrywek w innych ligach, naprzeciw siebie stają: najlepszy gracz na PS4 oraz najlepszy gracz na XO.

Rozgrywki e-sportowe mają już m.in. angielska Premier League i niemiecka Bundesliga. Zwycięzcy polskiej ligi rywalizują w turnieju także o punkty do rankingu „FIFA 20 Global Series" i możliwość walki o awans na mistrzostwa świata.

Mieszko Łabuz: – Uznaliśmy, że utworzenie sekcji e-sportowej to także dobry sposób na zaistnienie z marką Wisły wśród młodych ludzi. Dzięki temu ojciec kibic może po powrocie z prawdziwego meczu zapytać syna: „Jak tam twój mecz?".

Choć do rozpoczęcia meczu jeszcze grubo godzina, w pomieszczeniach sektora rodzinnego na wiślackim stadionie kręci się trochę ludzi. Do stanowisk graczy co rusz podchodzi jakiś dzieciak i zza pleców gapi się na ekrany.

W turnieju zagra czterech zawodników. Dwaj z nich – Bartosz „bejott" Jakubowski (25 lat), grający na Xbox One, i Jakub „cyanide" Mikołajewski (23 lata) na PlayStation 4 – to zawodnicy Wisły. Dwaj pozostali – „P1ngwin" i Bartek „Kovu" Kępski – to gracze z tzw. otwartych eliminacji, w których może wziąć udział każdy chętny.

Sekcje e-sportowe ma już wiele klubów polskiej ligi piłkarskiej, m.in. Arka Gdynia, Jagiellonia Białystok, Piast Gliwice, Wisła Płock, Zagłębie Sosnowiec czy Legia Warszawa. Ich zawodnicy w większości grają w „FIF-ę". Ale Arka, Wisła i Piast mają też ludzi grających w strzelankę „Counter-Strike".

– W odróżnieniu od „FIF-y", w której gracz sam steruje całą piłkarską drużyną, „Counter-Strike" jest sportem zespołowym – objaśnia Łabuz. – W drużynie jest pięciu zawodników, jest trener, pod okiem którego gracze ustalają taktykę: kto od której strony wchodzi, kto ma być bardziej z przodu, a kto z tyłu. Rozgrywki w „Counter-Strike'u" różnią się od „FIF-y" także wysokością nagród w turniejach. Jeśli w przypadku „piłki" pula nagród wynosi maksymalnie kilkadziesiąt tysięcy złotych, to na turniejach „Counter-Strike'a" są to kwoty liczone często w setkach tysięcy dolarów.

Z banku przed konsolę

Stadion warszawskiej Legii. Zawodnik legionistów w „FIF-ie", Miłosz „miłosz93" Bogdanowski (27 lat), prowadzi do niewielkiej salki konferencyjnej. W wirtualną piłkę gra od szóstego roku życia. Na początku wyłącznie dla zabawy z dwoma starszymi braćmi. – Gdyby nie oni, nie byłbym taki dobry – opowiada. – Miałem po prostu starszy wzór.

W 2011 r. kupił konsolę Xbox 360 i zagrał w pierwszym turnieju w sieci. Odpadł w pierwszej rundzie. Rok później znów spróbował i wygrał. W kolejnych latach przyszły kolejne zwycięstwa i mistrzostwo Polski w 2014 r. Miał wtedy 21 lat i był już na drugim roku studiów informatycznych. Rok później wygrywał na konsoli PlayStation 4.

– Po raz kolejny byłem mistrzem, ale tak naprawdę nie myślałem, że będzie ↦

z tego coś większego. Nie planowałem żadnej kariery.

Przyszedł rok 2017 i kolejne mistrzostwa Polski. – To był największy turniej, jaki widziałem w tamtych czasach. W imprezę była zaangażowana nawet TVP Sport, która transmitowała skróty meczów i robiła wywiady z zawodnikami. Krótko potem zadzwoniła Legia z propozycją kontraktu. Podpisałem go w sierpniu 2017 r. i od tej chwili jestem zawodowym graczem „FIF-y".

Stadion Wisły Kraków, godzina czternasta. Zaczęły się obydwa mecze. Wokół graczy zebrana grupa kibiców – to głównie mali chłopcy. Za nimi z mikrofonem profesjonalny komentator, relacjonujący *online* mecz Bartka „bejotta" Jakubowskiego z Bartkiem „Kovu" Kępskim.

„Bejott", wcześniej swobodny, teraz już wyraźnie skupiony. Jego początki w grze „FIFA"? W 2010 r. na wakacje pojechał do rodziny do Londynu. Grał już wtedy, owszem, w jakieś gry fabularne na komputerze, ale konsoli jeszcze nie miał. Na miejscu wziął po raz pierwszy w życiu do ręki kontroler. Pierwszy mecz przegrał, drugi zremisował, a od trzeciego nikomu już nie dawał żadnych szans. Było jasne, że ma do tego smykałkę.

Zaczął rywalizować w turniejach amatorskich, natomiast kiedy wszedł po raz pierwszy w świat profesjonalistów, zderzył się ze ścianą: znów przegrywał mecz za meczem. Ale to tylko jeszcze bardziej go zmotywowało do treningów.

W 2012 r. awansował na mistrzostwa Polski na Xboksie. Pierwszy mecz przegrał siedem do zera. – Wtedy pomyślałem: „Albo przyjechałem tu coś osiągnąć, albo tylko pooglądać mecze i wrócić do domu". Zdobyłem wreszcie swoje pierwsze mistrzostwo. I od tego momentu zacząłem to swoje granie traktować bardzo poważnie.

Tak poważnie, że rok temu rzucił nawet etatową pracę. Po studiach pracował przez 2,5 roku w banku. Teraz żyje nie tylko z kontraktu z klubem. Na YouTubie transmituje swoje rozgrywki (do 100 godzin miesięcznie), umieszcza porady i materiały związane z „FIF-ą". Widzowie (ma aktualnie 84 tys. subskrypcji) wpłacają datki. Czerpie też dochody z reklam oraz dodatkowych umów sponsorskich.

Kiedyś na boisku

Kiedy zaczęła się przygoda Jakuba „cyanide" Mikołajewskiego z „FIF-ą"? Jest studentem czwartego roku anglistyki na Uniwersytecie Rzeszowskim, też grał od dziecka. Za poważne granie, opowiada, zabrał się jednak dopiero w 2018 r. Wtedy też kupił swoją pierwszą konsolę PlayStation 4 i zaczął brać udział w mniejszych, niszowych rozgrywkach. Tam zbierał pierwsze turniejowe doświadczenia.

W tamtym roku miał bardzo dobry sezon: wygrał jedną ligę, a w kolejnej zajął drugie miejsce (w poprzednich latach nie było na PS4 mistrzostw Polski, tylko trzy serie ligowych rozgrywek w trakcie sezonu). I wszedł tym samym do ścisłej czołówki pięciu najlepszych polskich graczy.

Jakub: – Jako młody chłopak trenowałem piłkę, choć były to raczej niszowe kluby w moim rodzinnym mieście, Ustrzykach Dolnych. To zapewne też spowodowało, że tak bardzo wszedłem w świat wirtualny.

Również Miłosz z warszawskiej Legii niegdyś biegał intensywnie po boisku. W dzieciństwie grał w rodzinnej Ostrołęce, w czwartoligowym klubie Narew: – Większość zawodników e-sportowych w dzieciństwie trenowała piłkę. Może dzięki temu byliśmy od razu o krok do przodu przed innymi graczami: mieliśmy inne spojrzenie na boisko i więcej umieliśmy pod względem taktycznym – mówi.

A taktyka w grze, w której jeden zawodnik z padem w rękach staje się „mózgiem" poruszającym całą swoją drużyną, jest wszystkim. Tu nie ma miejsca na dowolność i nagłe przebłyski geniuszu graczy biegających po murawie.

Czy trenują według jakiegoś planu? Miłosz: – Nie mam żadnego planu treningowego. Chodzi o to, żeby do niczego się nie zmuszać, żeby nie było presji. Gram wieczorami, średnio pięć-sześć godzin dziennie.

Nie mam żadnego planu treningowego. Chodzi o to, żeby do niczego się nie zmuszać, żeby nie było presji.
Gram wieczorami, średnio pięć-sześć godzin dziennie.

Bartek też nie ma ustalonego reżimu, umawia się po prostu przez sieć z innymi graczami. – Swój czas podzieliłbym na rutynę tygodniową i weekendową. W soboty i niedziele gra się zdecydowanie więcej niż w tygodniu – mówi.

– Ile dziennie gram? – zastanawia się Jakub. – Różnie. Bywają dni, gdy prawie nie grasz, są też dni, gdy siedzisz przy konsoli nawet cztery godziny.

Czy mają czas na inne aktywności?

Miłosz: – To, co robię w „FIF-ie", jest jak zdalna praca. Poza nią mam sporo czasu – chodzę na siłownię i na basen, jeżdżę na rowerze.

Bartek: – Poza graniem chodzę prawie codziennie na siłownię. Siedzenie przy komputerze jest jednak męczące, więc człowiek potrzebuje prawdziwego ruchu.

Za dużo przypadku

Wszyscy są zgodni: czasami na grę nie da się po prostu już patrzeć.

Jakub: – Jak czasami nie idzie, to człowiekowi tak nerwy szaleją, że lepiej przerwać. Zwłaszcza że w „FIF-ie" jest sporo przypadku.

Miłosz: – Też uważam, że dla profesjonalnych graczy przypadkowość to spory problem. Producent nie wie chyba do końca, czy to ma być gra do zabawy oparta na schematach, czy symulator z dużą dozą losowości. Teraz po naciśnięciu guzika strzału piłka poleci raz tu, raz tam.

Rzadko grają przed publicznością. Widownia pojawia się zwykle na dużych turniejach, i to raczej w fazie finałowej. Zdarzają się oklaski i głosy zachęty. Na przykład: „Zagraj Błaszczykowskim!" albo „Strzel Ronaldo!". Gracze sterują drużyną złożoną z wirtualnych wcieleń piłkarskich gwiazd. Licytują je na rynku transferowym zarządzanym przez producenta gry, płacąc „monetami", które zdobywa się jako nagrody za wygrane w turniejach, albo uzyskuje przelewając prawdziwe pieniądze. Może się zdarzyć, że w dwóch grających naprzeciw siebie składach występują ci sami piłkarze. Ale poziom ich wirtualnej gry zależy od umiejętności gracza.

Ile zamierzają grać? Mówią zgodnie: wszystko zależy od wyników. Zostaną w tym, dopóki będą się z grania mogli utrzymać.

© MARCIN CHODUŃ

ANNA

Dziewit-Meller: *Sto lat*

Równo 39 lat temu o 7 rano przyszłam na ten piękny świat. Podobno wiosna była wówczas w pełni i mój tata stojąc pod oknami porodówki przychodził w samym swetrze na widzenia, podczas których usiłowali z mamą coś sobie przekazać krzycząc głośno, a kwiaty na szpitalnych rabatkach kwitły jak nienormalne. Dziewięć miesięcy później wprowadzono stan wojenny, który moi rodzice przetrwali jak wszyscy inni, radząc sobie raz lepiej, raz gorzej, a pod jego koniec radząc sobie na tyle dobrze, że w 1984 r. urodził mi się brat.

39 lat później wiosna przeciętna, teraz na przykład trochę siąpi, ale też najdziwniejsza ze wszystkich, jakie przyszło mi przeżyć. Nie wiem, czy to już PESEL, czy liczba ostatnich stresów, ale ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczyłam kilka dni temu pierwsze siwe włosy na swojej głowie. Traktuję je jako wielkie wydarzenie, genetycznie bowiem tak jestem zaprogramowana po rodzicach i babciach z obu stron, że siwienie przychodziło do naszych zawsze późno, tak że pytania o to, czy się wszyscy farbujemy, były naturalne. Nie – po prostu długo nie siwiejemy.

Najpierw w próżnym odruchu paniki pomyślałam, że natychmiast wyrwę tę siwą zarazę razem z cebulkami, by w ten łatwy, a bezbolesny sposób odsunąć od siebie widmo starości, gnicia i upadku. Chwilę później jednak przyjrzałam się jej raz jeszcze i pomyślałam: „Ale właściwie po co mam pozbawiać się wspaniałych odznak, świadczących o tym, że swoje już przeżyłam i że coś tam już w życiorysie mam do zapisania? Niech są i błyszczą jak białe nitki w słońcu marcowym!”.

Starość dziś – wiosną 2020 r. – zaczęła mieć zupełnie nowe znaczenia, myślę, że od dawna ludzie młodsi nie poświęcali czasu na rozmyślania o tych, którzy są i bliscy, i starsi.

Ja zaś postanowiłam – chyba głównie dla siebie samej – zacząć robić starzeniu się lepszy PR, tak by przestać się przed nim wzbraniać i udawać, że mnie nie dotyczy, a wartością jest tylko to, co świeże jak skóra na policzkach moich dzieci.

Zwłaszcza że są naukowe dowody na to, iż to, co w nas jednak najważniejsze – czyli nasza osobowość – wbrew temu, co myślano jeszcze niedawno, zmienia się przez całe życie. Uwaga zatem: nie jest tak, że gdy osiągamy dojrzałość, zostajemy zabetonowani w czymś raz na zawsze. Badania naukowców z uniwersytetu w Edynburgu dowodzą, że bynajmniej nie jesteśmy jedną i tą samą osobą przez całe życie. I chwała naturze za to! Mamy pole manewru.

Zwykliśmy myśleć o starzeniu się jako o równi pochyłej, o procesie, który powoduje, że zanika wszelka pożądana jędrność, ustępując miejsca znienawidzonej obwisłości. Pomyślcie jednak, proszę, jakie to wspaniałe, kiedy idzie o rozwój naszej osobowości, że starzenie się może przynieść nam zmiany na dobre.

Otóż bowiem – jak czytam w tekście Zarii Gorvett na stronach BBC poświęconych przyszłości świata – trzy cechy osobowości znane jako Ciemna Triada: makiawelizm, narcyzm i psychopatia, wraz z wiekiem mają tendencję do wyraźnego słabnięcia. Stajemy się po prostu lepszymi ludźmi, przekraczając kolejne bariery wieku, zwłaszcza gdy startujemy z poziomu zimnych drani (figura skruszonego gangstera pasowałaby tu jak ulał). Jest szansa również na to, że wraz z coraz bardziej opadającą powieką opadnie nam (jeśli takową przejawiamy) skłonność do zachowań ryzykownych i antyspołecznych, w tym ochota do popełniania przestępstw i nadużywania np. narkotyków.

Ale jest jeszcze lepiej. Mamy na starość stawać się bardziej altruistyczni, lepiej dopasowani społecznie i co może najważniejsze: znacznie lepiej niż w wieku lat 30 panujący nad swoimi emocjami. Psychologowie nazywają ten proces dojrzewaniem osobowości i jego koniec upatrują już nie po trzydziestce, ale w ostatnich dniach, które spędzimy na tym padole. Krótko mówiąc – nawet jeśli jak ja macie już 39 wiosen na karku, nawet jeśli właśnie pękło wam znacznie więcej – możecie spokojnie założyć, że proces szlifowania waszej osobowości bynajmniej nie jest już ukończony i że zawsze można spróbować coś w sobie zmienić tak, by nam wyszło na zdrowie.

Ważne jest też to, że stabilne psychicznie osoby doskonale wpływają na swoje otoczenie, więc jest po co się starać.

Świętując dziś w dobrowolnej kwarantannie ukończenie 39. roku życia, z tortem zrobionym naprędce z tego, co było pod ręką, z bukietem rachitycznych kwiatuszków zebranych przez dzieci w lesie, myślę o starzeniu i starości ze spokojem. Biorąc pod uwagę sytuację w której się znajdujemy, można wręcz rzec, że marzę o tym, by świat zapewnił mi możliwość zestarzenia się. Obiecuję – będę pracować nad sobą wytrwale, skoro mam taką możliwość. Obecnie ćwiczę się w świętej cierpliwości i walce z panikarstwem. I jest to wielka próba. Z okazji urodzin życzę sobie, bym ją przeszła pomyślnie. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

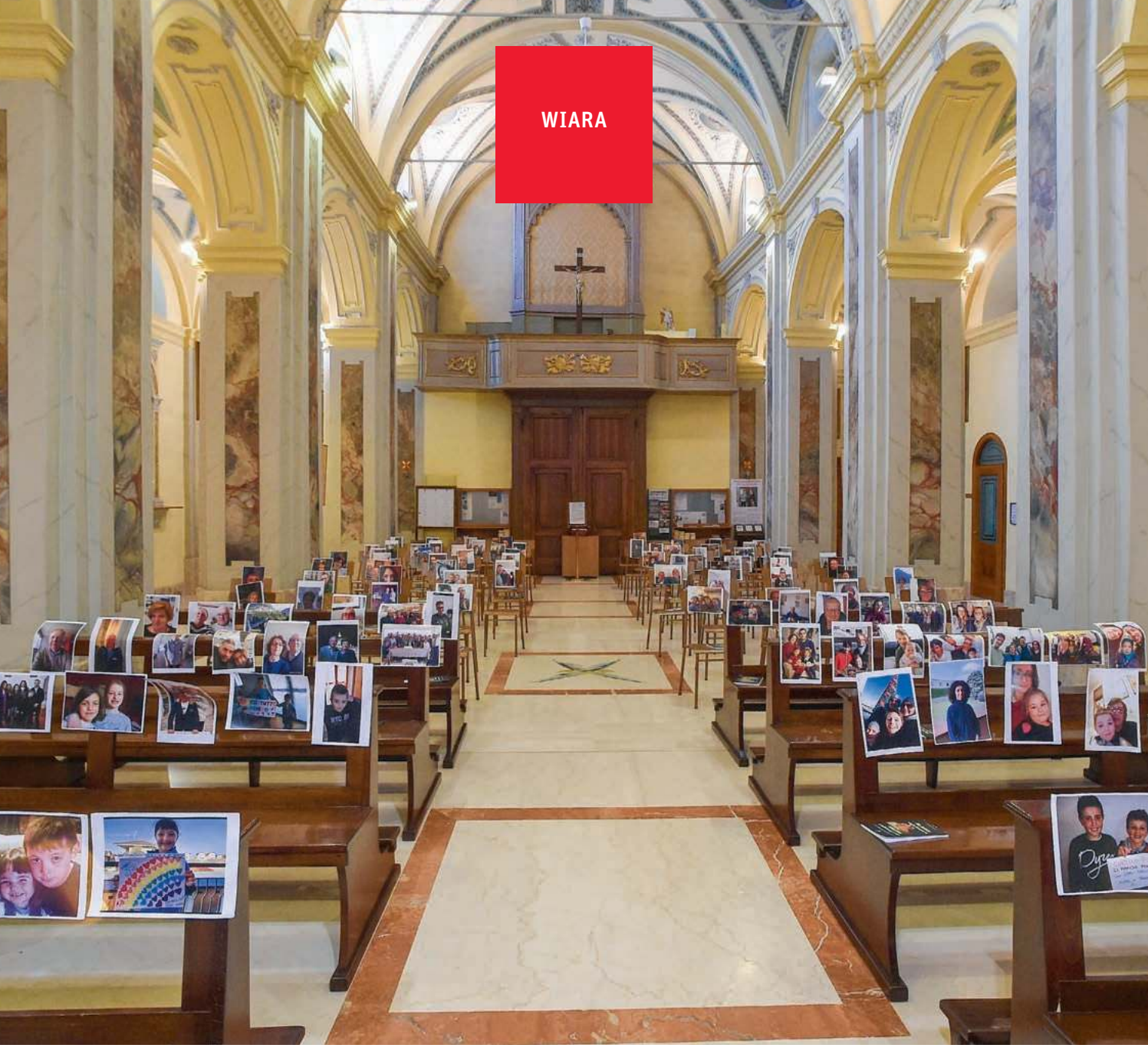

WIARA

ŚWIAT W STŁUCZONYM LUSTRZE

Kościół katolicki też przeżywa trzęsienie ziemi.
I zaczyna zdawać sobie sprawę,
że stan nadzwyczajny może potrwać miesiące.

EDWARD AUGUSTYN, ARTUR SPORNIAK

PIER MARCO TACCA / GETTY IMAGES

Kościół w Giussano z przysłanymi do proboszcza portretami parafian, którzy nie mogą uczestniczyć w nabożeństwach, 17 marca 2020 r.

Z powodu pandemii rządy wielu krajów ograniczyły liczbę osób, które mogą spotykać się w zamkniętych pomieszczeniach, co oczywiście uniemożliwia prowadzenie duszpasterstwa w dotychczasowej formie. Kościół instytucjonalny dostosował się do ograniczeń. To szybkie przeorganizowanie ma jednak daleko idące skutki, które dopiero zaczynamy obserwować.

Komunikat o zawieszeniu mszy i nabożeństw włoski episkopat opublikował 8 marca, po kilkugodzinnych konsultacjach z rządem. Biskupi poinformowali, że akceptują „bardzo restrykcyjny" dekret władz, podpisany przez premiera Włoch i zakazujący wszelkich „ceremonii świeckich i religijnych włącznie z pogrzebami". Wcześniej ograniczenia działalności duszpasterskiej dotyczyły jedynie północnych regionów kraju, w których znajdowały się główne ośrodki epidemii.

W Polsce 14 marca biskupi wezwali katolików, by dostosowali się do wprowadzonego przez władze stanu zagrożenia epidemicznego i ograniczenia zgromadzeń do 50 osób. Msze trzeciej niedzieli Wielkiego Postu sprawowano w prawie pustych kościołach. Wielu proboszczów dziękowało wiernym za pozostanie w domach. Ks. Grzegorz Kramer, proboszcz jezuickiej parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Opolu, zamieścił na stronie parafii zdjęcie z notatnika kościelnego z liczbą wiernych na poszczególnych mszach (przyszło od 8 do 25 osób). Pytanie, jak w tej sytuacji sprawować sakramenty, stało się palące.

Włoska fantazja

We Włoszech sytuacja szybko okazała się dramatyczna. Początkowo wątpliwości co do „zakazu Eucharystii" wyrażało wielu biskupów, zwłaszcza z diecezji niezagrożonych – jak się wówczas wydawało – wirusem, i znanych duchownych. Ojciec Bartolomeo Sorge, jezuita, były dyrektor dwutygodnika „Civiltà Cattolica", pytał retorycznie: „Czy można odmawiać wiernym Ciała i Krwi Chrystusa z obawy przed koronawirusem? Kościół to nie sklep, który da się zamknąć". Enzo Bianchi, założyciel i przeor wspólnoty monastycznej w Bose, pisał, że Kościół okazuje brak współczucia i solidarności z tymi, „którzy cierpią, żyją w lęku i szukają pociechy". Ale głosy te słabły w miarę postępowania epidemii.

Średnia wieku księży we Włoszech wynosi 61 lat. W wielu parafiach pracuje tylko jeden kapłan w podeszłym wieku. Księża byli zdezorientowani, nie wiedzieli, jak prowadzić duszpasterstwo, nie narażając siebie i innych na ryzyko zarażenia się wirusem.

Młodsi, bardziej przedsiębiorczy czy umiejący wykorzystać potencjał świeckich, przenieśli duszpasterstwo do internetu, umożliwiając parafianom uczestnictwo *online* w mszy odprawianej w swoim kościele, wysłuchanie rekolekcji wielkopostnych, wspólne odmawianie różańca. Nagle okazało się, że Kościół *online* nie jest wcale wirtualny, ale realny i konkretny. By uświadomić to sobie i swoim parafianom, ks. Giuseppe Corbari z miasteczka Giussano koło Monzy poprosił wiernych o przysłanie swoich zdjęć – portretów indywidualnych, małżeńskich, rodzinnych – które wydrukował na kolorowej drukarce i przykleił do krzeseł w kościele. Podczas niedzielnej mszy ponad 150 osób, młodych i starych, „zasiadło" na swoich stałych miejscach.

Bohaterami mediów stało się – zwłaszcza w pierwszych dniach narodowej kwarantanny – wielu kapłanów, którzy postanowili zrobić coś więcej, niż tylko bić w dzwony w godzinę domowej modlitwy, nawet kosztem łamania przepisów sanitarnych: wychodzili na ulice z Najświętszym Sakramentem albo pakowali na wózki-dwukółki wielkie figury Matki Boskiej lub świętych, by objechać z nimi opustoszałe miasteczka. 79-letni ks. Gianni Regolani z Polesine Zibello koło Parmy, pilot amator, przez kilka dni wyprawiał się awionetką do stref zamkniętych (centrów epidemii), by z góry udzielać błogosławieństwa mieszkańcom.

Ks. Clemente Depaoli z Turynu ogłosił z kolei, że każdy wierny może o dowolnej porze dnia poprosić o udzielenie komunii, „o ile wcześniej przygotuje się odpowiednio przez osobistą lekturę Pisma Świętego". Z czasem tego typu akcje zostały jednak zakazane, jako ryzykowne, przez władze cywilne lub kościelne. Ksiądz Depaoli powiedział „Tygodnikowi", że chętnych do indywidualnej komunii i tak nie było wielu – z parafii liczącej 10 tys. wiernych zgłosiło się raptem 20 osób. Zgodnie z zaleceniem biskupa teraz zachęca swoich parafian do komunii duchowej.

Paradoksalnie, powrót do praktyki zalecanej przez Sobór Trydencki zbliża dziś katolików do protestantów. Fulvio Ferrario, profesor teologii systematycznej na Uniwersytecie Waldensów w Rzymie, zauważa, że choć katolicy zawsze podkreślali obecność Chrystusa w Słowie i w sakramentach, dopiero teraz przekonali się, że oba te warunki nie muszą występować jednocześnie. Eucharystia jest pomocna, owszem, ale nie może być traktowana jak cudowny środek z reklamy napoju energetycznego, który „dodaje skrzydeł". Gdy ↦

↦ jej zabraknie, można spotkać się z Jezusem w Bożym Słowie.

Szczegółowe wytyczne na temat duszpasterstwa podczas epidemii włoski episkopat opublikował dopiero po dziesięciu dniach obowiązywania zakazów. Z dokumentu księża dowiedzą się, w jakich okolicznościach i jak mogą ochrzcić dziecko (tylko przy zagrożeniu życia), spowiadać (z zachowaniem odległości co najmniej metra i chroniąc twarz maseczką), udzielać komunii choremu (bez dotykania jego ust) czy namaszczać go olejami (w lateksowych rękawiczkach).

Prasa opisuje też przypadki, gdy księża – pozbawieni możliwości pracy duszpasterskiej – zgłaszają się jako wolontariusze do szpitali, schronisk dla bezdomnych, domów pomocy społecznej. Najgłośniejszym był „powrót do pracy" ks. Fabia Stevanazzo, z wykształcenia lekarza internisty. W 2014 r., po 10 latach praktyki w pogotowiu ratunkowym, odszedł z zawodu i wstąpił do seminarium duchownego. Teraz, za zgodą biskupa, podjął pracę w szpitalu niedaleko parafii, której jest proboszczem.

Dramaty

Duszpasterstwo w regionach najbardziej dotkniętych epidemią jest wystawione na dramatyczną próbę. W Bergamo pogrzebów się nie odprawia, pochówki dokonywane są bez udziału rodziny (która, jeśli nie trafiła do szpitala, poddana jest kwarantannie). Grzebie się kilkadziesiąt ciał dziennie. Zakłady pogrzebowe wyznaczają kilkudniowe terminy. Na kremację trzeba czekać do 10 dni, choć krematorium pracuje na pełnych obrotach. Problem udało się chwilowo rozwiązać w połowie ubiegłego tygodnia – 10 wojskowych ciężarówek przewiozło ciała zmarłych do odległych o 200 km spopielarni w Modenie i innych miastach.

Praca diecezji jest sparaliżowana. Księża umierają (dotychczas 28), chorują, poddawani są kwarantannie, tracą najbliższych. Ci, którzy jeszcze pracują, nie mogą pójść do szpitali z sakramentami. Biskup Bergamo Francesco Beschi [rozmowa z nim na kolejnych stronach – red.] zachęca personel sanitarny do błogosławienia umierających, a chorym, którzy nie mogą przystąpić do spowiedzi, przypomina naukę Kościoła: każdy, kto ma mocne postanowienie przystąpienia do spowiedzi sakramentalnej, a nie może tego uczynić, otrzymuje odpuszczenie win po wzbudzeniu w sobie żalu za grzechy.

> Epidemia ograniczyła bezpośrednie kontakty, ale ożywiła obecność w sieci. Paradoksalnie, **poczucie wspólnoty parafialnej** może się dzięki niej wzmocnić.

W kwestii spowiedzi jeszcze dalej poszedł bp Riccardo Fontana z Arezzo, który w miniony czwartek stanął przed miejscowym szpitalem zakaźnym i udzielił – za pośrednictwem telewizji – rozgrzeszenia wszystkim leżącym tam chorym, którzy chcieliby, a nie mogą się wyspowiadać. Taką prerogatywę dla biskupów 20 marca potwierdziła Penitencjaria Apostolska specjalną notą.

Mimo dramatycznej sytuacji diecezja Bergamo stara się wciąż udzielać pomocy potrzebującym. W seminarium duchownym przygotowano 50 pokoi dla lekarzy, pielęgniarek i sanitariuszy z pobliskiego szpitala, którzy nie chcą wracać do domów, by nie narazić swoich rodzin na zarażenie.

Polskie kłopoty

Pierwsze reakcje polskich księży na obecny kryzys były podobne do reakcji ich włoskich kolegów. Niektórzy wyszli w samotnych procesjach po pustych ulicach miast z monstrancją czy relikwiarzami – jak ks. Mirosław Matuszny, spacerujący po Lublinie z relikwiami św. Antoniego z Padwy, patrona miasta [zob. fot. na str. 39 – red.]. Mieliśmy też księdza błogosławiącego Najświętszym Sakramentem z samolotu krążącego nad Wrocławiem.

Pytany o te reakcje jeden z proboszczów zauważył, że Kościół nie jest jednak od walki z wirusem, tylko od głoszenia ewangelii, czyli możliwości nawrócenia i pojednania z Bogiem. Ponieważ bezpośredni kontakt został utrudniony, pod znakiem zapytania stanęła zwłaszcza kwestia sprawowania sakramentów.

Już 13 marca Rada Stała Episkopatu zasugerowała wiernym przyjmowanie komunii duchowej. Nieliczni, którzy zdecydowali się przyjść do kościoła, mogli przyjąć komunię na rękę. Kapucyni z parafii Matki Bożej Częstochowskiej w Krakowie-Olszanicy po prostu rozdawali komunię w niedzielę 15 marca przez pół godziny na zewnątrz kościoła. Co do sakramentu pojednania zaproponowali „spowiedź spacerową" poza kościołem.

Z kolei spowiedź „na telefon" (nie przez telefon!) organizuje salezjańskie Centrum Nowej Ewangelizacji „Don Bosco" we Wrocławiu. Można się telefonicznie umówić na spowiedź w bezpiecznych sanitarnie warunkach. Inicjatywa przebiega pod hasłem „Jesus call centre".

Proboszczowie przystosowują też kaplice do bezpiecznego sprawowania sakramentu pojednania. Ks. Grzegorz Strzelczyk z parafii św. Maksymiliana Kolbego w Tychach opatrzył jedną z kaplic w tablice informacyjne: „kaplica TYLKO do spowiedzi", „wchodzimy, gdy ksiądz otworzy", „NIE dotykamy KLAMKI!!!".

Czy takie działanie „na szybko" zdoła zaspokoić zapotrzebowanie na masową do tej pory w Polsce spowiedź wielkanocną?

Wirtualna nie znaczy nierzeczywista

Ksiądz Strzelczyk uprzedza swoich parafian: „Nie można wykluczyć, że przed świętami dostęp do spowiedników będzie utrudniony. Musicie wiedzieć, co Kościół ma w swoim skarbcu na takie sytuacje..." – pisze na facebookowej grupie parafialnej.

Tyscy parafianie mają szczęście: ks. Strzelczyk jest nie tylko entuzjastą korzystania z nowoczesnych technologii komunikacji w Kościele, ale też jednym z najbardziej aktywnych polskich teologów. Wierni otrzymali precyzyjne wyjaśnienia, czym jest żal doskonały i na jakich warunkach można uzyskać odpuszczenie grzechów, gdy nie można wyznać ich przed kapłanem, a wcześniej – czym jest komunia duchowa, gdy przyjęcie hostii w kościele nie jest możliwe.

Epidemia ograniczyła bezpośrednie kontakty, ale ożywiła obecność w sieci. Paradoksalnie, kontakty międzyludzkie zwielokrotniły się, a poczucie wspólnoty może realnie się wzmocnić. Gdy wiele osób zaczyna być w sieci, a proboszcz po-

trafi moderować wspólnotę, jego kontakt z parafianami może być wręcz nieustanny. Ci, którzy potrafią to robić, odkrywają nowy wymiar parafii.

„A swoją drogą – dziś jestem niezmiernie wdzięczny Opatrzności za pomysł, żeby Was ściągnąć na FB do grupy parafialnej. Wyobrażacie sobie, jaki byśmy mieli w parafii zamęt, gdyby nie ten kanał komunikacyjny?" – pisał ks. Strzelczyk w sobotę 14 marca.

„Partyzantów wlewających wodę do kropielnic w naszym kościele proszę o zamaszyste stuknięcie się w głowę" (14 marca).

„Na sumie 6 osób! Dziękuję!" (15 marca – niedziela).

„Myślę, że sytuacja ta może być dla wszystkich okazją do odświeżenia doświadczenia wiary przeżywanej w domu, w rodzinie – nie przegapcie tego, proszę" (16 marca).

„Do kwoty kolekty, którą podałem w niedzielę [143 zł], należy dodać 2305 zł, które wpłynęły elektronicznie. Jesteście WIELCY!" (17 marca).

Do przemyślenia

Wywrócony przez wirusa do góry nogami nasz religijny świat zmusza do refleksji. Były misjonarz, a obecnie profesor liturgiki w Katolickim Uniwersytecie w Cochabamba w Boliwii o. Kasper Mariusz Kaproń przytacza pytania włoskiej teolożki, Simony Segoloni Ruty: „Skoro Lud zgromadzony jest o wiele istotniejszy dla Eucharystii niż nawet chleb i wino, to jaki sens ma celebracja sakramentu bez zgromadzonego Ludu? Czy nie wracamy do trydenckiej koncepcji sakramentu? Wydarzenia tych dni i celebracje »sine populo« wywołują poważny kryzys w podstawach teologicznych reformy liturgicznej Soboru Watykańskiego II. Głos ten oczywiście w najmniejszym stopniu nie ma na celu, aby na siłę i wbrew wymogom sanitarnym zapełniać kościoły. Jest jedynie postawieniem pytania o sens celebracji Mszy św. bez Ludu. Czy obecność *online* można uważać za autentyczną obecność? A może lepszym rozwiązaniem byłby post eucharystyczny dla wszystkich?".

Zwrócono też uwagę, że wirusowy kryzys dość wyraźnie ujawnia nasze odruchy klerykalne. „Zamiast oglądać mszę na komputerze, dlaczego nie czytamy razem Biblii?" – zapytała amerykańskiego korespondenta „La Croix" Massimo Faggiolego jego ośmioletnia córka, dając mu do myślenia. „Dlaczego koncentrujemy się na kapłanach?" – pytał później na łamach swego pisma. „Katolicy potrzebują sakramentów, ale nasze ciało jest już świątynią Ducha Świętego. (...) W czasie pandemii powinniśmy mniej koncentrować się na mszach transmitowanych na żywo, duchowej komunii i prywatnych nabożeństwach. Hierarchia (w tym papież Franciszek) powinna zachęcać katolików do zgłębiania liturgii godzin, *lectio divina* i rodzinnej celebracji Słowa" – proponuje Faggioli.

Jakby w odpowiedzi katolickiemu publicyście archidiecezja wiedeńska rozsyła chętnym PDF-y z liturgią Słowa do rodzinnej celebracji, proponując, by podczas domowych nabożeństw zapalać w oknie świecę.

Pusty plac

Papież Franciszek ograniczył swą aktywność już pod koniec lutego ze względu na przeziębienie. Odwołał audiencje i spotkania, nie pojechał na coroczne rekolekcje kurii rzymskiej. Po tygodniu rekonwalescencji, gdy epidemia obejmowała coraz większe obszary kraju, poddał się testom na obecność wirusa SARS-CoV-2 (wynik negatywny), a w Watykanie podjęto specjalne środki ostrożności: audiencje środowe przeniesiono do internetu, podobnie jak modlitwę Anioł Pański i codzienną mszę w kaplicy Domu św. Marty. Do minimum ograniczono spotkania Franciszka z najbliższymi współpracownikami, odwołano większość prywatnych audiencji, a podczas tych, które musiały się odbyć, zachowywano bezpieczną odległość między uczestnikami (co prawdopodobnie zapobiegło zarażeniu się papieża i innych osób wirusem od jednego z biskupów francuskich, chorego – jak się po kilku dniach okazało – na COVID-19). Zgodnie z rozporządzeniem włoskich władz (mimo że Watykan nie podlega ich jurysdykcji) zawieszono odprawianie mszy w bazylice św. Piotra, po czym świątynię i plac całkowicie zamknięto dla turystów i wiernych.

Trwająca już ponad trzy tygodnie izolacja staje się dla Franciszka coraz bardziej uciążliwa. Pierwszą oznaką było spięcie z jego wikariuszem, kard. Angelem De Donatisem, który postanowił zamknąć wszystkie kościoły w diecezji rzymskiej. Podczas porannej mszy w Domu św. Marty Franciszek przypominał, że „pasterz musi być blisko swych owiec", i przestrzegał, że „drastyczne środki nie zawsze są dobre". Chwilę później jego jałmużnik, kard. Konrad Krajewski, sprzeciwił się publicznie zamknięciu podlegającego mu kościoła Matki Bożej Niepokalanej na Eskwilinie. „To mój akt nieposłuszeństwa. Kościół jest domem, a dom zawsze musi być otwarty dla swoich dzieci" – mówił, nie ukrywając, że chce w ten ↦

POŻEGNANIE

15 marca 2020 roku zmarł w wieku 74 lat

Ś.† P.

Wiesław Rosocha

grafik, plakacista, ilustrator

Msza św. żałobna odprawiona została
we wtorek 24 marca 2020 r.
w kaplicy Domu Pogrzebowego
na Powązkach Wojskowych w Warszawie,
po czym nastąpiło złożenie Prochów
w grobie na miejscowym cmentarzu.

O czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

ŻONA INKA, SIOSTRA ALICJA
I BRAT MIROSŁAW Z RODZINAMI

sposób dodać odwagi także innym księżom. Zachęta nie była potrzebna – po kilku godzinach kard. De Donatis odwołał wcześniejsze rozporządzenie.

W wystąpieniach Franciszek coraz częściej przypomina księżom i biskupom, by nie bali się stanąć na linii frontu i nie odmawiali wiernym wsparcia i posługi sakramentalnej. Zachęca, by odwiedzali ich w domach z komunią (pamiętając o zachowaniu przepisów sanitarnych) i kierowali się bardziej „logiką Ewangelii" niż sztywnym zachowywaniem prawa.

W niedzielę 15 marca, po modlitwie Anioł Pański, odmówionej w bibliotece papieskiej, Franciszek dłuższą chwilę stał w otwartym oknie Pałacu Apostolskiego, patrząc na pusty plac. Kilka godzin później opuścił Watykan, udając się z niezapowiedzianą pielgrzymką do bazyliki Matki Bożej Większej, gdzie znajduje się szczególnie przez niego czczony obraz Maryi Ocalicielki Ludu Rzymskiego, i do kościoła św. Marcelego, gdzie przechowywany jest cudowny krucyfiks, noszony przed wiekami po mieście w czasach zarazy.

Nieoczekiwana wyprawa (niewielki fragment papież przeszedł pieszo, spacerując opustoszałą Via del Corso) wzbudziła sporo uwag krytycznych: uznano ją za zły przykład w czasie, gdy od samodyscypliny i niewychodzenia z domów zależy zatrzymanie epidemii i los wielu osób. Ale były też pochwały, również ze strony środowisk konserwatywnych i tradycjonalistycznych, zwykle krytycznych wobec Franciszka: słowa i gesty papieża były dla nich dowodem, że ratunkiem wierzących katolików w trudnych czasach jest Eucharystia, adoracja krzyża i oddanie się w opiekę Maryi.

Dalsze życie

W Kościele to początek nowej rzeczywistości. Nasze zachowania religijne, myślenie, przeżywanie wiary nadal będzie podlegać weryfikacji. Do czego to ostatecznie doprowadzi, nie wiemy.

Kościół w swojej historii przeżył jednak niejeden kryzys. Jako wspólnota wiary, trwa.

©℗ EDWARD AUGUSTYN, ARTUR SPORNIAK

CLAUDIO FURLAN / LAPRESSE / AFP / EAST NEWS

Cmentarz w Bergamo, 16 marca 2020 r.

Przestrzegajmy zasad i módlmy się

BP FRANCESCO BESCHI Z BERGAMO:

W ostatnich latach sami siebie skazaliśmy na izolację, wszyscy myśleli tylko o sobie. Gdy izolacja została nam narzucona, zdaliśmy sobie sprawę, jak ważne jest współdzielenie.

EDWARD AUGUSTYN: Wszyscy patrzymy dziś na Bergamo. Proszę przyjąć od nas wyrazy współczucia i solidarności. Jakie po trzech tygodniach walki z epidemią uczucia dominują wśród mieszkańców? Strach? Zniechęcenie? Czy może już jakieś oznaki nadziei?

BP FRANCESCO BESCHI: Wydaje mi się, że w tej chwili najbardziej odczuwalna jest ogromna potrzeba bliskości. Wcześniej, zanim jeszcze zdaliśmy sobie sprawę z powagi sytuacji, żyliśmy myśląc przede wszystkim o sobie.

Ludzie zrozumieli, czym jest bliskość, gdy zostali oddzieleni?

Tak. Teraz czujemy, że musimy być bliżej siebie. Wiele osób odczuwa i dostrzega to, o czym już zapomnieliśmy. W ostatnich latach sami siebie skazaliśmy na straszną izolację, wszyscy myśleli tylko o sobie. W tym momencie, gdy izolacja została nam z góry narzucona, zdaliśmy sobie sprawę, jak ważne jest współdzielenie. Mam nadzieję, że to nam zostanie.

Rzeczywistość jest bardzo przygnębiająca. Dzwonił do mnie ksiądz, który stracił ojca. On jest poddany kwarantannie, mama – również w kwarantannie – mieszka sama. Bracia też są w kwarantannie, nie ma pogrzebów... Ciało jego ojca zostanie zabrane na cmentarz i pochowane, a nikt z bliskich nie będzie mógł go pożegnać. Takich momentów bliskości najbardziej nam brakuje.

Podobnie gdy ktoś jest zabierany z domu karetką pogotowia do szpitala zakaźnego albo na oddział intensywnej terapii. Rodzina nie może go zobaczyć, ani usłyszeć, nawet przez telefon. I nieraz nigdy go już nie usłyszą. To straszny ból. Rodzi się wtedy pytanie: czy my naprawdę jesteśmy sami? Wszyscy jesteśmy sami? Wydaje mi się, że właśnie teraz rodzi się jakieś niebanalne, niepowierzchowne wspólne przeżycie.

Widzieliśmy wszyscy te obrazy: wojskowe ciężarówki wywożą

nocą ciała z Bergamo do innych miast, nawet do oddalonej o 200 km Modeny, bo lokalne krematorium nie jest w stanie spalić wszystkich zwłok, choć pracuje 24 godziny na dobę. Firmy pogrzebowe nie nadążają z pochówkami.

Śmierć się mnoży. Tragiczne statystyki wcale nie spadają, a nawet dalej rosną. W szpitalach umierają ci, którzy są w najpoważniejszym stanie, a ilu umiera w domach? Oni nawet nie trafiają do oficjalnych statystyk, nie robi im się testów. Nie wiadomo już, gdzie składać trumny. Niektóre kościoły służą już tylko do tego. To nasz gest czułości wobec ludzi, którzy umierają sami. Żeby ich ciała nie leżały bądź gdzie, na stosie. Bierzemy je do kościoła na znak szacunku i troski.

W krajach takich jak mój, niewspółmiernie mniej dotkniętych – jak dotąd – epidemią, rodzi się pytanie: co zrobić, by taka tragedia nie powtórzyła się w innych miejscach? Jak nie zmarnować tego czasu, który być może dostaliśmy od losu?

Najważniejsze jest stosowanie się do zaleceń odpowiednich służb i przestrzeganie wszystkich zasad – i to w sposób rygorystyczny. Wszyscy musimy uważać, bo to wszystko potrwa jeszcze długo.

To po pierwsze. A po drugie – modlitwa. Módlmy się za naszych bliskich, za nasze rodziny, za tych, którzy walczą z wirusem. Módlmy się za wszystkich, którzy troszczą się o bezpieczeństwo, poświęcają się opiece nad słabszymi, starszymi, bardziej narażonymi na tragiczne konsekwencje, nad samotnymi, izolowanymi.

Modlitwa wystarczy?

Modlitwa to nie magiczne formułki. Wiara w Boga nie rozwiązuje w cudowny sposób naszych problemów. Ale gdy modlimy się, gdy ufamy Bogu, to zaufanie stanie się dla nas źródłem siły. Dzięki niemu będziemy mogli poświęcić się innym. Będziemy mogli lepiej wykonywać nasze obowiązki, do których każdy z nas, w różny sposób, jest powołany. Zwłaszcza ci, którzy starają się powstrzymać chorobę i przeciwstawić się złu.

Powiedział Ksiądz Biskup swoim diecezjanom, że – gdy nie mogą przystąpić do spowiedzi – mogą wzbudzić w sobie żal za grzechy i pragnienie spowiedzi, by otrzymać przebaczenie win od Boga. Czy to coś w rodzaju rozgrzeszenia *in articulo mortis*?

Votum sacramenti (pragnienie sakramentu) to dar, który przynależy do tradycji i doktryny Kościoła. W łączności z innymi biskupami Lombardii dokonaliśmy takiego wyboru, który dotyczy wszystkich naszych diecezji. To nie jest rozgrzeszenie generalne *in articulo mortis*, bo ono jednak wymaga fizycznej obecności.

Podobnie jak spowiedź sakramentalna. Czy w takiej sytuacji jak dziś nie można pomyśleć o spowiedzi przez telefon albo internet?

Właśnie dlatego, że spowiedź sakramentalna wymaga fizycznej obecności, Kościół nie rozważa takiej możliwości, a na pewno nie do mnie należy zmiana jego nauczania. Sieć czy różne środki techniczne są pomocą, ale nie zastępują kontaktu, który jest niezbędnym elementem. Może użyję takiego porównania: to tak, jakby zadowalać się serdecznym uściskiem czy przytuleniem online. To wymiar, którego internet nie jest w stanie zastąpić.

Mówił też Ksiądz Biskup, że lekarze czy pielęgniarki mogą błogosławić umierających.

Przypomniałem tylko, że każdy chrześcijanin może – na mocy chrztu – udzielać innym błogosławieństwa. Tak jak ojciec czy matka mogą pobłogosławić swoje dzieci, dziadkowie swoje wnuki. Dzieci i wnuki także mogą – to bardzo ważne – pobłogosławić swych rodziców czy dziadków, zwłaszcza chorych. Z całym szacunkiem i zdając sobie sprawę z delikatności sprawy, poprosiłem o to lekarzy i pielęgniarki. Tylko oni są świadkami, jak ludzie umierają sami. Jeśli dostrzegliby takie pragnienie, mogliby osobę umierającą pobłogosławić. To byłby cenny dar. Zwykle to kapłani wzywani są do chorych, ale problem polega na tym, że dziś nie wolno im tego zrobić.

Wielu księży jest zresztą także chorych, wielu podlega kwarantannie, kilku zmarło...

Od 1 marca zmarło 16 księży. To bardzo smutne, ale świadczy też o bliskości duszpasterzy z ludźmi. Około dwudziestu kapłanów jest hospitalizowanych, niektórzy są w ciężkim stanie. Dziękujemy Bogu za tych, którzy już wyszli ze szpitala i są wyleczeni. Przeżywamy ten ból i dzielimy go z naszym społeczeństwem.

Gdy wczoraj próbowałem się skontaktować z Księdzem Biskupem, nie mógł Ksiądz rozmawiać. Potem dowiedziałem się, że dzwonił do Księdza papież Franciszek. Jakie słowa pocieszenia Wam przekazał?

Ojciec Święty był bardzo przejęty i wzruszony. Zapewniał o swej ojcowskiej bliskości wobec mnie, kapłanów, chorych, wobec tych, którzy się nimi opiekują, całej naszej wspólnoty. Pytał o szczegóły, jaka jest sytuacja w Bergamo. Był pod wielkim wrażeniem cierpienia, tego, jak wielu jest zmarłych, jak bardzo rodziny cierpią z powodu rozdzielenia. Prosił, bym zaniósł każdemu jego słowa pocieszenia i błogosławieństwo. Interesował się, co robimy, by pomóc ludziom.

Udostępnił Ksiądz budynek seminarium diecezjalnego pracownikom służby zdrowia, którzy nie mogą po swojej zmianie wrócić do domu.

Udostępniliśmy, oczywiście nieodpłatnie, 50 pokoi z łazienkami. To gest naszej bliskości i solidarności. Staramy się odpowiadać na różne potrzeby. Jest wiele próśb o zakwaterowanie, diecezja ma jeszcze inne budynki, które na ten cel przeznaczy. Na przykład na hostele dla osób wypisywanych ze szpitali, które podlegają dalej kwarantannie, więc nie mogą wrócić do domu, gdzie mieszka rodzina, dzieci.

Uruchomiliśmy też linię telefoniczną ze wsparciem psychologicznym i pociechą duchową. Pracuje w niej 70 osób: księża, zakonnice, psychologowie świeccy. To ma być wsparcie na przykład dla pielęgniarek i lekarzy, którzy pracują do granic wytrzymałości, ale też dla osób, które doświadczają bólu z powodu choroby i śmierci swoich bliskich. Nagłe potrzeby wyzwoliły w ludziach imponującą solidarność.

Diecezja liczy 400 parafii i naprawdę widzę, jak wiele pomysłowych inicjatyw zostało uruchomionych. Parafie zagościły na dobre w sieciach społecznościowych, udostępniają msze i nabożeństwa w streamingu, proponują filmy czy teksty na czacie. Tworzy się bliskość i poczucie więzi między ludźmi i z Bogiem.

Bóg jest z nami w tej próbie i nas nie opuszcza.

©℗ Rozmawiał EDWARD AUGUSTYN

Nie każda trwoga prowadzi do Boga

KS. JACEK PRUSAK SJ

Pandemia wywołuje różne zachowania. Warto rozróżnić dojrzałe i niedojrzałe sposoby szukania religijnego wsparcia.

Staropolskie przysłowie „Jak trwoga, to do Boga" może oznaczać zarówno to, że „niektórych ludzi dopiero krytyczna sytuacja skłania do modlitwy", jak i spostrzeżenie, że „chłop się nie przeżegna, dopóki piorunu nie usłyszy". W przysłowiu tym ukryta jest bowiem podwójna mądrość. Z jednej strony mówi nam o tym, że religijność wpływa na sposób, w jaki człowiek postrzega spotykające go w życiu trudności i jak sobie z nimi radzi. Z drugiej – każe odróżnić myślenie magiczne od myślenia religijnego.

Warto to przemyśleć w okresie obecnej pandemii i reakcji ludzi religijnych na jego obecność, bo mamy do czynienia w Kościele zarówno z pozytywnymi, jak i negatywnymi religijnymi strategiami radzenia sobie z tym zagrożeniem. A oprócz tego: z myleniem myślenia religijnego z myśleniem magicznym, i to nie tylko wśród „pobożnego ludu", ale też wśród duchownych – biskupów i księży.

Katolicka magia

Obojętne, czy jesteśmy ludźmi religijnymi, czy nie, wszyscy wykazujemy podatność na myślenie magiczne. Jedno i drugie jest dla nas naturalne, ponieważ opiera się na naszej wrodzonej skłonności do wyszukiwania w środowisku intencjonalnych działań jakichś istot nawet wtedy, kiedy ich obecność nie jest widoczna. Kiedy już zostaną „zlokalizowane", dochodzi do przypisywania im określonych motywów i stanów wewnętrznych oraz nadawania temu wszystkiemu sensu i znaczenia, po to, aby odnaleźć jakiś porządek w naturze. Zdaniem kognitywistów te „moduły poznawcze" generują zarówno myślenie religijne, jak i myślenie magiczne odnośnie do takich istot (np. Boga czy duchów), oraz nadają naszemu myśleniu o naturze teleologiczne ukierunkowanie i kształt.

Każdy z nas nie tylko z dzieciństwa pamięta sytuacje, kiedy szmer za oknem czy skrzypiące drzwi w pokoju były sygnałem, że „ktoś tu jest". Owo „odczucie" jest naturalne, ale gdybyśmy za każdym razem ze śmiertelną powagą do niego podchodzili, nie potrafili się z niego otrząsnąć i kierowali się nim w życiu, świadczyłoby to o tym, że w najlepszym wypadku jesteśmy zabobonni, w najgorszym – że jest to objaw psychopatologiczny. W sytuacji niepewności czy zagrożenia jest to bowiem odruch ewolucyjny, ale tym, co odróżnia zabobonność będącą przejawem myślenia magicznego od myślenia religijnego, jest dążenie do kontroli świata niewidzialnego (duchowego).

W myśleniu magicznym mamy bowiem do czynienia z przekonaniem, że można spowodować skutek posługując się środkami, które w dużym stopniu działają automatycznie (np. zaklęciami „leczyć" choroby). Przy niemagicznej próbie kontroli przyjmuje się, że skutek ten musi zostać osiągnięty przy użyciu „normalnych" środków (np. lekarstw) bądź za pomocą modlitwy. W tym drugim przypadku chodzi więc o to, aby się zwrócić do instancji ponadludzkiej, od której woli i przychylności zależy wysłuchanie prośby o powrót do zdrowia. Modlitwa nie działa tutaj jak zaklęcie, jest bowiem prośbą i oczekiwaniem, a nie werdyktem wymuszonym na Bogu.

W magicznym podejściu do religii wiara staje się synonimem siły duchowej służącej do kontrolowania świata widzialnego i niewidzialnego, tak jakby nie istniały prawa przyrody albo Bóg „zawieszał je" uznaniowo. „Nie lękajcie się sięgać z wiarą po wodę święconą" – wzywał diecezjan w czasie pandemii ordynariusz szczecińsko-kamieński abp Andrzej Dzięga. Boi się jej bowiem diabeł, jak wyjaśniał, a „duszpasterze dbają, by była zawsze świeża i odnawiana przynajmniej raz w tygodniu. W razie potrzeby, woda w kropielnicach jest wymieniana dosłownie każdego dnia". O teologicznych błędach zawartych w takim myśleniu pisał na stronie „Tygodnika" Piotr Sikora („Słowa biskupa błędne i groźne", powszech.net/dziega).

Psycholodzy podkreślają jednak, że oceny tego, czy mamy do czynienia z magicznym myśleniem i działaniem w obrębie wiary, czy też z religijną działalnością symboliczno-ekspresyjną – w tym przypadku dojrzałym podejściem do sakramentów i sakramentaliów – nie da się poprawnie sformułować na podstawie samego zachowania, a więc bez poznania intencji podmiotu. Poza tym, granica między zabobonami a wiarą nie musi być zawsze łatwo dostrzegalna ani nieprzekraczalna. Bez względu jednak na to, jak często byśmy wymieniali wodę święconą, idea, jaka za nią stoi w walce z koronawirusem, jest katolicką magią. Nawet jeśli wierzymy w moc wody święconej w przypadku działania złego ducha, to przecież wirus nie jest bytem duchowym. Jej używanie w takich okolicznościach nie jest wyrazem zaufania Bogu, tylko jego parodią.

Dojrzałe i niedojrzałe postawy

Ludzie zwracają się do religii, gdy szukają pociechy, chcą zaspokoić potrzebę więzi, nadać znaczenie doświadczeniom życiowym i poradzić sobie z przeciwnościami losu. Robią to jednak na różne sposoby. Psycholodzy wyróżnili trzy główne style – dwa pozytywne i jeden negatywny.

Pierwszym pozytywnym stylem, zmierzającym do przywrócenia człowiekowi kontroli nad sytuacją trudną, jest „strategia współpracy z Bogiem przy rozwiązywaniu problemu". W tym przypadku osoba wierząca podchodzi do rozwiązania problemu poddając się woli Boga, ale równocześnie starając się zrozumieć, czego Bóg od niej oczekuje, traktując Go jako partnera. Będzie więc szukała duchowego wsparcia u Niego, poczucia bliskości z Nim, traktując napotykane trudności jako część Bożego planu lub czegoś potencjalnie pozytywnego, a więc „lekcję od Boga", dzięki której można nauczyć się czegoś ważnego i zbliżyć się do Niego. Aby doznać pocieszenia, otuchy i wsparcia z Jego strony, będzie się uciekała do modlitwy i sakramentów, szukała wsparcia duchowego czy społecznego we wspólnocie Kościoła.

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA GAZETA

Ks. Mirosław Matuszny, proboszcz parafii Nawrócenia św. Pawła w Lublinie, przeszedł ulicami miasta z relikwiami św. Antoniego, modląc się o wypędzenie z Polski koronawirusa, 17 marca 2020 r.

Drugi pozytywny styl związany jest z „nakierowaniem na siebie". W tym przypadku osoba wierząca nie prosi o cud, o bezpośrednią Bożą interwencję, ale wierzy, że jeśli spotkają ją jakieś trudności, to Bóg obdarzy ją wystarczającymi umiejętnościami i zasobami, aby sobie z nimi poradziła. Oba te style prowadzą do przemiany życia poprzez nadanie mu nowego kierunku i celu, i są pomocne w pozbywaniu się negatywnych emocji – żalu, gniewu, złości.

Dostosowanie się do rygorystycznych ograniczeń państwowych i kościelnych, mających na celu przeciwdziałanie rozprzestrzenianiu się groźnego wirusa, bez wyrażania niezadowolenia z postawy duchownych i innych wiernych, czy pretensji do samego Boga za brak „heroizmu Kościoła", jest przejawem owych pozytywnych strategii religijnego radzenia sobie ze stresem i trudnościami.

W odróżnieniu od nich negatywnym stylem radzenia sobie z trudnościami jest „przerzucanie odpowiedzialności na Boga". Tutaj trudna sytuacja jest postrzegana jako kara Boża za grzechy, brak wiary i pobożności wśród osób bądź narodów czy też wynik działania szatana. Pod pozorem posłuszeństwa Bogu takie osoby szukają w innych źródła swoich lęków, wskazują zastępcze „kozły ofiarne", a ich wiara zostaje zdominowana przez agresję przebraną w formuły nawoływania do pokuty.

Tacy samozwańczy „kaznodzieje" i „prorocy" Apokalipsy uważają, że potrafią odczytać sens kataklizmów i trudnych sytuacji, i czynią to „w imieniu" Boga. Ich „ewangelizacja", jak miało to ostatnio miejsce w przypadku apelu organizatorów „Różańca do granic" (wystąpienie Lecha Dokowicza i Macieja Bodzińskiego na YouTubie pt. „Wezwanie do pokuty"), jest formą agitacji opartą na „efekcie pocieszenia". Po tyradach dotyczących winy i potępienia duszy, bo wirus jest „karzącym wysłannikiem Boga", proponują łaskę i zbawienie poprzez uznanie wiary w sprawiedliwego, bo mściwego Boga, i przystąpienie do ich pokutnego „ruchu", a więc przejście na właściwą, „niezepsutą" stronę społeczeństwa i Kościoła.

Jest to wypróbowana strategia, co pokazują badania psychologiczne, gdyż kreowanie poczucia bezwartościowości i bezsilności zwiększa prawdopodobieństwo nawrócenia religijnego albo przystąpienia do grupy wyznaniowej. Czym innym jest jednak wzywanie do nawrócenia, a czym innym usprawiedliwianie nim poglądów bardzo wątpliwych teologicznie. Jak bowiem trafnie wyraził to abp Grzegorz Ryś w liście do wiernych archidiecezji łódzkiej: „Pandemia nie jest twarzą Boga! Jego twarzą jest Miłość".

Religia jako mechanizm obronny

W negatywnym stylu radzenia sobie z sytuacjami trudnymi religia staje się formą mechanizmu obronnego opartego na specyficznych błędach poznawczych. Amerykański psycholog religii prof. Kenneth Pargament z Bowling Green State University wyróżnił kilka takich błędów.

Są to błędy: (1) jednostronności – gdy dochodzi do absolutyzacji religijności, czyli gdy nie jest ona równoważona przez inne wartości (w przypadku pandemii odwołanie się np. do wskazań nauki); (2) maski – gdy religia staje się maską dla realizacji celów niereligijnych (np. politycznych czy społecznych); (3) wyjaśniania – gdy uzurpuje sobie prawo do wyjaśniania wydarzeń wyłącznie z własnej, czyli religijnej perspektywy, z pominięciem innych, alternatywnych interpretacji, zwłaszcza potwierdzonych empirycznie (np. że komunia na język nie przenosi wirusa albo woda święcona działa jak lekarstwo); (4) kontroli – polegający na poszukiwaniu wyłącznie religijnych rozwiązań problemu, z pominięciem ↦

innych możliwości, szczególnie w sytuacjach kontrolowanych (będzie to np. wzywanie do procesji i wspólnych nabożeństw, bo Bóg nie dopuści do zarażenia ich uczestników, chociaż wiemy, że w tłumach wirus roznosi się szybciej i szerzej. Chodzi więc tutaj o bierne oczekiwanie na cud w sytuacji oczywistego zagrożenia zdrowia i życia, a więc o religijną nadkontrolę); (5) umiaru – a więc nieumiarkowanych czy skrajnych postaw (np. apatii czy fanatyzmu religijnego) objawiających się chociażby w niezdrowej „obsesji" Eucharystii.

Z religijnością jako mechanizmem obronnym mamy również do czynienia wtedy, kiedy jest ona: (a) niezróżnicowana – a więc kiedy przekonania i praktyki religijne są stereotypowe i ubogie (wirus to na pewno kara Boska, bo Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobro wynagradza, a za zło karze, a przecież świat jest zepsuty); (b) podzielona – gdy istnieje rozłam między przekonaniami a praktykami: chociaż nie chodzę do kościoła, muszę teraz do nich „dołączyć", żeby dmuchać na gorące i się nie zarazić; (c) sztywna – gdy sprzyja powstawaniu uprzedzeń i stereotypów („to bezbożni ściągnęli na nas to nieszczęście"); oraz (d) niepewna – gdy relacja z Bogiem jest lękowa, ambiwalentna i/lub unikowa (Bóg nam nie pomoże, bo teraz nas karze, wirus jest jego posłańcem).

Prawdziwy kult

Mówiąc o sposobach szukania wsparcia u Boga w obliczu epidemii, pamiętajmy, że sama trwoga to za mało, aby wyjść naprzeciw trudnościom. Odwoływanie się do religijnych strategii radzenia sobie ze stresem zależy od trzech grup czynników: osobistych, sytuacyjnych i kontekstowych. A więc od tego, kto odwołuje się do religii, jaką rangę ma trudna sytuacja i jak problem rozwiązują inni.

Tak się złożyło, że trzecia niedziela Wielkiego Postu była „narodową próbą wiary" ze względu na apel biskupów, aby w tym dniu pozostać w domu i nie iść do kościoła. Na tę niedzielę przypadła również Ewangelia, w której Jezus zwracając się do Samarytanki powiedział: „Nadchodzi jednak godzina, nawet już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie, a takich czcicieli szuka Ojciec. Bóg jest duchem; trzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w Duchu i prawdzie" (J 4, 23-24).

> Jesteśmy wezwani do tego, żeby Bogu oddawać cześć w Duchu i prawdzie. Może to oznaczać **siedzenie w domu zamiast w kościele,** przyjmowanie komunii na rękę oraz służbę bliźniemu.

Żadna modlitwa prywatna ani wspólnotowa nie może zastąpić Eucharystii. Katolicyzm jednak nie sprowadza się do chodzenia na mszę. Jak więc zrozumieć tych, którzy „musieli" pójść na mszę do kościoła? Abstrahując od przypadków ignorancji polegającej na minimalizacji bądź marginalizacji zagrożenia, ci, którzy nie zostali w domach, wcale nie musieli tego zrobić w imię wiary w Boga i oddania mu należnej czci. Teoria przywiązania pozwala nam bowiem przewidzieć, jak zareaguje osoba wierząca na sytuacje stresowe w życiu. Ów przymus bycia w kościele może mieć pozareligijną przyczynę w lękowym bądź unikowym stylu przywiązania, który nie poddaje się zwykłym zmianom sposobu myślenia – a więc także dyspensom kościelnym czy zachętom biskupów.

Z badań wiemy, że większość ludzi, którzy doświadczyli radykalnego nawrócenia, charakteryzuje się lękowym stylem przywiązania. W głębi serca czują się oni niegodni miłości Boga i są przekonani, że nawet jeśli Bóg jest istotą pełną miłości, to Jego miłość do nich jest warunkowa lub niepewna. Lękowy styl przywiązania wypełnia życie poczuciem niepewności i strachem. Nie będę miał grzechu, skoro mówią tak biskupi, ale jak nie pójdę w niedzielę na mszę, to Bóg mnie ukarze przy innej okazji.

Przywiązanie unikowe prowadzi z kolei do izolacji i samotności, bo rytuały stają się albo puste, albo traktowane jak talizmany. W przypadku stylu bojaźliwo-unikowego osoba dystansuje się od Boga powodowana strachem przed karą. W głębi serca czuje się niegodna miłości Boga i boi się, że Bóg może ją ukarać, ponieważ jawi się On jej jako istota odległa, która może być groźna. Z kolei w podtypie lekceważąco-unikowym dominuje przeświadczenie, że polegać można tylko na sobie, gdyż Bóg pozostaje istotą odległą i zawodną, tak więc w relacji z Nim nie można liczyć na zbyt wiele. W przypadku stylu unikowego msza przesłania samego Boga, bo jest traktowana jak talizman albo substytut bycia w relacji z Bogiem, gdyż jest się w kościele z innymi.

Bóg jako obiekt przywiązania nie podąża tropem wytyczonym przez logicznie wywnioskowane przekonania na Jego temat, i nie wszystkich przekonają zachęty czy groźby hierarchii. Obraz Boga to złożona psychiczna rzeczywistość. Kształtuje się on nie tyle w procesie wierzenia w „coś", ile raczej w sposobie odnoszenia się do „kogoś" (pisałem o tym w „Tygodniku" nr 51-52/2019), i zawsze ma w sobie znamiona ambiwalencji. Oprócz miłości, przywiązanie do Boga budzi również lęk i żal, a sytuacje graniczne potrafią ową ambiwalencję jeszcze wyostrzyć.

Nie wchodząc „w buty Pana Boga" można powiedzieć, że w dobie pandemii koronawirusa jesteśmy bardziej, a nie mniej wezwani do tego, żeby Mu oddawać cześć w Duchu i prawdzie. Może to więc oznaczać siedzenie w domu zamiast w kościele, przyjmowanie komunii duchowej albo na rękę, a nie do ust, służbę bliźniemu, a nie straszenie piekłem, nietraktowanie sakramentaliów jak talizmanów oraz nauczenie się na nowo tego, co dla wielu przestało być oczywiste, czyli patrzenia na życie w świetle wieczności.

Pandemia budzi lęk, sprawia, że nasze codzienne poczucie kontroli nad życiem radykalnie się kurczy, dlatego może być również zachętą do fanatycznej religijności objawiającej się w zdominowaniu wiary przez magiczne myślenie i praktyki bądź apokaliptyczne wizje świata i potępianie „niewiernych". Nie każda trwoga prowadzi do Boga. Jeśli chcemy, żeby nam pomógł, nasza wiara musi się oprzeć pokusie fundamentalizmu.

Jak powiedziałby w tych okolicznościach zmarły w 2002 r. dominikanin i mistyk o. Marie-Dominique Molinié: „odwaga, która pozwala się lękać, jest koniecznym warunkiem naszego wyzwolenia, naszej radości, naszego zbawienia". Ów lęk nie jest jednak, i nie powinien być, paniką. Bóg nie poddaje nas cierpieniu po to, by nas narazić na niebezpieczeństwo. Jaką lekcję z tego wyniesiemy, w dużym stopniu wyznaczy nasza wiara.

© KS. JACEK PRUSAK SJ

ARTUR WIDAK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

ZBIGNIEW NOSOWSKI

Jak wystawać ponad czas

O pokusie flirtu Kościoła z władzą przenikliwie pisał Benedykt XVI w „Jezusie z Nazaretu". Komentował doświadczenie kuszenia Chrystusa: „Poprzez wszystkie wieki ciągle na nowo w różnych odmianach powracała pokusa umacniania wiary z pomocą władzy, i za każdym razem groziło niebezpieczeństwo zduszenia jej w objęciach władzy. Walkę o wolność Kościoła, walkę o to, żeby królestwo Jezusa nie było utożsamiane z żadną formacją polityczną, trzeba toczyć przez wszystkie stulecia. Bo w ostatecznym rozrachunku cena, jaką płaci się za stapianie wiary z władzą polityczną, zawsze polega na oddaniu się wiary na służbę władzy i na konieczności przyjęcia jej kryteriów".

Brzmi znajomo? Patrząc od strony duchowej, proponuję mówić o pokusie nie tyle upolitycznienia, ile ideologizacji wiary. Mówił niedawno abp Grzegorz Ryś: „Kiedy z chrześcijaństwa robi się ideologię, wtedy przechodzimy od misji do walki. A to jest coś, co chrześcijaństwu jest przeciwne". Pokusą jest służenie przez Kościół ideologii, gdyż ma on być narzędziem jedności całego rodzaju ludzkiego. Ideologii jest wiele, wiara zaś ma się od nich wyraźnie odróżniać.

Czym jest ideologia? Różne padają odpowiedzi. Benedykt XVI w encyklice „Deus caritas est" podkreśla, że ideologie pretendują do uniwersalnego rozwiązania każdego problemu – a tego nawet Bóg nie gwarantuje. O chrześcijańskiej działalności charytatywnej papież z Niemiec pisał: „musi być niezależna od partii i ideologii. Nie jest ona środkiem do zmieniania świata w sposób ideologiczny".

IDEOLOGIZACJA

Wlazłszy między wrony, trzeba krakać jak one. Wlazłszy między ideologie, sami stawiamy się w jednym z narożników współczesnego globalnego ringu.

POWYŻEJ:
Wystawa pisanek na Rynku Głównym, Kraków, Niedziela Palmowa 2019 r.

Po co zresztą światu wiara jako źródło jeszcze jednej ideologii? Przecież „Kościół jest, w założeniu, instytucją wystającą poza każdy czas" – jak mówił filozof Krzysztof Michalski w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" w 2010 r. Według rektora wiedeńskiego Instytutu Nauk o Człowieku, Kościół „jest instytucją, która chce być niewygodna, instytucją, która nie pozwala nam poczuć się w domu, u siebie w czasie, jaki przeżywamy; bo przecież [głosi], że jesteśmy nie z tego świata, nie tu jest nasz dom".

Sprowadzając Kościół do roli jednej z wielu ideologii świata, rezygnujemy z „wystawania" ponad demokrację, o którym mówił Michalski. Wlazłszy między wrony, trzeba krakać jak one. Wlazłszy między ideologie, sami stawiamy się w jednym z narożników współczesnego globalnego ringu – a przecież głosimy, że Kościół chce być bezstronnym arbitrem i „ekspertem w sprawach ludzkich". Wchodząc w ostry – ziemski, światowy – spór z innymi ideologiami, nie możemy jednocześnie twierdzić, że jesteśmy ponad tym sporem.

Zwycięstwo duchowe Kościoła nad komunizmem było możliwe właśnie dlatego, że wiara nie stawała się antyideologią. Nie była – wbrew marksistom – „światopoglądem religijnym", lecz zaproszeniem do spotkania i dialogu. Polski Kościół w komunizmie bronił praw człowieka, a nie praw katolików – stąd płynęła jego moc. Wystawał poza swój czas, będąc ofertą dla ludzkiego wolnego ducha, a nie alternatywą ideologiczną.

Dziś dominują w naszym Kościele tendencje sprowadzające jego publiczne zadania do obrony praw katolików, źródła politycznych opcji ideowych czy fundamentu cywilizacji. Idąc w tę stronę, Kościół się samomarginalizuje – zamyka sobie dostęp do znaczącej grupy osób, staje się partykularny (*pars* to część), a nie powszechny (*katholikos*).

Rzecz jasna, chrześcijanie muszą czasem być znakiem sprzeciwu, wchodzić w polemiki, stawać w obronie, walczyć. Sęk w tym, żeby była to walka o coś, a nie przeciwko komuś. A nawet również nie tyle przeciwko czemuś (innej ideologii), ile o świat jako dobro wspólne.

Nie można pozwalać na sprowadzanie wiary do bycia ideologią, światopoglądem, siłą polityczną, uzasadnieniem moralności czy fundamentem cywilizacji. „U początku bycia chrześcijaninem nie ma decyzji etycznej czy jakiejś wielkiej idei, jest natomiast spotkanie z wydarzeniem, z Osobą, która nadaje życiu nową perspektywę, a tym samym decydujące ukierunkowanie" – pisał Benedykt XVI. Chrześcijaństwo jest Osobą. A moje chrześcijaństwo? ©

SUPERWIRUS W SUPERMOCARSTWIE

Do niedawna Amerykanie wierzyli, że epidemia to problem reszty świata. Dziś przygotowują się na najgorsze.

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (KALIFORNIA, USA)

MARK RALSTON / AFP / EAST NEWS

Rozdawanie bezpłatnych posiłków dla rodzin uczniów, którzy musieli zostać w domu z powodu zamknięcia szkół. Oakland (Kalifornia), 19 marca 2020 r.

To miał być czas wyborczych emocji. Ameryka śledziła walkę w Partii Demokratycznej o prezydencką nominację i obstawiała, kto ma szansę pokonać Donalda Trumpa. Jeden z najważniejszych spektakli politycznych świata popsuła jednak choroba COVID-19, której pierwszy przypadek odnotowano 20 stycznia w stanie Waszyngton, na zachodnim wybrzeżu USA.

Ameryki, pochłoniętej zbliżającymi się prawyborami w stanie Iowa – inaugurującymi ten typowy dla USA maraton głosowań – ten fakt za bardzo nie przejął. Sytuacji nie ułatwił prezydent Trump, który przekonywał, że wraz z wiosennym ociepleniem w kwietniu „wirus sobie pójdzie". Mieszkańcy kolejnych stanów chodzili więc na wiece wyborcze, głosowali w prawyborach i jak dotychczas latali samolotami z jednego końca kraju na drugi.

Otrzeźwienie przyszło dopiero w połowie marca, gdy liczba przypadków zachorowań na COVID-19 sięgnęła prawie dwóch tysięcy. W czwartek, 12 marca, Trump wprowadził zakaz podróży z Europy do USA, a dzień później ogłosił w całym kraju stan wyjątkowy. Ameryka obudziła się w rzeczywistości, w której ubiegający się o reelekcję prezydent przechodzi test na obecność wirusa (wynik negatywny), a jego rywale wśród Demokratów na powitanie stukają się łokciami.

W reakcji na epidemię władze kilku stanów – m.in. Ohio, Luizjany i Georgii – przełożyły już termin organizacji prawyborów. Doniesienia na temat wyścigu prezydenckiego przestały zresztą trafiać na nagłówki gazet. Amerykanów interesuje przede wszystkim to, jak epidemia zmienia ich życie codzienne. W konsumpcyjnym kraju, gdzie można kupić wszystko, ludzie desperacko przeszukują puste półki w sklepach. Coraz więcej barów i restauracji sprzedaje jedzenie tylko na wynos. W większości stanów zamknięto już przedszkola, szkoły i uczelnie.

Niepokój wkradł się także do życia mieszkańców południowej Kalifornii.

Dezynfekcja

Aneisha, 35-latka z San Diego, pracuje w przedszkolu i dorabia wieczorami w supermarkecie.

– To był piątek, pamiętam dokładnie – opowiada. – Tuż po tym, jak Trump ogłosił stan wyjątkowy, ludzie rzucili się na zakupy. Jeszcze nigdy nie było u nas takich kolejek! Do zamknięcia sklepu o godzinie 21 klienci wykupili cały makaron, ryż, mięso i konserwy. Zniknął nawet papier toaletowy.

– Muszę powiedzieć, że ludzie stali się ostatnio bardziej nerwowi. Rzadko się uśmiechają, zdarzają się nieprzyjemne komentarze. Wczoraj jedna z klientek położyła na taśmie kilka paczek makaronu. Stojący za nią w kolejce mężczyzna zaczął się pieklić, że to przez nią inni będą głodować. Zrobiło mi się przykro, bo znam tę kobietę i wiem, że zawsze robiła większe zakupy – dodaje.

Aneisha wraca teraz z pracy wyczerpana: – Wciąż muszę się pilnować i wszystko odkażam. Kilkanaście razy dziennie zmieniam gumowe rękawiczki i dezynfekuję taśmę, na której ludzie stawiają produkty. Czyszczę też czytnik kart płatniczych i długopis do podpisu elektronicznego. Dezynfekcja weszła mi w krew, bo to samo robię w drugiej pracy. Odkąd zamknięto nasze przedszkole, sprzątamy sale i czyścimy przedmioty, których zwykle dotykają dzieci. Dezynfekujemy wszystko: od kredek i ołówków po sztućce, zabawki i pluszowe misie. W porównaniu do chaosu w supermarkecie nawet przy tym odpoczywam.

Aneisha bardzo się boi, że może stracić tę pracę: – Gubernator Kalifornii już teraz zapowiada, że wszystkie placówki mogą być zamknięte do końca roku szkolnego. Jak sobie wtedy poradzę? Nie mam stałego kontraktu w przedszkolu, więc łatwo mnie zwolnić. To zresztą nie koniec moich problemów. Boję się teraz pracować w supermarkecie, bo mam niską odporność i łatwo łapię infekcje. W zeszłym roku dwa razy chorowałam na zapalenie płuc. Lekarz kazał mi bardzo na siebie uważać.

Dla wzmocnienia organizmu Aneisha pije trzy litry wody dziennie, bierze witaminę C i stara się spać po osiem godzin. Zrezygnowała też z jazdy autobusem. – Nie jest mi łatwo, bo do pracy idę ponad 40 minut. Ale zaciskam zęby. Ja naprawdę nie mogę złapać tego wirusa.

Słodycze

Richarda, 61-letniego pracownika budowlanego z Harbison Canyon, poznałam pod koniec lutego, na kilka dni przed tzw. superwtorkiem – kumulacją prawyborów w wielu stanach USA, także w Kalifornii. Gdy dzwonię do niego w połowie marca, nie rozmawiamy już o polityce.

Richard opowiada, jak broni się przed zarażeniem: – Wiesz, że nadmiar cukru osłabia odporność? Odkąd to cholerstwo szaleje po Stanach, zrezygnowałem z jedzenia słodyczy. Stawiam też na medycyną naturalną. Biorę codziennie echinaceę i czosnek w tabletkach. Ale w domu nie będę siedział. Chodzę na spacery i ćwiczę na siłowni. Mam nadzieję, że szybko ↦

jej nie zamkną, bo muszę pozostać w formie.

Mężczyzna mówi, że za trzy tygodnie ma zacząć pracę na budowie w Los Angeles: – Bardzo mi na tym zależy, bo od prawie pół roku żyję z zasiłku dla bezrobotnych. Dostaję 1200 dolarów miesięcznie, ledwo starcza mi na wynajem pokoju i jedzenie. Dług na kartach kredytowych spłacę dopiero, gdy znów zacznę zarabiać na tej budowie. Dobrze, że mam chociaż polisę zdrowotną. W przypadku zakażenia nie będę musiał się martwić o koszty leczenia. Pamiętam czasy, gdy cała moja rodzina żyła bez ubezpieczenia. Gdy młodszy syn trafił kiedyś na tydzień do szpitala, dostałem rachunek na dziesięć tysięcy dolarów.

Mówiąc o epidemii, Richard obawiał się przed wszystkim jej skutków gospodarczych: – Jeśli w USA dojdzie do podobnego kryzysu jak w 2008 r., już się z tego nie podniosę. Nie mam żadnych oszczędności. Do 40. roku życia nie odkładałem na emeryturę. Muszę zarabiać! Pojutrze wyjeżdżam do Los Angeles. Wolę jechać już teraz, bo boję się, że władze wprowadzą jakieś restrykcje i będzie trudno tam dotrzeć. W Los Angeles zamieszkam z synem i jego żoną. Przynajmniej nie będę płacił 450 dolarów za wynajem pokoju. Zawsze to jakaś oszczędność.

Richard miał przeczucie. Kilka dni później, w czwartek 19 marca, gubernator Kalifornii Gavin Newsom nakazał prawie 40 milionom mieszkańcom tego stanu pozostanie w domach.

Minimalizm

Nestor, 31-letni perkusista, mieszka w Chula Viście, kilkanaście kilometrów od granicy z Meksykiem. W wyniku epidemii stracił wszystkie zlecenia. Najpierw odwołano kilka festiwali muzycznych, podczas których miał występować. Potem przestał prowadzić w szkołach lekcje gry na perkusji. Uczniowie odwołali też prywatne korepetycje.

– Nie wychodzę z domu od trzech dni – opowiada Nestor. – Właściwie to nawet nie ze względu na epidemię. Odkąd straciłem źródło dochodów, muszę zacisnąć pasa. Nie w głowie mi picie piwa ze znajomymi. Zresztą i tak wszędzie musiałbym dojechać samochodem, a benzyna przecież kosztuje. Jeszcze zanim zaczęto w San Diego zamykać bary, ludzie wrzucali na Facebooka swoje zdjęcia z imprez. Ja tego nie rozumiem, bo każdemu powinno zależeć na szybkim powstrzymaniu epidemii.

MARTA ZDZIEBORSKA X2

LIBBY, MENEDŻERKA FIRMY INFORMATYCZNEJ: *Boję się reelekcji Trumpa. Ale teraz bardziej niż na wyborach zależy mi na tym, aby politycy skupili się na powstrzymaniu epidemii.*

RICHARD, PRACOWNIK BUDOWLANY: *Jeśli dojdzie do podobnego kryzysu jak w roku 2008, już się z tego nie podniosę. Nie mam żadnych oszczędności. Muszę zarabiać! Pojutrze jadę na budowę do Los Angeles.*

Nestor żałuje, że nie jest członkiem związku zawodowego: – Być może wtedy mógłbym liczyć na jakąś pomoc? Czytałem wczoraj, że Amerykańska Federacja Muzyków naciska na rząd federalny, by przeznaczył jakieś środki na pomoc artystom, którzy zostali bez środków do życia. Szacuję, że starczy mi pieniędzy na dwa miesiące. To i tak dobrze, bo pod koniec roku miałem dużo zleceń i udało mi się coś odłożyć. Nie mam dużych potrzeb. Wynajmuję mały pokój, i to w biednej dzielnicy. Wydaję głównie na jedzenie, benzynę i rachunki. Z wartościowych rzeczy mam tylko perkusję i stroje na koncerty.

Nestor mówi mi, że jeśli będzie trzeba, podejmie każdą pracę: – Dorabiałem już w fastfoodach, na budowie, jako ochroniarz i mechanik samochodowy. Odkąd siedzę w domu, najbardziej doskwiera mi izolacja. Rozmawiam ze znajomymi na Facebooku i pracuję nad nowymi kawałkami, na które nie miałem wcześniej czasu. Trzeba być produktywnym.

Wyrzeczenia

Olga pochodzi z La Jolli, bogatych przedmieść San Diego, gdzie przeciętny dom kosztuje kilka milionów dolarów. 71-letnia emerytka dla urozmaicenia czasu prowadzi korepetycje z języka angielskiego. Pech chciał, że większość jej uczniów to Chińczycy będący na wymianie naukowej na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego.

– Wiem, że jestem w grupie ryzyka i dlatego staram się bardzo uważać. Odkąd w Chinach wybuchła epidemia, prowadzę zajęcia tylko przez Skype'a – zaznacza Olga. – Nie chodzę też na zajęcia zumby i zrezygnowałam z lekcji fortepianu. Lubię za to spacerować. Mieszkam z mężem tuż przy oceanie i często chodzimy na plażę. Staramy się jednak zachować od innych bezpieczną odległość.

Olga przyznaje, że czasem zdarzy się jej łamać zasady: – Przykładowo, ostatnio przyjechała do nas na weekend 12-letnia bratanica. Głupio mi było jej odmówić. A kilka dni temu poszliśmy do przyjaciół na kolację. Może to nie był najlepszy pomysł, bo nasz znajomy jest lekarzem w szpitalu i na pewno jest cały w zarazkach. Ale nie żałuję. Ze względu na epidemię nie zrezygnuję też z naszej sprzątaczki. Lubię, gdy mam czysto w domu, a poza tym ona potrzebuje tych pieniędzy.

Na co dzień Olga stara się dbać o higienę. Jak mówi, używa żelu antybakteryjnego marki Purell i bardzo często myje ręce: – Razem z mężem codziennie rano mierzymy też sobie temperaturę. Monitoruję sytuację, bo pod koniec lutego miałam okropne zawroty głowy. Przestraszyłam się, że to COVID-19, i od razu poszłam do lekarza. Zrobili mi całą masę testów: tomografię, badania krwi, EKG. Ale testu nie zaproponowali! A przecież powiedziałam, że uczę chińskich naukowców i mogłam się od nich zarazić. Może szpitalny personel nie miał jeszcze wtedy testów? Jestem wściekła, że administracja Trumpa tak wolno zareagowała na wybuch epidemii w USA!

Małżeństwo obawia się, że z powodu epidemii będą musieli odłożyć sprzedaż swojego domu w Sacramento. Olga: – Bo co będzie, jeśli tak samo jak w 2008 r. spadną ceny na rynku nieruchomości?

Dziś odebrałam telefon od najemców, którym wynajmujemy w La Jolli powierzchnię na salon optyczny i sklep z rowerami. Przez epidemię spadły im obroty i nie stać ich na opłacenie czynszu. Martwię się, że Stany czeka ekonomiczna katastrofa. Spójrzmy np. na amerykańskie linie lotnicze. Ludzie boją się latać i masowo odwołują rezerwacje. Ale nie ma się czemu dziwić, skoro władze federalne rozważają zawieszenie lotów międzystanowych.

Izolacja

Libby mówi, że pracuje w międzynarodowym środowisku, i że temat epidemii towarzyszy jej już od wielu tygodni. 52-letnia kobieta jest menedżerką w Qualcomm – firmie informatycznej z siedzibą w San Diego.

– Gdy w Chinach wybuchła epidemia, nasi chińscy współpracownicy byli akurat w odwiedzinach u swoich rodzin. Na szczęście nie było z tego powodu większych przestojów. Raz mieliśmy tylko trudną sytuację, bo koledze zepsuł się laptop i przez tydzień nie mógł załatwić jego naprawy – wspomina Libby.

Gdy Donald Trump ogłosił w USA stan wyjątkowy, firma zdecydowała, że wszyscy pracują z domu. Dla Libby nie jest to problem: – Przez 10 lat pracowałam zdalnie z Meksyku, jestem do tego przyzwyczajona. Tylko że teraz razem ze mną siedzą w domu dwie ośmioletnie córki, bliźniaczki. Trudno mi się skupić na pracy i jednocześnie pilnować, by z nudów nie zrobiły czegoś głupiego. Mogłabym pójść na łatwiznę i pozwolić im się bawić z dziećmi sąsiadów. Odkąd zamknięto w San Diego szkoły, robi tak większość znajomych. Ale nie rozumiem tego, to przecież zaprzeczenie walki z wirusem. Już i tak trudno mi zmusić córki, by często myły ręce. Dlatego wolę je izolować. Dogadałam się nawet z byłym mężem, że ze względów bezpieczeństwa nie będzie się teraz z nimi widywał. Nie chcę, żeby dziewczynki wychodziły na zewnątrz.

Organizacja życia codziennego w tych warunkach to wyzwanie. Libby: – Właśnie kończą nam się warzywa i muszę zrobić zakupy, ale boję się zostawić córki same w domu, a do sklepu ich ze sobą nie wezmę. Próbowałam złożyć zamówienie przez internet, ale nie ma już dostępnych terminów dostawy.

Niektórzy znajomi mówią jej, że jest przewrażliwiona. Libby to irytuje: – To oni są nieodpowiedzialni! Spójrzmy na mojego ojczyma, który mieszka na wsi w stanie Missouri. Choć ma 83 lata, chodzi do pracy i spotyka się z krewnymi. Nie myśli o tym, że naraża też moją mamę. Bardzo się o nią martwię, bo już i tak ma problemy ze zdrowiem. Wiesz, że znajomi mojego ojczyma – wszyscy oni to wyborcy Trumpa – mówią, że epidemia została sfabrykowana przez lewicowe media? To jest dla mnie niepojęte.

Libby zastanawia się, jak cała ta sytuacja wpłynie na przebieg i wynik wyborów prezydenckich, zaplanowanych na listopad: – Jeśli Amerykanie nie zaczną na siebie bardziej uważać, być może czeka nas los Włochów. Boję się reelekcji Trumpa, ale jeszcze bardziej zależy mi, żeby politycy skupili się teraz na powstrzymaniu epidemii, a nie na wyborach.

O ile w ogóle będzie można planowo przeprowadzić wybory.

© MARTA ZDZIEBORSKA

REKLAMA

MIQUEL BENITEZ / GETTY IMAGES

Turystki na ulicach, w tle graffiti „Chcę, abyś został w domu", Barcelona, 13 marca 2020 r.

ARCHIWA PRYWATNE X4

Pielęgniarz Francisco z Sewilli

Tych kilka dni wiosny

PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

Nil czeka na negatywny wynik. Susana ma wrażenie, że to dziwny sen. Francisco odkrywa wolontariat. Mercè wierzy w ludzi. Jak mieszkańcy Hiszpanii przeżywają ten czas?

Sprzedawczyni uśmiecha się słabo na widok tłumu. – Dziś to jakieś szaleństwo – mówi. Ona ma już rękawiczki, ale większość klientów nie, wstukują PIN machinalnie. Nikt nic jeszcze nie dezynfekuje, nie wszyscy pamiętają o bezpiecznym odstępie. Choć w sieci krążą filmy, na których ludzie w panice opróżniają półki, w tym markecie widać może tylko lekkie poruszenie. Po ulicach Barcelony spacerują rodziny z dziećmi, starsze osoby przesiadują na ławkach.

W piątek, 13 marca, premier Pedro Sánchez ogłosił, po raz drugi w historii demokratycznej Hiszpanii, stan alarmowy (*estado de alarma*). Obywatele mogą wyjść z domu tylko w paru określonych przypadkach – jak w innych krajach. Zamknięte będą sklepy, restauracje, kina – jak w innych krajach.

Ale mieszkańców Hiszpanii niełatwo przekonać do pozostania w czterech ścianach. Jeszcze w poniedziałek po nadmorskim pasażu w Barcelonie będą przechadzać się ludzie. Dopiero patrole policji, straszące mandatami (nawet kilka tysięcy euro), zmobilizują większość do powrotu do domu. Telewizyjni reporterzy, nadający z różnych miejsc w kraju, będą mówić jednym głosem: „U nas, jak państwo widzicie, ani żywego ducha".

27 lutego: Nil wraca z Mediolanu

Na 061, numer alarmowy, dzwoni zaraz po przylocie. Symptomy się zgadzają. Gorączka, kaszel. W szpitalu test, wynik pozytywny. Boi się, ale chyba nie tak jak matka. Ona dotąd jest cała w nerwach.

– Gdy lekarze wytłumaczyli mi wszystko krok po kroku i zrozumiałem, co mnie czeka, byłem dobrze nastawiony – tłumaczy mi w 21. dniu swojej kwarantanny.

Zgodnie z procedurą Nil zostaje w szpitalu, odizolowany. Nie jest jednak całkiem sam. Od początku o chorobie może opowiadać tym, którzy go znają. Dokładnie: 70 tysiącom osób. „Po pierwsze, chcę wam powiedzieć, że czuję się dobrze, stabilnie. Mam nadzieję, że będzie tylko lepiej. Po drugie, chciałbym, żebyśmy jako społeczeństwo czytali o wirusie wyłącznie z oficjalnych źródeł i nie wzniecali paniki" – pisze w pierwszym poście na Instagramie (post zbiera 5 tys. polubień). Wsparcie przesyłają mu ludzie z całego świata.

Nil Monró, student i influencer, to drugi przypadek koronawirusa w Katalonii. I jako taki staje się dla wielu młodych źródłem informacji o chorobie. Zamiast wspominać Fashion Week, z którego wrócił, zaczyna z pasją opowiadać o myciu rąk. Zachęca do pamiętania o starszych. Tych, dla których wirus stanowi największe zagrożenie. Gdy telewizja publikuje materiał, w którym studenci mówią, że wykorzystają kwarantannę do imprezowania, martwi się na Twitterze: „Błagam, powiedzcie, że im zapłaciliście, że to aktorzy!".

– To nie są żarty – tłumaczy mi Nil w wiadomości. – Dużo ludzi jeszcze umrze. Siedźcie w domu, myjcie ręce. To dwie proste zasady. Trzymanie się ich nie powinno być problemem.

Jedyne osoby, które Nil widuje, to ubrani w kombinezony lekarze, przez kilka minut dziennie. Choć po dwóch tygodniach nie ma już symptomów, testy dalej potwierdzają obecność wirusa. Marzy o negatywnym wyniku. O wyjściu stąd. Choć to, co „na zewnątrz", zdążyło się pod jego nieobecność znacznie zmienić.

Bo kiedy Nil po raz pierwszy informował internet o swoim zakażeniu, w kraju

Nil, student i influencer

Mercè, emerytka i aktywistka z Barcelony

Architektka Susana z Igualady

było tylko 16 zdiagnozowanych przypadków. Hiszpanów bardziej zajmowało spotkanie premiera z szefem katalońskiego rządu Quimem Torrą, które miało otworzyć negocjacje na temat przyszłości regionu.

Tydzień później (tego dnia Nil publikuje zdjęcie z rodziną, za którą tęskni) zarażonych jest już 237 osób. Wkrótce potem, 8 marca, tłumy wychodzą na ulice, na manifestacje z okazji Dnia Kobiet. Chorych jest już około tysiąca, to duży skok w porównaniu z poprzednim dniem.

Gdy 10 marca Nil podkreśla w internecie, że w życiu należy doceniać małe rzeczy, władze Madrytu zamykają przedszkola i szkoły. Miasto, z 782 infekcjami, jest epicentrum epidemii. Ofiarą wirusa pada pierwszy poseł: Javier Ortega Smith, ze skrajnej prawicy. W swoim stylu przekonuje, że „jego hiszpańskie przeciwciała pokonają ten cholerny chiński wirus".

13 marca, na dzień przed wprowadzeniem stanu alarmowego, rząd Katalonii podejmuje decyzję o odcięciu kilku miejscowości. Wśród nich Igualady, oddalonej od Barcelony o 60 km. Tego dnia Nil pozuje do zdjęcia zamyślony. Pisze: „Wszystko zmienia się błyskawicznie". W kraju zarażonych jest już ponad 4 tys. ludzi.

13 marca: Susana zostaje z dziećmi

– Teraz to miejsce zawieszone w czasie. Bezludne. Słychać wyłącznie przejeżdżający co chwilę ambulans – tak Igualadę opisuje 38-letnia Susana, która tu się wychowała i po latach zamieszkała z dwójką dzieci. I choć spędzanie z nimi czasu zawsze było dla niej ważne, to ciężko jej wyobrazić sobie, jak ma wyglądać jej praca.

– Jestem architektką, rysować budynki mogę też z domu, to nie problem. Ale teraz czas zajmują mi negocjacje z dziećmi i wymyślanie, co zrobić, żeby nie spędziły całego dnia przed ekranem – przyznaje. – Moi rodzice nie mogą nam pomóc, oboje to pacjenci onkologiczni. Dlatego dzielę się obowiązkami z byłym mężem, on jest z nami w domu. Rozstaliśmy się trzy lata temu, ale jesteśmy przyjaciółmi.

Władze Katalonii podjęły decyzję o odcięciu Igualady i wprowadzeniu kwarantanny, gdy liczba infekcji w jeden dzień skoczyła z 20 do 58, z czego większość stanowili pracownicy lokalnego szpitala. To pierwsza miejscowość w Hiszpanii, do której od 13 marca nie ma wstępu. Blokująca drogi policja zielone światło do wjazdu bądź wyjazdu daje nielicznym, głównie dostawcom sklepów i ambulansom.

– Normalnie bez przerwy jeżdżę do Barcelony, tam mieszka większość moich znajomych – mówi Susana. – Ale chyba najtrudniejszy będzie brak kontaktu z moim chłopakiem. Już wiemy, że to będzie trwało dłużej niż 15 dni.

Susana nie chce narzekać: ma pracę, jej rodzina jest bezpieczna. Kwarantanna w Igualadzie, zanim jeszcze ogłoszono stan alarmowy w kraju, to jej zdaniem dobra decyzja lokalnych władz: – W tym przypadku rzeczywiście czuję, że Katalonia zadziałała sprawnie. Szczególnie jeśli spojrzymy na to, co się dzieje w Madrycie.

Nie ona jedna tak myśli. Na Twitterze kolejne osoby porównują dane z 15 marca, które pokazują różnicę między liczbą ofiar: w Igualadzie siedmiu, a w Madrycie 213 zmarłych. Ale tylko w Igualadzie pilnuje się, by mieszkańcy nie mieli kontaktu z resztą kraju. W internecie zdziwienie: dlaczego nikt nie podejmuje decyzji o zamknięciu stolicy? Mieszkańcy Madrytu wciąż mogą swobodnie się przemieszczać. Niektórzy decydują się przenieść do miasteczek i wiosek, których ludność to głównie osoby starsze.

Gdy Igualada przeżywa pierwszy dzień totalnej izolacji, szef katalońskiego rządu Quim Torra apeluje do władz centralnych: prosimy o pozwolenie na zamknięcie granic Katalonii. Czeka go niemiła niespodzianka. Premier Sánchez nie tylko nie przychyla się do prośby Torry, lecz – wraz z wprowadzeniem stanu alarmowego – podporządkowuje rządowi centralnemu wszystkie wspólnoty autonomiczne. Wielu Katalończyków, w tym Torra, uznaje to za zamach na niezależność regionu. Inaczej reaguje burmistrzyni Barcelony, Ada Colau. „Musimy działać wszyscy razem, bez wyjątku" – apeluje do mieszkańców, już z domu.

– Złości mnie, że ludzie próbują upolityczniać ten kryzys – mówi Susana. Ona nie chce stawać po żadnej stronie. Boi się o przyszłość: – Czuję ogromną niepewność, zarażeń i ofiar przybywa. Czasem mam wrażenie, że to tylko dziwny sen. ↦

15 marca:
Francisco zaczyna wolontariat

↦ Złość i frustracja nie ogranicza się do regionów z największą liczbą zarażonych. Rozlewa się tak daleko, jak sięga kwarantanna. Czyli po całym kraju.

– Czy można było działać wolniej? – Francisco, 23-letni pielęgniarz z Sewilli, też nie jest fanem polityki rządu. – I tu nie chodzi o ideologię, czy ktoś jest po prawej, czy lewej stronie. Zapytaj kogokolwiek, powie to samo. Mam wrażenie, że to my musimy podejmować decyzje za polityków. A oni dopiero pod presją obywateli zaczynają cokolwiek robić.

Francisco niedawno odszedł z pracy, by robić specjalizację. Ale tuż po końcowym egzaminie świat się zatrzymał, aż do odwołania, a wraz z nim kariera i życie Francisca. Na razie jest w rodzinnym domu. Jego bliskich, choć są zdrowi, wirus nie oszczędza: – Obaj kuzyni stracili pracę. Brat po sześciu miesiącach bezrobocia w końcu coś znalazł, ale to też nieaktualne.

Cała rodzina liczy, że to on w końcu będzie miał stabilną posadę. Francisco też w to wierzy, ale teraz ciężko powiedzieć, kiedy to nastąpi. Prawda, dzwonili do niego z Madrytu, by przyjechał pomóc w szpitalu, ale odmówił. Bo za co miałby wynająć mieszkanie? Próbuje organizować sobie codzienność, ale to trudne. Odkąd ojciec nie chodzi do pracy, nie mają nawet ustalonej godziny posiłków.

Czas w ciągu dnia wypełniają zakupy albo wolontariat: – Pomagam starszym, oni są zostawieni sami sobie. Odwołano im wizyty u lekarzy, operacje, chemioterapie. Wszystko jest teraz podporządkowane pacjentom z wirusem.

A tych przybywa, również wśród starszych. Domy opieki są ogniskami epidemii: diagnozuje się w nich nawet po kilkadziesiąt przypadków naraz. Ale nie trzeba być zarażonym, by nie radzić sobie z nową rzeczywistością: – Starsi ludzie, do których chodzę, są psychicznie w złym stanie – mówi Francisco. – Źle im się kojarzy odosobnienie i policja na ulicach.

Francisco martwi się też o bezpieczeństwo kolegów po fachu. Nie wie, jak szpitale wytrzymają kolejne fale pacjentów: – Lekarze są psychicznie wykończeni. Brakuje wyposażenia, maseczek muszą używać po kilka razy – przesyła mi zdjęcie, na którym pielęgniarka przykryta jest zieloną folią. – Tak, to worek na śmieci, trzeba improwizować.

W piątek 20 marca telewizja La-Sexta podaje: w niektórych szpitalach w Madrycie w poniedziałek może zabraknąć respiratorów. Jeśli tak się stanie, lekarze będą musieli podejmować dramatyczne, obciążające psychicznie decyzje.

Francisco jest zły. Twierdzi, że służba zdrowia była zaniedbywana przez lata: – Teraz nam klaszczą, a co będzie później? Pielęgniarz w pierwszym roku pracy nie zarabia nawet tysiąca euro.

Choć w Madrycie jest dramatycznie, Francisco nie zmienia swojej decyzji, zostaje w Sewilli: – A wiesz, czemu? Bo coś mi mówi, że prędzej czy później tutaj też będę potrzebny.

16 marca:
Mercè znów protestuje

– Jak mi mijają te pierwsze dni? – uśmiecha się Mercè. – Miałam wiele planów: czytać książki, skupić się na nauce, bo zaczęłam studiować archeologię. Ale ostatecznie cały czas pracowałam.

Mercè, emerytka z Barcelony, nie boi się o siebie. Do wirusa podchodzi zadaniowo: zarażę się, pochoruję, wyzdrowieję. Boi się o tych, którzy nie pojawiają się w serwisach informacyjnych. Przynajmniej nie teraz, bo w kryzysie sanitarnym ciężko znaleźć miejsce na rozmowę o imigrantach, stłoczonych w ośrodkach pobytu tymczasowego, czekających na decyzję o deportacji.

– Tam nie ma warunków do życia, co dopiero teraz – tłumaczy Mercè, która dziś zaapelowała (wraz z organizacją, w której działa) o zamknięcie ośrodków. – W tej chwili i tak nie ma mowy o deportacji. Trzymanie tych ludzi nigdy nie miało mniej sensu.

Mercè wie jednak, że ci, którzy mają na tyle szczęścia, że znajdują się poza ośrodkiem, przechodzą teraz równie trudny czas: – Uliczni sprzedawcy, którzy żyją z turystów, z dnia na dzień stracili źródło dochodu.

Ale to nie dotyczy wyłącznie imigrantów. Kwarantanna oznacza też tymczasowe zwolnienia, wymuszone przez pracodawcę wykorzystanie urlopu, a w przypadku tzw. *autónomos*, osób prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą, zawieszenie jej na czas nieokreślony. Niektórych zobowiązuje się do przyjścia do pracy, w której nieprzestrzegane są zasady bezpieczeństwa. W sieci krążą zdjęcia zatłoczonych *call centers*, gdzie zachęca się pracowników do częstego mycia rąk – i jest to jedyna forma ochrony.

– Dlatego narzekanie w mojej sytuacji byłoby nierozsądne – mówi Mercè. Po chwili dodaje: – Najważniejsze, aby znowu, jak to się już zdarzało w tym kraju, nie okazało się, że to ci najbardziej bezbronni poniosą skutki tego kryzysu.

18 marca:
Pedro prosi o wsparcie

Pedro Sánchez przemawia do prawie pustej sali. Pojedynczy posłowie są rozsiani, a zamiast typowego w parlamencie gwaru, słowom premiera towarzyszy cisza. Sánchez prosi o jedność i wsparcie w walce z kryzysem. Opozycja mu to obiecuje, choć nie szczędzi krytyki: jednym nie podoba się jego program pomocy gospodarczej (jako niewystarczający), inni wypominają zbyt wolną reakcję. Premier się broni i dodaje to, co kołacze się już chyba w głowach większości Hiszpanów: „Najtrudniejsze dopiero przed nami”.

W trakcie obrad uwagę przykuwa coś jeszcze: kobieta w maseczce i rękawiczkach, która po każdym przemówieniu dezynfekuje pulpit i mikrofon. Jak wielu z personelu sprzątającego, ona też nie została dziś w domu. To także im, cichym bohaterom kryzysu, Hiszpanie klaszczą codziennie z balkonów. Oczywiście: w przerwach między internetowymi zajęciami jogi a sąsiedzką grą w bingo, bo także tutaj odosobnienie owocuje ogromem społecznych inicjatyw. Sąsiedzi wywieszają oferty pomocy w zakupach, w sieci prawnicy radzą, jak walczyć o swoje prawa z pracodawcą. Mercè cieszy się z tych inicjatyw: wierzy, że jeśli ten kryzys może przynieść cokolwiek dobrego, to może jakąś ludzką, społeczną zmianę.

– Musimy wyjść z tego razem, solidarnie. Nie ma już miejsca na egoizm. Najbliższe miesiące to będzie próba dla nas wszystkich – przekonuje, gdy rozmawiamy po raz ostatni. Jest piątek, 20 marca, w mediach mówi się już o prawie 20 tys. zarażonych.

– Co teraz będzie? – Mercè powtarza pytanie. – Ciężko przewidzieć. Czy miesiąc temu ktoś przewidziałby, że jeden wirus wstrząśnie całym państwem?

W Barcelonie na ulicach pusto. Już w trzecim dniu kwarantanny zanieczyszczenie powietrza spadło o połowę. To pocieszenie: jest czym oddychać. Jeśli tylko ma się powód, by wyjść na zewnątrz.

© PAULINA MAŚLONA

MATERIAŁY PRASOWE

Ellie Jackson, autorka „The Little Corona King", oraz jej dzieci: Lilia, Evie, Rafe i Audrey.

Mały król Korona

PATRYCJA BUKALSKA

Jest zielony, jak koronawirus z animacji, i ma ponurą minę. To czarny charakter z brytyjskiej książki dla dzieci, która ma im wyjaśnić obecną sytuację – i uspokoić.

Ellie Jackson mieszka w Looe – pięciotysięcznym miasteczku w Anglii, położonym na odległym od zgiełku metropolii Półwyspie Kornwalijskim – i pisze książki dla dzieci. Zwykle o trudnych sprawach współczesnego świata: o plastiku w oceanach, o wycinaniu lasów deszczowych. Jej książeczki są przeznaczone dla młodszych dzieci – tych, które chodzą do przedszkola albo do pierwszych klas podstawówki – a ich bohaterami są zwierzęta, które wpadają w tarapaty przez ludzką bezmyślność. Ale, jak to w bajkach, historia zawsze kończy się dobrze.

Teraz Ellie Jackson napisała o koronawirusie.

– Moja ilustratorka opowiedziała mi, że jej sześcioletni syn wrócił zapłakany ze szkoły. Nauczyciel opowiedział im o wirusie, a dziecko nabrało przekonania, że jego cała rodzina umrze. Chłopczyk bał się czegokolwiek dotknąć – opowiada pisarka „Tygodnikowi". – Pomyślałam, że musi być lepszy sposób, aby o tym opowiedzieć dzieciom. Tak, żeby nie były przerażone.

Książeczka autorstwa Jackson, zatytułowana „Mały król Korona" („The Little Corona King"), powstała szybko: ukazała się – w wersji elektronicznej, w internecie – już w pierwszych dniach marca (dostępna w kilku wersjach językowych).

Autorce zależało, aby jak najszybciej wesprzeć rodziców, którzy mogą zmagać się z lękiem swoich dzieci.

Małe książki o dużych sprawach

W minioną środę, 18 marca, brytyjski rząd zdecydował o zamknięciu szkół. Wcześniej władze przez wiele dni nie ograniczały zanadto życia publicznego, odmawiając zastosowania modelu znanego z Europy kontynentalnej – kwarantanny i ograniczania tych wszystkich aktywności obywateli, które nie są konieczne dla zapewnienia społeczeństwu elementarnych potrzeb.

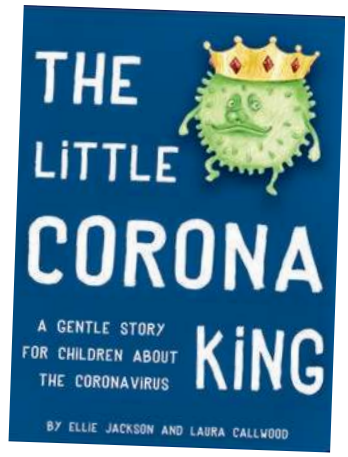

Ale nawet początkowe udawanie pozorów normalności tutaj nie pomogło: brytyjskie dzieci, jak wszystkie dzieci, chłoną świat dorosłych, jego emocje. Epidemia od początku ma wpływ także na ich życie. Niby wychodzą jak zwykle z domów, idą do szkoły, ale między sobą opowiadają to, co zasłyszały z rozmów rodziców czy z telewizji. Widzą, że coś się dzieje, że rodzice są zdenerwowani. To budzi niepewność i lęk.

– To, czego się dowiadują, nie zawsze jest dostosowane do ich wieku – zwraca uwagę Ellie Jackson. – Jednak dzieci są niezwykle odporne i jeśli tylko wiadomości o koronawirusie zostaną im przedstawione w odpowiednim kontekście, jeśli wytłumaczy im się, co się dzieje, to, mam nadzieję, można ograniczyć ich nadmierny niepokój.

Pisarka sama ma czworo dzieci. Przyznaje, że jej dom to jeden wielki chaos i hałas, w którym trudno znaleźć warunki na spokojną rozmowę.

Stąd pomysł, aby pisać o ważnych sprawach pogodne i krótkie opowieści – takie, które można przeczytać, kładąc dzieci spać. O jej książce o żółwiu zagrożonym przez plastik w oceanie z uznaniem wyrażali się sir David Attenborough i książę Karol. Jackson napisała tę książkę, kiedy zobaczyła, jak wielki wpływ miała na jej dzieci historia żółwia, którego wypuszczenie do oceanu po leczeniu obserwowała razem z nimi w Australii.

– Kiedy moje dzieci połączyły plastik z losem żółwi, same zaczęły zbierać plastikowe śmieci na plażach – mówi. Teraz, po książce o królu Koronie, może będą chętniej i dokładniej myć ręce. ↦

I mówić, i słuchać

– Ważne, aby po prostu być z dziećmi, towarzyszyć im. Rozmowa o trudnej sytuacji to jeden z elementów takiego towarzyszenia – mówi „Tygodnikowi" Agnieszka Stein, psycholożka i autorka książek o relacjach z dziećmi. Podkreśla jednak: – My taką rozmowę wyobrażamy sobie jako opowiadanie, tłumaczenie, a tymczasem równie ważnym jej składnikiem jest słuchanie. Posłuchajmy dziecka: co ono czuje, o czym myśli.

Powinniśmy też jako rodzice zwrócić uwagę na to, co dziecko robi, bo np. niektóre małe dzieci zaczynają już bawić się „w koronawirusa".

– Ale nie bójmy się tego! Taka zabawa to dla nich metoda oswojenia z tematem. Dziecko w ten sposób może też chcieć coś nam pokazać, a my możemy się w tę zabawę włączyć. To również droga towarzyszenia dziecku, pokazania, że jesteśmy razem, że razem przez to przejdziemy – mówi Agnieszka Stein.

A skoro już mowa o byciu razem, to rodzice powinni zadbać także o siebie. Stein: – Dzieci widzą, kiedy nam jest trudno, a teraz szczególnie widać, że funkcjonujemy inaczej niż zwykle. Potrzeba nam teraz wszystkim wsparcia ze strony innych. To naprawdę ważne, aby zanim zaczniemy rozmawiać z naszymi dziećmi, pomyśleć o sobie, zadbać o siebie.

W cztery dni

W książeczce Ellie Jackson dzieci przynoszą rodzicom ze szkoły ważny list od nauczycielki. Rodzice go czytają i opowiadają dzieciom o paskudnym wirusie, który lubi podróżować, ale do którego powstrzymania można przyczynić się także poprzez mycie rąk. Wyjaśniają też dzieciom, dlaczego muszą one zostać w domu.

Książka jest napisana tak, że daje rodzicom podstawę do rozmowy z dziećmi i mogą uzupełniać ją informacjami, zależnie od ich sytuacji.

– Zwykle nasze książki powstają przez kilka miesięcy. Tę skończyłyśmy z Laurą Callwood, moją ilustratorką, w cztery dni – opowiada pisarka. – Zawsze muszę dostosować pracę do potrzeb dzieci i nie jest to łatwe. Ale wiedziałam, że to ważne, aby skończyć jak najszybciej. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

MONIKA ANDRUSZEWSKA

Jaryna Czornohuz protestuje przed siedzibą prezydenta Ukrainy, Kijów, marzec 2020 r.

Między wojną i epidemią

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

„A kto za mnie, dziewczynko, kwiatki będzie sprzedawał? Jak inaczej zapłacę za moje lekarstwa?" – pyta Olga, emerytka, która handluje krokusami na kijowskiej ulicy.

Pomimo epidemii i wydanego już przez władze zakazu zgromadzeń, tego dnia na głównych ulicach Kijowa trudno było poczuć się samotnie.

Kilka tysięcy ludzi zebrało się w sobotę, 14 marca, w centrum ukraińskiej stolicy, aby uczcić Dzień Ukraińskiego Ochotnika. Od kilku lat jest obchodzony ku czci tych, którzy w 2014 r. jako pierwsi stawili czoło rosyjskiej agresji. Demonstranci chcieli też zaprotestować przeciw uznaniu dwóch samozwańczych „republik ludowych", donieckiej i ługańskiej, za stronę w negocjacjach, które od lata 2014 r. ciągną się w białoruskim Mińsku.

Czy to nieświadomość zagrożenia? Czy może wielu Ukraińców zostało tak doświadczonych w ostatnich latach, że gdy mają wybierać między wojną a pandemią, ta druga nie robi na nich – przynajmniej na razie – większego wrażenia?

Protest w maseczce

Dziewczyna w mundurze od tygodnia siedzi na karimacie przed budynkiem Biura Prezydenta Ukrainy. Za jej plecami migoczą czerwone płomyki zniczy. Wokół rozłożyła elementy umundurowania i plakaty: „Walka za swój kraj to sztuka", „To okupacja, a nie konflikt wewnętrzny".

Usta i nos Jaryny Czornohuz zakrywa osobliwa żałobna woalka: czarna maseczka, mająca chronić przed koronawirusem. W dłoniach trzyma zdjęcie Mykoły: swego frontowego ukochanego, któremu nie zdążyła wyznać miłości.

„Dzisiaj stracił życie chłopiec, którego kochałam" – napisała na Facebooku pod

koniec stycznia tego roku, po tym, jak Mykoła zginął od kuli rosyjskiego snajpera. Choć jej wpis zebrał tysiące lajków i udostępnień, teraz w proteście towarzyszy jej zaledwie kilka osób.

– Porozumienia mińskie to taniec na kościach. Wojna w Donbasie wciąż trwa, a pandemia nie zwalnia nikogo z walki za swój kraj. Ze względu na zakaz zgromadzeń nie ma nas tu nigdy więcej niż dziesięcioro. Respektujemy zasady bezpieczeństwa – zapewniają uczestnicy protestu, pokazując płyn antybakteryjny, którym często dezynfekują ręce.

Historia 24-letniej Jaryny jest podobna do wielu biografii młodych Ukraińców w ostatnich latach. Dziewczyna skończyła literaturoznawstwo na Akademii Kijowsko-Mohylańskiej – jednej z najbardziej prestiżowych uczelni, ostoi ukraińskich liberalnych elit. Zamiłowanie Jaryny do książek widać i teraz: na honorowym miejscu jej „posterunku" spoczywa opasły tom „Ksiąg Jakubowych" Olgi Tokarczuk (wydanie ukraińskie).

Jaryna uważa, że każdy obywatel Ukrainy jest zobowiązany do obrony swojego kraju. Dlatego rok temu zdecydowała się wstąpić do Hospitalierów: oddziału medycznego, który powstał jeszcze w 2014 r., ma charakter ochotniczy i skupia wojskowych lekarzy oraz sanitariuszy. Wtedy poznała Mykołę, żołnierza z regularnej armii. I się zakochała.

Miejsce złowróżbne

Dziś mówi, że miejsce ich pierwszego spotkania okazało się złowróżbne: trafili na siebie przypadkowo w okopie, każde w drodze na swoją pozycję. Mykoła zginął miesiąc później dokładnie w tym miejscu.

– Jego życiowa droga jest znakiem wyborów pokolenia młodych ukraińskich mężczyzn, którzy poszli na wojnę w chwili, gdy wielu ludzi przestało już ją uważać za wojnę – być może Jaryna mogłaby powiedzieć to zwyczajniej, mniej patetycznie. Ale pewnie mówiła to już tyle razy ludziom, którzy dziwili się jej protestowi, że inaczej nie potrafi.

Gdy trwająca od wiosny 2014 r. wojna z Rosją przekształciła się, mówiąc językiem wojskowych, z konfliktu manewrowego w wojnę pozycyjną, powoli zaczęła tracić zainteresowanie świata. Od lutego 2015 r., od dramatycznej bitwy o „kocioł debalcewski", w Donbasie nie ma już spektakularnych ruchów wojsk, o których mogliby dyskutować eksperci. Na liczącym kilkaset kilometrów froncie jest za to codzienna rutyna: okopy, błoto, choroby, czasem depresja, czasem samobójstwo, a prawie codziennie – czyjaś cicha żołnierska śmierć. Albo rany, które zmieniają czyjeś życie na zawsze.

Kwestia godności

Obserwując działania ekipy Wołodymyra Zełenskiego (w kwietniu minie rok, odkąd wygrał wybory prezydenckie), można odnieść wrażenie, że także na obecnej ukraińskiej władzy wojna nie robi już wrażenia.

11 marca, podczas spotkania w Mińsku „trójstronnej grupy kontaktowej ds. uregulowania konfliktu w Donbasie" podpisano dokument, który zakłada stworzenie nowego gremium: rady konsultacyjnej. Obok przedstawicieli OBWE, Ukrainy, Francji, Niemiec i Rosji, w jej skład mają wejść reprezentanci obu „republik" – parapaństw, kontrolowanych przez Rosję (dotąd mieli tam jedynie status niemych obserwatorów). Zdaniem ukraińskiego społeczeństwa obywatelskiego i ekspertów to krok ku uznaniu podmiotowości obu „republik". A także ku zmianie narracji: mowa byłaby już nie o rosyjskiej agresji, lecz o wojnie domowej (przy tej drugiej wersji obstaje od początku Rosja).

Gdy Jaryna usłyszała, co ustalono w Mińsku, spakowała się i ruszyła w drogę do Kijowa, gdzie spodziewała się zobaczyć masowe protesty. – Protesty faktycznie były, ale po demonstracji ludzie po prostu rozeszli się do domów – mówi dziś. – A ja przyjechałam z plecakiem i śpiworem, przekonana, że to przelało czarę goryczy i zaczniemy nową rewolucję. Usiadłam na schodach ze zdjęciem Mykoły i zaczęłam płakać z bezsilności. Zrozumiałam, że nie ma Mykoły i nie mam dokąd iść. A nawet – dodaje po chwili – że odejść nigdzie nie potrafię. Mykoła miał na plecach wytatuowany napis: „Życie – ojczyźnie. Godność – nikomu". I ja robię teraz wszystko, żeby żyć zgodnie z tymi słowami. A jedyne, co jest zgodne z moim poczuciem godności, to protestować przeciw uległości wobec terrorystów.

Jakaś epidemia jest tu stale

– Nie dziwię się tej dziewczynie. Ryzykuje zdrowiem podczas epidemii, ale przynajmniej robi to dla ważnej sprawy. Obserwuję właśnie przez okno, jak na przystanku busów stoi kilkadziesiąt osób. To 500 metrów od nieczynnej stacji metra. Ci ludzie po prostu muszą jechać do pracy, a nie mają teraz jak się przemieszczać – mówi Ołeh, lekarz pracujący w kijowskim szpitalu.

Ołeh uważa, że decyzja o zamknięciu stołecznego metra była błędem: – Przecież to najłatwiejszy w dezynfekcji i najszybszy z dostępnych u nas środków transportu! Powinno się zwiększyć maksymalnie liczbę kursów metra, a zawiesić zatłoczone busy i tramwaje, które są wylęgarnią wszelkich bakterii nawet bez nowych patogenów. Tu jest wszystko na odwrót niż w Europie! Nas, lekarzy, nikt nie słucha! – denerwuje się.

– Mówi się, że ludzie u nas są nieświadomi zagrożenia – dodaje Ołeh. – Moim zdaniem ludzie doskonale zdają sobie z niego sprawę, ale nie mają innego wyjścia. Zresztą przeżyli już tyle stresu w ostatnich latach, że chyba zobojętnieli na kolejne alarmy. Mało kto wie, że Ukraina należy do pięciu krajów świata z największym odsetkiem lekoopornej gruźlicy. W zasadzie mamy też epidemię odry, AIDS i żółtaczki. Ludzie przywykli, że stale jest tu jakaś epidemia.

Ołeh obawia się, że Ukrainę czeka niebawem wielka epidemia, z umieralnością porównywalną lub nawet większą niż ta we Włoszech.

– Nie podam mojego nazwiska, bo nie chcę stracić pracy, ale jesteśmy kompletnie nieprzygotowani. W naszym szpitalu nie ma ani jednego sprawnego respiratora. W tym momencie nie mamy dość masek, by zabezpieczyć samych siebie – wylicza. – W spokojnym czasie mamy problem nawet z ratowaniem zwyczajnych chorych. Nie chcę sobie wyobrażać, co zaraz się tu zacznie. Zakaz zgromadzeń i stan zagrożenia epidemicznego ogłoszono za późno.

Pod koniec ubiegłego tygodnia w kraju było ok. 20 potwierdzonych przypadków koronawirusa. Ołeh: – W rzeczywistości musi ich być kilkadziesiąt razy więcej.

Co będzie, jak kwiatków nie kupią?

– Pytasz mnie, dziewczynko, co tutaj robię. A kto za mnie kwiatki będzie sprzedawał? Kto mi zapłaci za leki? – pyta 76-letnia Olga, emerytka, jedna z licznych kobiet handlujących krokusami na ulicach stolicy. ↦

– Jaka znowu kwarantanna? – powiada Olga. – Wszyscy młodzi ciągle o czymś mówią, gdzieś pędzą. Wcześniej o wojnie, teraz o wirusie. U nas nawet już raz wprowadzali stan wojenny! Dlaczego, nie wiem. A teraz ta kwarantanna, ona też przypomina stan wojenny. Ja tam tego całego wirusa nie widzę. I wojny też nie widzę. Gdzie tu w Kijowie wojnę widać? To może dla młodych. Ja widzę moją starość i biedę. Mam wyższe rachunki, niż dostaję emerytury, Boże mój, co to będzie, jak moich kwiatków nie kupią? I tak przyjdzie mi zemrzeć z głodu i bez waszych kolejnych awantur – załamuje ręce. – Mój kochany ogródek, to on zapewnia mi środki do życia. On, a nie państwo i jego głodowa emerytura – gładzi spracowaną dłonią fioletowe główki kwiatów.

Przytakuje jej młody mężczyzna, sprzedający nieopodal kawę. Tak jak wielu Ukraińców, nawet nie rozważał pozostania w domu ze względu na kwarantannę. Mimo rozporządzeń o zamknięciu lokali innych niż sklepy i apteki, w Kijowie wciąż można bez problemu znaleźć otwarty bar, fryzjera czy salon manicure.

– Dostaję dniówkę, żyję z dnia na dzień – mówi mężczyzna. – Pracuję dla dużej sieci z kawą, żaden pracownik nie ma umowy. Wy w Europie tego może nie rozumiecie, ale nas po prostu nie stać na kwarantannę. Jeśli nie pójdę do pracy, nie kupię chleba do domu. Owszem, teraz ludzi jest trochę mniej, ale wkrótce wszystko wróci do normy. Nikogo nie stać na to, żeby nie pracować. Ukraina to nie jest kraj, w którym się żyje. Tu się przeżywa.

Kiedyś wolontariusze, dziś wolontariusze?

– Władza ogłosiła kwarantannę, ale nie okazała żadnego wsparcia nawet policji i wojskowym. Zgłaszają się do nas kolejne jednostki, które nie dostały masek ochronnych dla żołnierzy na froncie. Właśnie staram się znaleźć maski dla piechoty morskiej, ale już nigdzie nie da się ich kupić. To śmiech w żywe oczy – mówi Switłana Andrejczuk, wolontariuszka, która stale wspiera medyków i żołnierzy w Donbasie.

Switłana, prawniczka z Kijowa, od niemal sześciu lat żyje pomiędzy frontem a stolicą: dwa tygodnie spędza jako kierowca ambulansu, a kolejne dwa pracuje w kancelarii prawnej.

– Politycy przecież nie dziś dowiedzieli się o epidemii, rozpowszechniającej się z Chin po całym świecie. Powinni się do tego przygotować. Zamiast ratować ludzi przed epidemią, starali się wykorzystać kwarantannę do przepchnięcia takich rzeczy jak te rozmowy z separatystami czy mianowanie prokuratorem generalnym kobiety, która była przeciwniczką Majdanu. Chcą to pozałatwiać po cichu, dopóki jesteśmy zajęci wirusem.

OŁEH, LEKARZ Z KIJOWA:

Ukraina należy do pięciu krajów świata z największym odsetkiem lekoopornej gruźlicy. W zasadzie mamy też epidemię odry, AIDS i żółtaczki. Ludzie przywykli, że stale jest tu jakaś epidemia.

– Służba zdrowia jest w opłakanym stanie – stwierdza Switłana. – Myślę, że jak już się zacznie, będzie tak jak w roku 2014 z umundurowaniem i wyżywieniem armii. I że również teraz to wolontariusze wezmą na siebie ratowanie kraju przed pandemią.

– Oni myślą, że nie wyjdziemy na ulicę – mówi Switłana Andrejczuk. – Nie uda im się. Wolimy koronawirusa niż wirus „rosyjskiej wiosny", którym najwyraźniej zarażona jest nasza obecna władza – dodaje.

„Rosyjska wiosna": tak propaganda Kremla przedstawiała swoją agresję na Krymie i w Donbasie.

Jaryna wraca na wschód

Nocującą pod siedzibą prezydenta młodą dziewczynę zaczęły dostrzegać ukraińskie media.

Jaryna napisała manifest adresowany do władz. „Wiemy, że Rosja stale narusza porozumienia mińskie. Wszystkim są wiadome przypadki, gdy rosyjska armia wchodziła na pozycje, które zostały opuszczone przez naszą armię w ramach podjętej przez Zełenskiego »formuły Steinmeiera« [zakłada ona stopniowe wycofywanie wojsk z obu stron frontu – red.]. Dla nas ziemia, z której prezydent wycofuje wojsko, to ziemia, na której zginęli nasi towarzysze broni, przyjaciele, ukochani. I ich śmierć nie jest po prostu wojenną buchalterią, ale otwartą raną, z którą spędzimy resztę życia. I za którą nasz wróg ma zapłacić. Wołodymyr Zełenski ma teraz szansę pokazać, że nie jest marionetką Kremla" – odczytuje tekst manifestu.

Swój protest nazwała „Wiosną na granicie": to nawiązanie do protestów ukraińskich studentów w 1990 r., nazwanych „Rewolucją na granicie"; istniał jeszcze Związek Sowiecki. Dziś są one uznawane za pierwszy wielki pokojowy protest antykomunistyczny na Ukrainie.

Z granitu wykonany jest też bruk przed prezydencką administracją.

Do Jaryny przyłączają się kolejne osoby, często niemające nic wspólnego z donbaską wojną, a po prostu poruszone historią dziewczyny i jej determinacją. Lubomir przyjechał ze Lwowa ostatnim pociągiem przed zawieszeniem połączeń międzymiastowych z powodu ogłoszonej kwarantanny. – Nie mogłem patrzeć bezczynnie na to, co się dzieje z krajem. Usłyszałem o Jarynie i poczułem, że muszę jej pomóc – wyjaśnia.

– Zobaczyłem tę chudziutką dziewczynę śpiącą na zimnie i zrobiło mi się wstyd. Ona była na froncie, straciła chłopaka, a co ja robię? Siedzę zamknięty w domu i boję się koronawirusa? – mówi Anton, *freelancer* z Kijowa.

– Przez sześć lat mieszkałam pod rosyjską okupacją. Moi rodzice to Rosjanie i nie widzieli nic złego w aneksji Krymu. Mój sprzeciw i patriotyzm uważali za bunt nastolatki. Dlatego wyjechałam, gdy tylko miałam możliwość, by się usamodzielnić. Skoro Jaryna może tu siedzieć, to ja też mogę – mówi 20-letnia Wika.

Jaryna: – Mój Mykoła mówił, że wojnę w Donbasie lepiej zakończyć zdecydowaną ofensywą, choćby za cenę licznych ofiar, niż żeby ten konflikt ciągnął się latami i toczył kraj jak rak. Mam nadzieję, że dam ludziom wiarę w możliwość zmian. Jeśli protest się rozkręci, chciałabym, żeby ktoś mnie tu zastąpił. Chcę podpisać wiosną kontrakt w armii. Moje miejsce jest na wschodzie kraju. Tu przeżywam w jakiś sposób żałobę, znalazłam ukojenie w tym, że coś robię. Ale tylko na wschodzie czuję, że jestem blisko Mykoły.

Jaryna i wspierający ją uczestnicy protestu zdają sobie sprawę, że nie jest to szczęśliwy moment na masowe manifestacje. Jednak uważają, że władza nie zostawia im wyboru.

Tymczasem w tle rozwija się epidemia, z którą także musi się za chwilę zmierzyć i tak znękane społeczeństwo.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

WOJCIECH

Bonowicz:
Powrót

Wieczory są teraz ciepłe, przynajmniej na osiedlu. Siedzę w otwartych drzwiach balkonu i czekam, aż latarnie zapalą się na pomarańczowo. Jest cicho, czasem zza ściany dobiega czyjś podniesiony głos, ale zaraz milknie.

Nie wiem, co właściwie robią ludzie. Po powrocie z Austrii żona wpadła na pomysł, że odbędę kwarantannę w mieszkaniu rodziców. Syn-kurier dostarcza mi jedzenie, a ja siedzę i pracuję, nikogo poza tym nie widując. Blok, w którym mieszkałem przez lata, postarzał się i ma dorosłe dzieci. Tym dorosłym dzieciom – tak się domyślam – na ogół wystarczają telewizja i posiłki. Mnie telewizja męczy, więc nie włączam. Co pewien czas gdzieś odezwą się rury, radio albo przeciąg zamknie drzwi. Dziś o siódmej trzydzieści obudziła mnie wiertarka. Któryś z sąsiadów przypomniał sobie o pilnej pracy, powiercił chwilę i przestał.

Nad tapczanem wisi zdjęcie mamy. Już od przeszło dwóch lat nie kładzie się tu spać. Tapczan, choć jest w moim wieku, wciąż ma dobre sprężyny i mocne nogi. Na kredensie stoi maleńka figurka mamy, którą Gosia zrobiła z modeliny. Mama klęczy i ma białe włosy, takie, jakie miała, kiedy trzeba się było pożegnać. Może do trumny powinniśmy byli ubrać ją na zielono? W zielonym było jej ładnie i wydawała się pogodniejsza, niż naprawdę była.

Zawsze myślałem, że mogła być mniej surowa dla swoich wnuków. Dopiero niedawno Marcin z Maćkiem przyznali, że ilekroć przychodzili z wizytą, miała schowane dla nich chipsy i słodycze. Odetchnąłem z ulgą. Pamiętam, że kiedy coś mi smakowało, mówiła, że nie powinienem tego jeść. A kiedy ją przytulałem, powtarzała: „To kocia miłość". Bała się wszystkiego, co sprawia przyjemność. Uwielbiałem wieczory, kiedy o tym zapominała, wyciągała czekoladę i zaczynała opowiadać o swoim dzieciństwie. Chociaż z jej opowieści pamiętam mało, zaledwie pojedyncze sceny. Teraz myślę, że niewiele mówiła o sobie, raczej o tym, co przydarzyło się innym – o dziadku, który pracował w kopalniach we Francji, o cioci Marysi, która dostała się do więzienia i straciła włosy, o tym, jak zginął stryjek Wiktor. To były przeważnie smutne historie, ale właśnie przy nich przestawała być smutna.

Po południu, kiedy już nie mogłem pisać, a słońce wciąż świeciło, zdrzemnąłem się. Obudziły mnie rytmiczne uderzenia, jakby ktoś tłukł kotlety albo uderzał głową w stół. To także trwało tylko chwilę. Leżałem na wersalce, na której wcześniej sypiał Sławek, a po nim ja. Kiedyś, w trakcie dłuższego chorowania, właśnie na niej przeczytałem „Trylogię", a potem pierwszy tom „Czarodziejskiej góry". Od dziecka dużo czytałem i nie potrzebowałem do tego kwarantanny, ale choroby pomagały. Najlepsze były te, w których gorączka szybko ustępowała, ale nie wolno było wstawać.

Moja przyjaciółka w bibliotece szpitalnej znalazła książkę zatytułowaną „Jedynym wyjściem jest śmierć".

Siedzę w otwartych drzwiach. Noc jest przejrzysta i pusta. Wokół pomarańczowych latarni nikt nie biega. Nie wiem, jak ludzie teraz wyprowadzają psy, ale muszą to robić bardzo dyskretnie. Wydawało się, że świat nigdy się nie uspokoi, a tymczasem okazało się to takie łatwe, że aż przeraża. Zresztą to nieprawda. Nie mamy w rodzinie chorych, czekających w kolejce do szpitala, koczujących na granicach. Mnie udało się wrócić ostatnimi rejsowymi samolotami. Na tym, który leciał do Krakowa, wymalowana była reklama słodkich wafelków. Mężczyzna na siedzeniu przede mną pił jeden kubek wody za drugim.

Jest cicho. I jeśli nie na zawsze, to zapewne na długo zapamiętamy tę ciszę. ©

REKLAMA

TADEUSZ KANTOR. WIDMA

wystawa czynna
od 4 kwietnia 2020

Cricoteka
ul. Nadwiślańska 2–4, Kraków
www.cricoteka.pl

cricoteka 40
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
MAŁOPOLSKA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

BÓLE FANTOMOWE

Rząd Viktora Orbána zbija kapitał polityczny na poczuciu krzywdy i tęsknoty za utraconą potęgą, które wciąż tlą się w węgierskim społeczeństwie. A wszystko zaczęło się sto lat temu.

ANDRZEJ SADECKI Z BUDAPESZTU

W jednym z najbardziej ruchliwych punktów Budapesztu, w przejściu podziemnym koło dworca Nyugati i galerii handlowej, wokół prowizorycznego, udekorowanego w barwy narodowe namiotu uwija się para starszych wolontariuszy. Nad nimi baner: „Zbiórka podpisów za unieważnieniem Trianon!".

Do podpisywania nie garną się tłumy. Jednak co rusz ktoś podchodzi, zwabiony hasłami: „Trianon nie jest wieczne!" czy „Precz z Trianon – sprawiedliwość dla Węgier". Jak twierdzą organizatorzy akcji, zebrano już ponad 300 tys. podpisów, a do końca tego roku – jubileuszowego – chcą dobić do miliona.

Nie jest natomiast jasne, jakie skutki miałaby nieść ta akcja. Bo nawet jej organizatorzy wydają się zdawać sobie sprawę, że oprócz symbolicznego wyrazu sprzeciwu wobec dawnej krzywdy węgierskiej nie mają na co liczyć. Daje ona jednak wyraz emocjom, rozbudzonym na Węgrzech w setną rocznicę wydarzenia, które do dziś porusza i rani.

Katastrofa największa

W ostatnich latach w wielu krajach Europy Środkowej radośnie obchodzono stulecie wyłonienia się nowego ładu politycznego po I wojnie światowej. Upadek dominujących w tym regionie mocarstw – imperiów Romanowów, Hohenzollernów i Habsburgów – pozwolił na powstanie konstelacji nowych państw. W 1918 r. niepodległość ogłosiły Polska, Litwa, Łotwa, Estonia, Czechosłowacja, a Rumunia zwiększyła dwukrotnie swój obszar. W pamięci zbiorowej tych narodów rok 1918 zapisał się jako moment narodowej satysfakcji, triumfu, przywróconej sprawiedliwości.

Tymczasem dla Węgier pamięć o tamtych wydarzeniach niesie zgoła odmienne skojarzenia. Wprawdzie uzyskały one w 1918 r. – po niemal czterech wiekach – pełną samodzielność państwową, jednak skutki wojny uważane są tam powszechnie za największą katastrofę w tysiącletnich dziejach państwa i narodu. Ówczesne Węgry okazały się bowiem Węgrami radykalnie okrojonymi: utraciły dwie trzecie przedwojennego terytorium, a 3 miliony Węgrów znalazły się poza nowymi granicami kraju.

Symbolem tej katastrofy stał się traktat pokojowy między zwycięskimi mocarstwami i Węgrami (traktowanymi jako jeden z pokonanych uczestników Wielkiej Wojny), podpisany 4 czerwca 1920 r. w Trianon, jednym z pałaców Wersalu.

Po stronie przegranych

Dlaczego skutki traktatu były tak dotkliwe? Przede wszystkim, jako podmiot współtworzący monarchię austro-węgierską, Węgry przegrały wojnę. Choć przez kilka stuleci podporządkowane były imperium Habsburgów, wobec którego wielokrotnie powstawały zbrojnie, to w 1867 r. uzyskały status niemal niezależnego państwa w ramach dualistycznej monarchii Austro-Węgier (cesarz Austrii stawał się zarazem królem Węgier). Niemal, gdyż obok polityki celnej i skarbu, także kwestie zagraniczne i wojskowe pozostały w gestii Wiednia. Mimo że węgierski rząd w 1914 r. niechętnie przystępował do wojny, to do samego jej końca pozostał wierny Wiedniowi i sojuszowi państw centralnych. I wyszedł z wojny jako państwo pokonane.

Głębszą przyczyną rozpadu Węgier były narastające przez cały wiek XIX dążenia mniejszości narodowych. Królestwo Węgier było bowiem państwem wieloetnicznym. Według spisu powszechnego z 1910 r. językiem węgierskim jako pierwszym posługiwało się tylko 54 proc. ludności (natomiast 16 proc. rumuńskim, po 10 proc. słowackim i niemieckim, po 2,5 proc. rusińskim i serbskim). Węgrzy stanowili większość w 30 z 63 komitatów (okręgów), na które kraj był podzielony.

Po uzyskaniu od Habsburgów niezależności w sprawach wewnętrznych Węgrzy nie mieli zamiaru dzielić się tą wolnością z innymi nacjami. Prowadzili politykę asymilacji, co dodatkowo radykalizowało mniejszości. Gdy więc jesienią 1918 r. monarchia Austro-Węgier chyliła się ku upadkowi, Słowacy zdecydowali o przyłączeniu się do powstającej Czechosłowacji (choć ziemie słowackie nigdy wcześniej nie były związane państwowo z ziemiami czeskimi), natomiast Rumunia i Serbia – należące do zwycięskiej koalicji, Ententy – zajęły tereny licznie zamieszkiwane przez swoich rodaków. Siedmiogród, który przejęła Rumunia, miał powierzchnię większą niż całe okrojone państwo węgierskie.

Ententa ustala nowy ład

Na kształt trianońskich granic Węgier wpływ miały także rachuby państw Ententy, kształtujących powojenny ład po-

lityczny. Pierwsze skrzypce grała Francja, pragnąca mieć w Europie Środkowej pas państw sojuszniczych (Polskę, Czechosłowację i Rumunię), które z jednej strony byłyby zaporą przed ekspansją Niemiec na wschód, a z drugiej strony „kordonem sanitarnym" wobec bolszewickiej Rosji.

Choć przy ustalaniu nowych granic wiodąca miała być wilsonowska zasada etniczna, to w wypadku terenów o populacji mieszanej decydowano zwykle na korzyść narodów, które albo walczyły po stronie Ententy (Rumuni, Serbowie), albo których liderzy (jak czescy, pozostający na emigracji) dostatecznie wcześnie opowiedzieli się za Ententą.

Pozycji negocjacyjnej Węgier wobec Ententy nie pomogły turbulencje, w jakich kraj znalazł się po dezintegracji monarchii habsburskiej. Jesienią 1918 r. zamordowany został wojenny premier Węgier i powołana liberalno-demokratyczna republika, wiosną 1919 r. władzę przejęli węgierscy bolszewicy, a na jesieni doszło do restauracji monarchii, z tym że bez króla – regentem został ostatni admirał floty habsburskiej Miklós Horthy, wokół którego skupiły się przedwojenne elity arystokratyczno-ziemiańskie.

Rewizjonizm integralny

W dzień podpisania traktatu pokojowego, 4 czerwca 1920 r., w całym kraju zabiły dzwony, a flagi opuszczono. Węgrzy nie mogli się pogodzić z utratą ziem zamieszkanych przez kilka milionów ich rodaków oraz z degradacją – z pozycji współgospodarza jednego z największych europejskich mocarstw do roli niewielkiego państwa, bez dostępu do morza.

Winą za rozpad Węgier obciążano nacje, które – jak argumentowano – obróciły się przeciw państwu przez stulecia będącym ich domem. Oskarżano bezduszne mocarstwa. Szukano prostych wyjaśnień. Według jednego z nich rumuńska królowa Maria przywiozła ze sobą do Paryża kurtyzany, które miały jakoby odegrać decydującą rolę w „przekonaniu" delegatów konferencji pokojowej do werdyktu niekorzystnego dla Węgier.

EDWARD AUGUSTYN

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA.ORG

Delegacja węgierska z szefem Ágostem Benárdem (drugi z lewej, z cylindrem w dłoni) i Alfredem Drasche-Lázárem, nadzwyczajnym wysłannikiem rządu węgierskiego (z prawej, bez nakrycia głowy), wychodzi z pałacu Trianon kilka chwil po podpisaniu traktatu pokojowego, 4 czerwca 1920 r.

Za głównego winowajcę rozpadu Królestwa Węgier uznawano francuskiego premiera Georges'a Clemenceau, gospodarza konferencji wersalskiej. Jego rzekoma niechęć do Węgrów miała wynikać z nieudanego małżeństwa jego syna z Węgierką. Rolę sprawczą przypisywano też wolnomularzom – ten mit okazał się najtrwalszy i do dziś znajduje zwolenników.

Rozpad Królestwa Węgier, przypieczętowany traktatem z Trianon, odrzucała cała klasa polityczna. Zresztą aż jedną trzecią posłów węgierskiego parlamentu, wybranego w 1920 r. (w tym połowę posłów partii rządzącej) stanowili ludzie urodzeni poza nowymi granicami. Co bardziej umiarkowani politycy postulowali więc korektę granic – tak, aby chociaż te tereny wróciły do macierzy, gdzie Węgrzy stanowili większość. Natomiast władze horthystowskie opowiadały się za rewizjonizmem integralnym, czyli powrotem Węgier w całości do przedwojennych, „tysiącletnich" granic.

Modlitwa o zmartwychwstanie

Rewizjonizm stał się nie tylko ideologią państwową okresu międzywojennego (reżim karmił obywateli iluzją powrotu do dawnej wielkości), ale wrósł też w codzienność. Uczniowie zaczynali i kończyli dzień szkolny modlitwą o „zmartwychwstanie Węgier". Do końca lat 30. postawiono na Węgrzech ok. 700 rewizjonistycznych pomników. Utworzono Węgierską Ligę Rewizjonistyczną, która w kraju i na świecie prowadziła kampanię na rzecz zmiany granic. Do radykalizacji nastrojów przyczyniał się napływ ok. 350 tys. Węgrów z ziem utraconych. Nierzadko pozostawili tam majątki i pozycję społeczną – oni szczególnie głośno domagali się zmiany granic.

Węgierski rewizjonizm z jednej i dążenia państw sąsiedzkich do zachowania *status quo* z drugiej strony – w okresie międzywojennym te dwie tendencje wzajemnie się napędzały, określały relacje Budapesztu z sąsiadami. Na popularny slogan „Wszystko z powrotem!" Rumuni odpowiadali hasłem „Ani piędzi ziemi!". Państwa sąsiednie na początku lat 20. zawiązały tzw. Małą Ententę: sojusz Czechosłowacji, Rumunii i Jugosławii, które obiecały sobie wzajemnie pomoc na wypadek węgierskich prób siłowego podważenia granic.

Fidesz zatrzymuje się w pół drogi i unika otwarcie rewizjonistycznej retoryki, mogącej antagonizować i państwa sąsiedzkie, i umiarkowany elektorat.

Ponieważ Węgry dysponowały niewielkim potencjałem militarnym, gospodarczym i demograficznym, zmiana granic mogła być dokonana jedynie przy poparciu rewizjonistycznych mocarstw. Początkowo Budapeszt głównego sojusznika upatrywał we Włoszech Mussoliniego, ale w latach 30. patronem węgierskiego rewizjonizmu stały się Niemcy – pod rządami Hitlera otwarcie dążące do rewizji „dyktatu wersalskiego".

W końcu Węgrzy skorzystali na wywróceniu przez Niemcy ładu wersalskiego i w latach 1938-41 odzyskali połowę utraconych ziem: południową Słowację i północny Siedmiogród (na podstawie arbitrażów) oraz Zakarpacie i część Wojwodiny (w wyniku działań zbrojnych). Do Koszyc i Klużu triumfalnie wjechał konno Horthy. Jednak radość nie trwała długo: po klęsce Niemiec w II wojnie światowej Węgry ponownie utraciły te ziemie.

Wracająca kwestia mniejszości

Rewizjonistyczna polityka Węgier Horthyego skończyła się więc spektakularną klęską.

Za udział w II wojnie światowej po stronie Niemiec kraj zapłacił wysoką cenę: wykrwawieniem się węgierskiej 2. Armii na froncie wschodnim (w bitwie pod Stalingradem oraz w zakolu Donu straciła ona połowę stanu – ponad 100 tys. żołnierzy), znacznym zniszczeniem Budapesztu (w 1945 r., podczas jednego z najdłuższych oblężeń tamtej wojny) i moralną kompromitacją, ze względu na współudział w zagładzie żydowskich obywateli Węgier. Traktat paryski z 1947 r. potwierdził granice z Trianon, z drobną korektą na niekorzyść Węgier – trzy wioski koło Bratysławy przekazano Czechosłowacji.

Gdy po 1945 r. komuniści doszli do władzy, epoka Horthyego została potępiona, a „trianońskie" pomniki zburzone. W cenzurowanej przestrzeni publicznej nie było miejsca nie tylko dla haseł rewizjonistycznych, ale także dla upominania się o interesy mniejszości węgierskich w państwach ościennych.

Potem, w okresie liberalizacji systemu od lat 60., kwestia Węgrów poza granicami znów zaczęła być podnoszona. Wsparcie dla mniejszości węgierskich stało się jednym z głównych postulatów jednoczących różne nurty opozycji demokratycznej. Domagała się ona od władz reakcji na represje, jakie wobec Węgrów stosowały reżimy rumuński i czechosłowacki. Wreszcie konferencja helsińska z 1975 r., z jej naciskiem na prawa człowieka, dała opozycji język, za pomocą którego mogła upominać się o prawa mniejszości bez uciekania w przedwojenny rewizjonizm.

Gdy skończyła się dyktatura komunistyczna, pierwszy demokratyczny rząd potwierdził istniejące granice. Węgry szybko obrały kurs na członkostwo we Wspólnocie Europejskiej i NATO; w latach 90. wojny na Bałkanach były dodatkową przestrogą przed pomysłami roszczeń terytorialnych. Państwo skupiło się natomiast na wsparciu społeczności węgierskich, wciąż licznie zamieszkujących państwa sąsiednie – dziś jest to ok. 2,2 mln ludzi.

Od subkultury do polityki

Sentyment do dawnego Królestwa Węgier i przekonanie o niesprawiedliwości dziejowej, której symbolem jest Trianon, są wciąż silnie zakorzenione w społeczeństwie. Według badania opinii z 2018 r. aż 74 proc. Węgrów uznaje traktat z Trianon za największą katastrofę w historii państwa i narodu.

Jednak postulaty rewizji w ostatnich trzech dekadach były marginalne i ograniczały się do skrajnej prawicy. Powstała cała nacjonalistyczna subkultura, próbująca na różne sposoby wskrzeszać i eksploatować rewizjonistyczne hasła i emocje rodem z międzywojnia. Kapele rockowe śpiewają więc o tęsknocie za szczytami Karpat, przez które biegła dawna granica, kontur „wielkich Węgier" pojawia się na tatuażach, breloczkach czy nalepkach na samochody. Powstają pomniki Trianon, stawiane przez prawicowe samorządy lokalne lub finansowane przez prywatne inicjatywy.

Właśnie do tych sentymentów coraz śmielej zaczął nawiązywać Fidesz – partia rządząca Węgrami od roku 2010 r.

Formacja Viktora Orbána rywalizowała o elektorat z (do niedawna) skrajnie prawicowym Jobbikiem. Jednak zatrzymywała się zwykle w pół drogi, unikając otwarcie rewizjonistycznej retoryki, mogącej antagonizować i państwa sąsiedzkie, i umiarkowany węgierski elektorat. Dzień 4 czerwca, w którym podpisano traktat, jeszcze w 2010 r. ustanowiono świętem państwowym, jednak pod hasłem „Dnia Jedności Narodowej" (w domyśle: obejmującej Węgrów w kraju i poza granicami), a nie wprost pod hasłem „dyktatu z Trianon". W wypowiedziach węgierskich oficjałów na próżno by szukać radykalnych haseł – choć już prorządowa prasa niekiedy wpuszcza na łamy rewizjonistów.

Historyczne ambiwalencje

Podobna ambiwalencja charakteryzuje tegoroczne obchody stulecia Trianon, z okazji których rząd ogłosił rok 2020 – Rokiem Jedności Narodowej. Sam premier Orbán nawołuje do rozsądku w upamiętnianiu rocznicy. W lutym tego roku argumentował, że należy się cieszyć, iż po stu latach od „wyroku śmierci" z Trianon Węgry wciąż żyją i są coraz silniejsze. Docenił, że Węgry nie są – jak kiedyś – otoczone kordonem nieprzyjaznych państw, lecz przeciwnie, współtworzą z nimi silny środkowoeuropejski sojusz.

Konflikt o historię z sąsiadami nie jest dziś bowiem na rękę Orbánowi. W polityce zagranicznej stawia on na Grupę Wyszehradzką, podczas gdy warunkiem jej funkcjonowania są stabilne stosunki węgiersko-słowackie. Na szerszym planie ideologicznym premier Węgier kreśli wizję zdroworozsądkowej Europy Środkowej, ostoi stabilności w niespokojnej Europie, oblężonej przez imigrantów i zatracającej swą tożsamość.

Do tego dochodzi pragmatyzm gospodarczy: Słowacja i Rumunia są, odpowiednio, drugim i czwartym najważniejszym rynkiem eksportowym dla Węgier. Dodatkowo członkostwo tych państw w Unii Europejskich zniwelowało bariery w kontaktach mniejszości z państwem węgierskim.

Po cienkim lodzie

Zarazem władze w Budapeszcie nie rezygnują ze zbijania kapitału politycznego na wciąż tlącym się w społeczeństwie poczuciu krzywdy i tęsknoty za utraconą potęgą.

We wspomnianym lutowym przemówieniu Orbán posłużył się cytatem z przedwojennej rewizjonistycznej modlitwy „O zmartwychwstanie Węgier". Na facebookowym profilu Orbána ukazało się w grudniu 2019 r. zdjęcie posiedzenia kierownictwa partii na tle mapy „Wielkich Węgier".

W styczniu do kanonu lektur szkolnych dołączono książki autorów rewizjonistycznych z międzywojnia. Przed parlamentem w Budapeszcie budowany jest pomnik, na którym wypisane zostaną wszystkie nazwy miejscowości przedtrianońskich Węgier. Orbán stąpa po cienkim lodzie, bo państwa sąsiedzkie są wyczulone na retorykę „Wielkich Węgier". Szczególnie alergicznie reagują na to Rumunia i Ukraina.

Węgierskie sentymenty rewizjonistyczne łączą one z zacieśnianiem przez Budapeszt stosunków z Rosją Putina. Czyli z główną siłą, która podważa dzisiejszy ład w Europie.

© ANDRZEJ SADECKI

REKLAMA

Twój 1% podatku pomaga osobom z autyzmem żyć razem z nami

Dzięki 1% podatku dla Stowarzyszenia Pomocy Osobom Autystycznym, działającego już 30-ty rok, możemy obejmować codziennym specjalistycznym wsparciem 400 osób z autyzmem – od wczesnego dzieciństwa po wiek dojrzały. Spotykasz je na co dzień w swoim miejscu zamieszkania, mogą być Twoimi sąsiadami lub dziećmi przyjaciół.

Przekazując swój 1% podatku wspierasz ich terapię, rehabilitację oraz pomagasz w przygotowaniu do możliwie samodzielnego życia – w środowisku lokalnym i naszych specjalistycznych placówkach w Gdańsku i Gdyni. Możesz również sprawić, że te placówki będą coraz ładniejsze, bardziej funkcjonalne i lepiej wyposażone.

Twój 1% pomaga osobom z autyzmem żyć razem z nami. Jakość ich życia, dzisiaj i w przyszłości zależy również od Ciebie. Za okazane im wsparcie serdecznie dziękuję.

Małgorzata Rybicka
Przewodnicząca Stowarzyszenia

Stowarzyszenie Pomocy Osobom Autystycznym

KRS 0000112634
www.spoa.org.pl

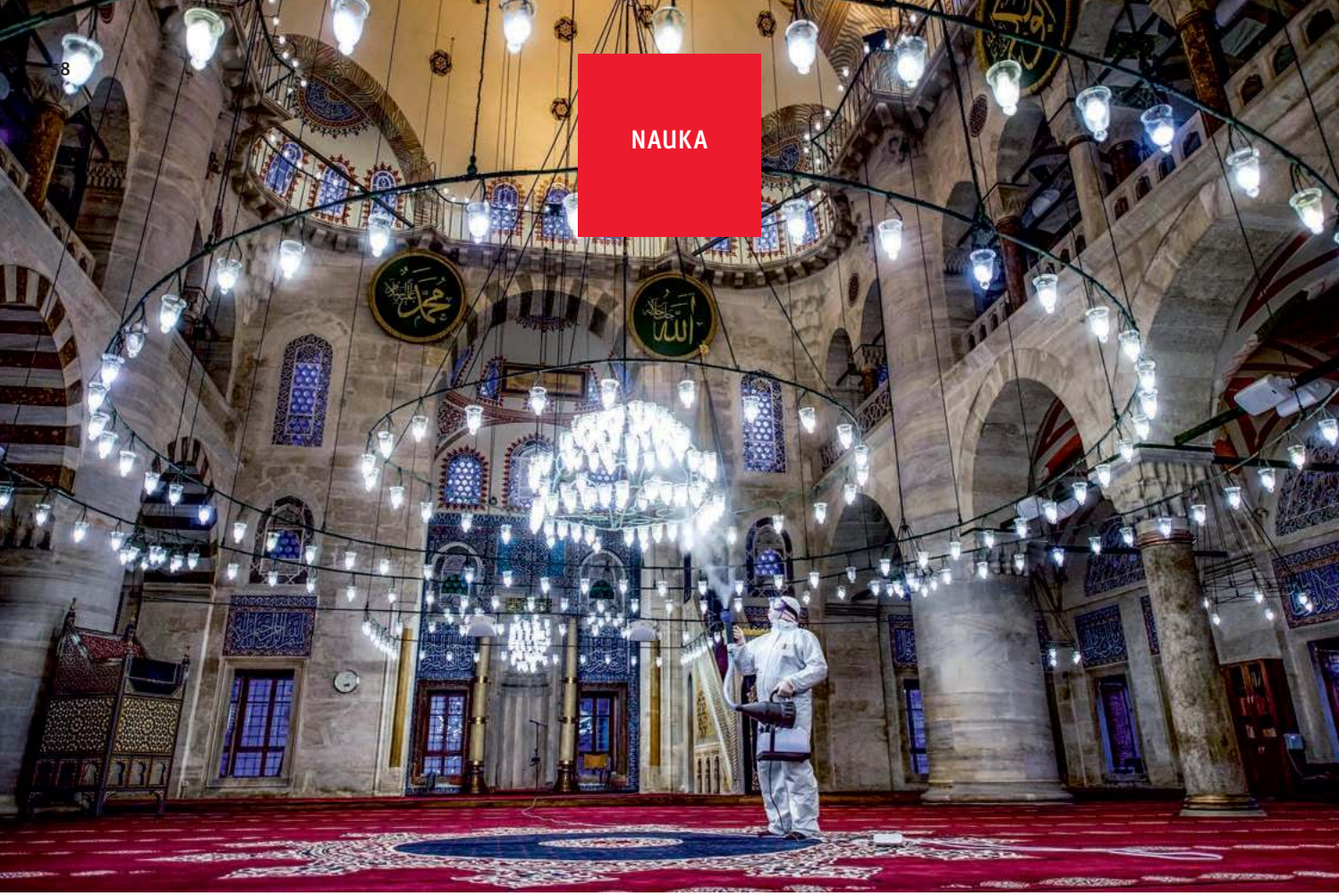

W meczecie Kilic Ali Pasa, Stambuł, 11 marca 2020 r.

SPŁASZCZYĆ KRZYWĄ

Gdy jedni naukowcy pracują nad lekiem i szczepionką na wirusa SARS-CoV-2, inni próbują zrozumieć, jak ograniczyć jego ekspansję. Co w tej kwestii podpowiadają nam modele matematyczne?

MICHAŁ ECKSTEIN

Pierwszy matematyczny model rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych podał w 1760 r. szwajcarski fizyki i matematyk Daniel Bernoulli. Na jego podstawie wskazywał na zalety wariolacji, czyli prewencyjnego zakażania ospą prawdziwą zdrowych ludzi. Polegała ona na aplikowaniu (przez wcieranie lub wdychanie) sproszkowanej wydzieliny chorej osoby, co przeważnie prowadziło do lekkiego przebiegu choroby i zapewniało ochronę przed poważną infekcją.

Notabene, wariolację Chińczycy stosowali już w XVI w., a według niektórych badaczy jej źródła mogą sięgać nawet do X w. p.n.e. Począwszy od 1796 r., za sprawą angielskiego lekarza Edwarda Jennera, wariolację zaczęto zastępować bezpieczniejszą metodą immunizacji – szczepieniami.

W drugiej połowie XIX w. opracowano szczepionki na wiele groźnych chorób, m.in. na dżumę, cholerę czy wściekliznę. Zrozumiano też, że infekcje są wywoływane przez mikroorganizmy, co zapoczątkowało „rewolucję higieniczną" obejmującą aseptykę i antyseptykę. Był to kamień milowy w rozwoju medycyny. Jednak charakterystyka ekspansji chorób zakaźnych wciąż pozostawała w dużej mierze niezrozumiała.

Sytuacja zaczęła się zmieniać na przełomie wieków za sprawą rozwoju teorii układów dynamicznych. Ta dziedzina matematyki, wyrosła z mechaniki klasycznej, zajmuje się opisem ewolucji w czasie rozmaitych układów złożonych – od maszyn, przez pogodę, po rynki finansowe.

Typową cechą modeli dynamicznych jest nieliniowość, która stanowi źródło zachowań chaotycznych. W największym

skrócie oznacza to tyle, że małe zaburzenie warunków początkowych prowadzi do bardzo dużych zmian po upływie stosunkowo krótkiego czasu.

Taki właśnie ma charakter wybuch epidemii. Po początkowej fazie pozornie niewielkiego wzrostu zachorowań następuje dramatyczna eskalacja. Nawet jedna chora osoba może być źródłem ogniska epidemii obejmującego po czasie tysiące zakażonych.

Dynamika epidemii

Fenomen wybuchu epidemii udało się po raz pierwszy ująć w matematyczne ramy za sprawą szkockich naukowców Williama Ogilvy'ego Kermacka i Andersona Graya McKendricka. W 1927 r. zaproponowali oni stosunkowo prosty model dynamiczny, tzw. model SIR, opierający się na podziale populacji na trzy kategorie: podatnych (S) [ang. *susceptible*], zakażonych (I) [ang. *infected*] i usuniętych (R) [ang. *removed*]. Ta ostatnia bezduszna nazwa obejmuje zarówno tych, którzy wyzdrowieli i wykształcili odporności, jak i tych, których choroba pokonała.

Na początku epidemii prawie całe społeczeństwo składa się z osób podatnych na chorobę, a tylko bardzo niewielką jego część stanowią zakażeni (zob. rys. 1). Wraz z upływem czasu liczba zainfekowanych rośnie i pierwsze osoby umierają. Zaczynają się też pojawiać pierwsi ozdrowieńcy, którzy już nie zarażą się ponownie. Cały proces nabiera tempa, a liczba zainfekowanych rośnie lawinowo (konkretnie – wykładniczo). Po pewnym czasie następuje wysycenie, a liczba aktywnie chorujących zaczyna spadać. W momencie, w którym to się dzieje, duża część populacji już zachorowała. Epidemia wygasa całkowicie, kiedy znaczny procent społeczeństwa przejdzie chorobę – zdrowiejąc lub, niestety, umierając.

Dynamika epidemii zależy od kilku kluczowych parametrów. Najważniejszy z nich to tzw. współczynnik R_0. Określa średnią liczbę osób, którym zainfekowany człowiek może przekazać chorobę. Epidemia wybucha, jeśli dla danej chorobyR$_0$ jest większe od jedynki. Współczynnik ten determinuje tempo przyrostu liczby zakażonych, maksymalną liczbę osób chorujących równocześnie, a także procent populacji, która przejdzie chorobę. Im większa wartość R_0, tym choroba jest groźniejsza i trudniejsza do opanowania.

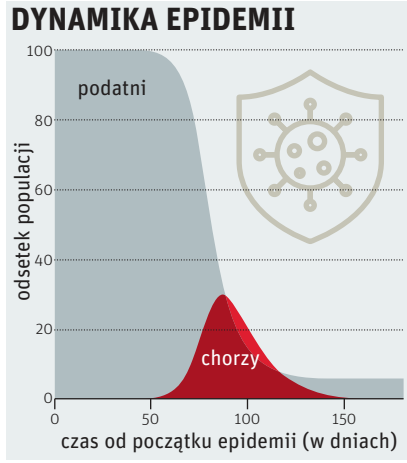

LECH MAZURCZYK

Rys. 1. Dynamika epidemii w modelu SIR. Na przedstawionym wykresie przyjęto parametr R_0 = 3, średni czas trwania choroby 12 dni oraz założenie, że na początku zakażona jest zaledwie jedna osoba na milion. Apogeum epidemii następuje po 88 dniach, kiedy równocześnie choruje ponad 30 proc. całej populacji. Ostatecznie chorobę przejdzie ponad 94 proc. społeczeństwa.

Innym ważnym parametrem jest średni czas trwania choroby, który determinuje szerokość krzywej epidemiologicznej, czyli długość epidemii. Trzeba też pamiętać, że model SIR, choć dobrze ukazuje sedno sprawy, jest bardzo uproszczony. Realistyczne modele muszą uwzględniać jeszcze wiele innych kwestii. Zazwyczaj wyróżnia się czwartą kategorię (E) [ang. *exposed*], która bierze pod uwagę fakt, że osoby zainfekowane zaczynają zarażać dopiero po jakimś czasie – rzędu kilku dni. Kolejna sprawa to zależność parametrów od struktury demograficznej społeczeństwa (wieku, poziomu socjalizacji itp.), przestrzeni (gęstości zaludnienia, mobilności) i czasu. Ta ostatnia kwestia jest szczególnie ważna – jeśli aktywność czynnika chorobotwórczego zależy istotnie od temperatury czy wilgotności, to współczynnik zakażalności R_0 będzie oscylować w czasie. A to oznacza, że epidemia może uderzać falami. Ze względu na mnogość czynników wpływających na parametry epidemii często konstruuje się także modele stochastyczne, czyli takie, w których dynamika może podlegać losowym zmianom.

Nieznane parametry

O parametrach epidemii koronawirusa SARS-CoV-2 wiemy wciąż dojmująco mało. Szacunkowe wartości współczynnika R0 wahają się od 1.4 do 3.9, a czas aktywnego zakażania może zawierać się w przedziale między 7 a 14 dni. Wiemy, że choroba jest groźniejsza dla osób starszych, ale mamy bardzo mgliste pojęcie o tym, jak może zachowywać się w różnych okresach i klimatach. Na dodatek mamy do czynienia z pandemią, obejmującą wiele ognisk choroby na całym świecie. W związku z tym szacunki dotyczące tego, jak długo będzie trwać epidemia, ile osób zachoruje i jaka będzie śmiertelność, to wróżenie z fusów.

Zgrubny obraz przedstawiony na rysunku obok jest jednak dość przejmujący. Wynika z niego, że nawet przy jednej zakażonej osobie na milion podatnych prędzej czy później może zachorować znaczny procent społeczeństwa, i to równocześnie. W końcu jednak epidemia wygaśnie, a większość populacji zyska odporność. Prawdopodobieństwo, że zachorują ci, którzy nie zostali wcześniej zakażeni, będzie bardzo niskie, a epidemia nie będzie miała pola do rozwoju.

To ostatnie zjawisko to tzw. odporność stadna. Jest to bardzo istotny efekt w kontekście szczepień powszechnych. Wynika z niego, że uodpornienie znacznej części populacji (zwykle ok. 93-95 proc.) zapewnia ochronę także tym, którzy nie mogą być zaszczepieni z przyczyn medycznych. Najbardziej optymistyczny scenariusz prowadzi do całkowitego wykorzenienia choroby, tak jak to się stało z ospą prawdziwą (co Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła w 1980 r.). Trzeba jednak pamiętać, że niektóre choroby, takie jak grypa, powracają sezonowo ze względu na mutacje powodujących je wirusów.

Ostatnia pandemia, tzw. świńskiej grypy, trwała od stycznia 2009 do sierpnia 2010 r. Według różnych szacunków zachorowało od 11 do 21 proc. całej populacji świata (ok. miliard ludzi!), a kilkaset tysięcy zmarło – a przecież życie toczyło się wtedy normalnie. O ile jednak dla modelu nie ma znaczenia powód, dla którego dana osoba została „usunięta z populacji" (wyzdrowiała czy zmarła), o tyle dla nas jest to kluczowe.

Świńska grypa, choć niebezpieczna i potencjalnie śmiertelna jak każda choroba, była jednak stosunkowo łagodna. Poziom śmiertelności nie odbiegał znacząco od tego dla „zwykłej" grypy, która dotyka nas co roku. Wszystko wskazuje jednak na to, że koronawirus ↦

YASIN AKGUL / AFP / EAST NEWS

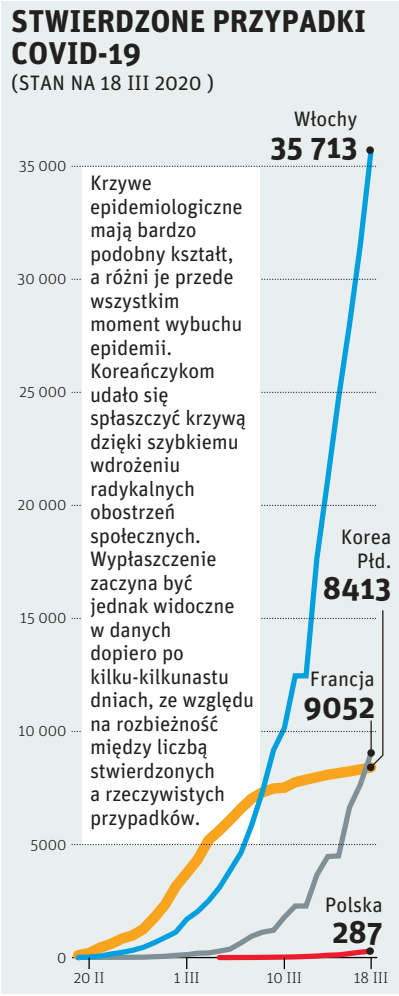

↦ SARS-CoV-2 jest bardziej zjadliwy. Bardzo wstępne szacunki wskazują na to, że ok. 20 proc. chorych wymaga hospitalizacji, w tym ok. 5 proc. intensywnej terapii. Specjaliści szacują, że poziom śmiertelności może zawierać się między 0,5 a 5 proc.

Szansa dla służby zdrowia

Modele epidemiologiczne, choć mogą przerażać swoją nieuchronnością, dają nam jednak jasne wskazówki, co należy robić. Rozumiejąc dynamikę epidemii, potrafimy przeciwdziałać eskalacji, nawet dysponując tylko fragmentaryczną wiedzą o jej parametrach. Walka toczy się o wypłaszczenie czerwonej krzywej z rys. 1. Współczynnik R_0 określa liczbę osób potencjalnie zarażonych przez jednego chorego – ale my mamy wpływ na to, ilu ludzi rzeczywiście się zarazi! Dlatego trzeba redukować szansę na zakażenie wszelkimi sposobami – m.in. przestrzeganiem ścisłej higieny i ograniczaniem bezpośrednich kontaktów z innymi ludźmi. Dzięki temu możemy rozciągnąć epidemię w czasie i sprawić, że mniej ludzi będzie chorować jednocześnie. Jak bardzo jest to istotne, pokazuje tragiczny przykład Włoch. Równoczesna hospitalizacja kilku tysięcy osób nie stanowi dużego problemu w skali kraju, ale jeśli będą ich setki tysięcy, to żadna, nawet najlepsza na świecie służba zdrowia tego nie wytrzyma.

Tutaj pojawia się jeszcze jedno bardzo istotne pytanie: na ile dane, którymi dysponujemy, odzwierciedlają rzeczywistą liczbę przypadków? Ponieważ duża część infekcji spowodowanych koronawirusem SARS-CoV-2 przebiega łagodnie lub wręcz bezobjawowo, należy podejrzewać, że początkowo rejestrujemy tylko pewien ułamek wszystkich przypadków. Dane z chińskiego Wuhan wskazują, że przesunięcie krzywej epidemicznej uzyskanej z danych względem tej rzeczywistej wynosiło ok. 12 dni. To wszystko zależy oczywiście również od tego, jak dużo osób zostanie poddanych testom na obecność koronawirusa.

Dobra wiadomość jest taka, że środki zapobiegawcze zaczynają działać natychmiast, choć na wykresach możemy to zobaczyć dopiero po kilku-kilkunastu dniach. Im wcześniej i bardziej radykalnie zaczniemy się izolować, tym większa szansa na wypłaszczenie krzywej. Nie wolno nam też rozluźniać rygoru zbyt szybko, bo epidemia może powrócić. 18 marca nie zanotowano w Wuhan ani jednego nowego przypadku zachorowania, ale mimo to miasto ma pozostać zamknięte jeszcze przynajmniej przez dwa tygodnie.

Nie wiemy, jak będzie rozwijać się pandemia, a przedstawione dane mogą być już nieaktualne w momencie, w którym czytają Państwo ten tekst. Zaprezentowane modele epidemiologiczne pokazują jednak, że drastyczne środki zapobiegawcze są bardzo wskazane. Oczywiście, równolegle trwa walka po stronie medycznej. O to, żeby leczyć skuteczniej, i o to, żeby opracować szczepionkę.

Ta ostatnia pozwoliłaby nam oszukać model SIR i przeskoczyć natychmiast z kategorii „podatnych" na „usuniętych" bez szkody dla organizmu.

© MICHAŁ ECKSTEIN

Autor jest fizykiem matematycznym, pracuje w Krajowym Centrum Informatyki Kwantowej w Gdańsku. Współpracownik Centrum Kopernika UJ.

Cel na przyszłość

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Każdą chorobę zakaźną można wyeliminować, jeśli osiągniemy tzw. odporność stadną. Niestety, to nie takie proste.

INFEKCJE SĄ JAK PLOTKI. ŻYJĄ NIE DLATEGO, że ktoś chce je podać dalej, tylko dlatego, że znajdują odbiorców. Plotka umiera, gdy zderza się ze ścianą obojętności. Zakaźna choroba – gdy nie znajduje nowych nosicieli.

Jednym ze sposobów odcięcia choroby od nosicieli – i wyeliminowania jej – jest osiągnięcie w populacji tzw. odporności stadnej. Stoi za tym bardzo prosty mechanizm. Nie trzeba osiągnąć stuprocentowej odporności w populacji na daną chorobę, żeby się jej pozbyć. Wystarczy, żeby odpowiednio duży odsetek populacji nie był podatny na zarażenie, a prawdopodobieństwo, że patogen zdoła w swoim niezbyt długim istnieniu znaleźć następnego żywiciela, spada dramatycznie. Nie może wówczas dojść do epidemii.

Próg, po przekroczeniu którego możemy uznać, że dana populacja jest zabezpieczona przed chorobą, zależy od konkretnego patogenu i zmienia się w zależności od tego, jak skutecznie dany czynnik chorobotwórczy potrafi przeskakiwać z człowieka na człowieka. W przypadku odry próg bezpieczeństwa wynosi aż 95 proc. uodpornionej populacji, krztuśćca – 92-94 proc., a mniej agresywnej świnki już tylko 75-86 proc.

O ODPORNOŚCI mogą decydować trzy czynniki: uwarunkowania genetyczne, uprzedni kontakt z chorobą czy – co powinno być oczywiste w XXI wieku – szczepienia. To właśnie dzięki masowym szczepieniom odporność populacji wzrosła tak gwałtownie, że choroby

takie jak polio czy czarna ospa w ciągu kilku pokoleń nie były w stanie znaleźć żadnego (w przypadku ospy) bądź niemal żadnego (w przypadku polio) żywiciela, i zostały w zasadzie wyeliminowane. Wedle analiz *stricte* matematycznych mogłoby się więc wydawać, że dzięki efektowi stada można wyeliminować każdą chorobę przenoszoną z człowieka na człowieka w ciągu jednego pokolenia.

Ale tego efektu nie da się osiągnąć tak szybko. W rzeczywistości ludzka odporność rzadko jest zerojedynkowa (a szczepionki w stu procentach skuteczne). Populacje nie są w równomiernym stopniu podatne na choroby, a i nie wszyscy są równie skorzy do poddawania się szczepieniom dla wspólnego dobra. Nawet bez narastających i niezmiernie szkodliwych ruchów antyszczepionkowych zawsze zdarzali się ludzie, którzy z różnych powodów nie poddawali się szczepieniom, pozostając potencjalnymi chorymi i nosicielami.

Czasami dlatego, że ich system odpornościowy nie pozwalał na szczepienie. Czasami przez „efekt pasażera na gapę" – kiedy wszyscy dookoła są zaszczepieni, koszty szczepienia ponoszone przez jednostkę (efekty uboczne, pieniądze, czas) mogą być postrzegane jako przekraczające korzyści odnoszone z zaszczepienia: w końcu skoro wszyscy wokół mnie są odporni, ja prawdopodobnie nie będę miał się od kogo zarazić. Ta logika działa, dopóki dotyczy jednostek. Kiedy z jakiegoś powodu – np. na skutek działania ruchu podważającego bezpieczeństwo szczepionek – liczba pasażerów na gapę gwałtownie rośnie, efekt stada przestaje działać. I wracają dawno zapomniane choroby, jak odra, która, bliska już wyeliminowania, w 2019 r. gwałtownie zaatakowała wysoko rozwinięte kraje Unii Europejskiej i Ameryki Północnej.

DOSKONAŁYM PRZYKŁADEM na to, jak odporność stada działa w praktyce i jak łatwo ją znów utracić, jest wścieklizna. W Europie domowe zwierzęta są szczepione rutynowo, ale w Afryce choroba nadal zabija około 60 tys. ludzi rocznie. W latach 2012-13 prof. Jakob Zinsstag z Uniwersytetu Basel prowadził w ramach testu kampanię szczepienia psów w Ndżamenie, stolicy Czadu. Gonienie za każdym bezpańskim kundlem byłoby czystą donkiszoterią. Zamiast tego lekarze wykorzystali efekt stada. Okazało się, że zaszczepienie 71 proc. psów w mieście zredukowało liczbę przypadków choroby u psów o 95, a u ludzi o 99,8 proc. Niestety, choroba w kolejnych latach wróciła, sprowadzona przez zwierzęta migrujące z okolicznych obszarów. Co pokazuje, że odporność stada jest zjawiskiem dynamicznym i musi być rozpatrywana globalnie.

W przypadku obecnej pandemii koronawirusa większość państw próbuje grać na czas: ograniczanie kontaktów między ludźmi ma doprowadzić do spowolnienia bądź zatrzymania epidemii w oczekiwaniu na wprowadzenie szczepionek. Odporność stadną można by w teorii uzyskać, pozwalając zachorować każdemu człowiekowi na świecie albo wyłącznie pewnym grupom społecznym (np. najmniej narażonej na skutki choroby młodzieży, jednocześnie pozostawiając osoby starsze w kwarantannie), jednak wiązałoby się to ze zbyt dużym ryzykiem. ©

REKLAMA

POSŁUCHAJCIE MNIE W DOMU

HANIA RANI, PIANISTKA I KOMPOZYTORKA:

Nie umiemy wracać do początku, proste rzeczy wydają się trudne do zdobycia. Ale pytam siebie: kiedy byłam ostatni raz w ciszy? Ostatni raz sama? A w ciemności?

MONIKA ORPIK

MARCIN ŻYŁA: Zostajesz u siebie?

HANIA RANI: Tak. Moje mieszkanie w Warszawie to również niewielkie studio nagrań. W jednym pokoju trzymam sprzęt i instrumenty, w drugim śpię. Można powiedzieć, że muzycy na co dzień żyją trochę w izolacji, oprócz momentów kiedy koncertują. Może łatwiej będzie mi się przyzwyczaić do zamknięcia niż znajomym, którzy wychodzą do pracy.

Zamierzasz pracować?

Jest co robić z nagraniami. Ale areszt domowy, który nas zastał, to nie czas, aby tylko produkować nowe treści. Możemy go wykorzystać na sprawy, na które w normalnym pędzie nie ma miejsca. Zastanowić się, w co wierzymy, jak się mamy ze sobą.

A na starcie epidemii w co Ty wierzysz?

Czuję, że jestem pełna pytań. Również tych artystycznych. Myślę, że po tym, co się wydarzy, ludzie będą inaczej słuchać muzyki. Inna muzyka będzie powstawać.

Wtedy, w maju, wyjdzie Twoja druga solowa płyta. Dołączysz do niej tekst Brunona Schulza. Trochę o tym, jak wychodzić z domu, równocześnie w nim zostając.

„Samotność" to tekst o symbolicznej podróży, o tym, że nie ma muru, którego nie zburzyłaby wyobraźnia, i że każdy ma możliwość kreślenia szkiców, konturów swojego domu, niezależnie od tego, gdzie jest. Dziś można go odczytywać jako tekst o przetrwaniu w kwarantannie. Ale i szerzej – o wykraczaniu poza nurty i schematy.

Schulzem fascynuję się od dawna. Dwanaście lat temu był moim tematem maturalnym. Ciekawi mnie, że człowiek, który niemal nie wyjeżdżał z rodzinnego miasta, był w stanie stworzyć nowy świat, nowy język i nowe uczucia.

Od razu zapytam o Witolda Lutosławskiego. Jego esej o ciszy otwiera „Esję", Twój solowy debiut.

Mówi o tym, że muzyki i różnych dźwiękowych przeszkadzaczy mamy w świecie za dużo. Sama sobie chciałam przypomnieć: uważaj na to, co robisz, to nie jest tak, że możemy tej muzyki produkować, ile chcemy. Wiadomo, że wszystko wychodzi z ciszy i do ciszy powraca. Ale czasem cisza jest po prostu lepszą odpowiedzią.

Wielu mówi, że „Esja" to smutna płyta.

Ludzie tak mówią o całej muzyce akustycznej. Jeśli żyjesz z nią wiele lat, zaczynasz zauważać jej barwę i harmonię. Równie dobrze można by powiedzieć, że techno jest smutne.

Jak to?

W muzyce mamy dwie tonacje. Molową, czyli „smutną", i durową, „wesołą". Gdyby prześledzić moje utwory pod względem harmonicznym, okazałoby się, że może nie wszystkie są wesołe, ale na pewno jest zachowany balans i jest sporo treści pozytywnych. Utwory techno są często zbudowane na tonacjach molowych. Dopiero aranżacja, bit, dodana stopa sprawiają, że zaczynamy się ruszać i generalnie jest nam lepiej. Porywa nas ułożenie harmonii w jakimś kontekście, choćby kontekście rytmu. Bez tego wszystkiego techno to muzyka melancholijna.

Nie walczę jednak z tym, że słuchacze „Esji" mówią o smutku i melancholii. To bliskie mi uczucia, ale nie jedyne. Moja muzyka inaczej wybrzmiewa na żywo – mówią wtedy, że jest energetyczna, że słychać w niej więcej dźwięków. Chciałam, żeby płyta brzmiała miękko, spokojnie, z oddechem.

A co z hałasami pianina?

Włożyłam do środka mikrofony, żeby było słychać odgłosy ruchu mechanizmu. To rzecz właściwie zakazana w fonografii muzyki klasycznej. Fonografii, która dla mnie jakby zatrzymała się w rozwoju. Jest jeden wzór nagrywania i w efekcie prawie wszystkie utwory brzmią podobnie. A mnie ciekawi, że da się nagrywać inaczej, uzyskiwać z instrumentu nowe efekty.

Pierwszą zmianą, dla mnie niejako rebeliancką, było przejście z fortepianu na pianino właśnie. Na koncertach otwieram to pianino tak, aby było widać cały mechanizm. Jego budowa, ze strunami położonymi pionowo, umożliwia bliskie dojście z mikrofonami i do strun, i do młoteczków. Z czułym mikrofonem słyszymy ruch, mechanizm pianina. Jak ono musi się bardzo napracować, napocić, żeby zagrać szybszą melodię. ↦

↦ Wiesz, jak się zaczęła przygoda Johna Cage'a z jego preparowanym fortepianem?

Jak?

Cage również grał na perkusji. Dorabiał, akompaniując tancerzom. Kiedyś przyszedł na zajęcia do nowej szkoły, patrzy, stoi tylko pianino, nie ma perkusji. Więc co zrobił? Powkładał między struny różne przedmioty: gumkę, nożyczki, filc – i okazało się, że pianino brzmi jak instrument perkusyjny. Pianino było łatwo dostępne, tanie, dawało dużo możliwości dźwiękowych. Dlatego potem zainteresowali się nim sonoryści i minimaliści. Teraz mamy *boom* na tzw. *modern classic*, czyli muzykę, która czerpie z klasyki i minimalizmu, korzystając z nowoczesnych rozwiązań brzmieniowych, często z elektroniki. Ale to się zaczęło dużo wcześniej, m.in. właśnie od Johna Cage'a.

A potem był jeszcze koncert kolo-ński Keitha Jarretta, też wykonany na niedoskonałym, częściowo rozstrojonym fortepianie.

Tak! Ten koncert miał się nie odbyć, Jarrett powiedział już przecież, że nie zagra.

Wyszła najlepiej sprzedająca się płyta piano solo w historii muzyki. Przeżycie z Twojej płyty jest kameralne, ale ma też coś z koncertu.

Taki koncert domowy, prawda? Chciałam, żeby „Esja" brzmiała tak, jakby ktoś siedział w pokoju obok i grał. Niedawno zastanawiałam się, co takiego jest w koncertach, że wciąż cieszą się taką popularnością. Nagrania są zwykle o wiele wyższej jakości, a jednak nadal chodzimy na koncerty.

Jak myślisz, dlaczego?

Bo wtedy spędzamy czas z kimś, kto w stu procentach jest dla nas. Na scenie nie mam przy sobie telefonu, nie myślę o niczym prócz tego, żeby wykonać muzykę najlepiej, dla ludzi, których nie znam, ale którzy są równocześnie bardzo konkretni, obecni. Nawet jeżeli ktoś wyciąga telefon i robi zdjęcie, to jednak jest – tutaj, teraz. Przyszedł po to, żeby kogoś zobaczyć, nie tylko usłyszeć.

Od trzech lat z przyjaciółmi organizujemy w Bieszczadach niewielki festiwal Tchnienia. Można powiedzieć, że sprzedajemy ludziom wolny czas. Albo trochę ciszy. To, że pobędą w gronie stu osób i się poznają. Jest trochę smutne, że dziś trzeba to kupować, a przynajmniej rezerwować specjalnie czas i miejsce.

Może to jest tak, że dziś w ogóle brakuje nam skupienia?

Ja sobie to dopiero niedawno nazwałam: fascynuje mnie budowanie atmosfery. Atmosfera łączy ze sobą wiele elementów, czasem drobiazgów, które sprawiają, że na koniec ma się poczucie przeżycia czegoś niezwykłego lub po prostu obecności. Światosław Richter grał na scenie niemal w ciemnościach, tylko z lampką nocną – inaczej go wszystko denerwowało. Marina Abramović celowo opóźniała występ, wielu ludzi było tym poirytowanych, ale ona miała swój cel. Dlaczego w ciemności inaczej odczuwamy muzykę? Co się stanie, gdy wyjdę na scenę w stroju takim jak Björk – którą zresztą uwielbiam, ona jest właśnie mistrzynią budowania atmosfery. A co, gdy będę w T-shircie i dżinsach?

Myślę, że w życiu mamy dziś tak dużo, że nie umiemy wracać do początku, proste rzeczy wydają się trudne do zdobycia. Więc te pytania wykraczają poza scenę. Kiedy byłam ostatni raz w ciszy? Ostatni raz sama? W ciemności? Kiedy byłam sama w pustej przestrzeni?

Dlatego Islandia to jedno z Twoich ulubionych miejsc?

W Islandii chodzi o przestrzeń. Mama mojej przyjaciółki, u której zazwyczaj się tam zatrzymuję, twierdzi, że ludzie, którzy mają dostęp do wielkiego horyzontu, do dużych przestrzeni, myślą trochę inaczej. Ja na pewno tak mam. Pochodzę z Gdańska. Gdy idę nad morze, gdy czuję ten horyzont i przestrzeń, moja głowa ma szansę wyjść poza kwadrat.

Poza tym Islandczycy to ewenement jako naród. Procent ludzi, którzy robią niesamowite rzeczy, jest tam zachwycający i zastanawiający równocześnie. Człowiek, z którym nagrywałam ostatnią płytę, Bergur Þórisson, jest 27-letnim reżyserem dźwięku i od siedmiu lat pracuje z Björk. Wcześniej, gdy miał 16 lat, skonstruował mikrofon. Geniusz. Ale na Islandii takich ludzi jest wielu.

Takie przestrzenie i tacy ludzie przynoszą Ci ulgę, odpoczynek?

Bardziej radość niż ulgę. Ale tak, zawsze miałam w sobie potrzebę wyautowania się. Nie od ludzi, tylko od głównego nurtu. Przypomina się odpowiedź Tyma, kiedy go zapytano: „Panie Stanisławie, jak trzeba żyć?". A on odpowiedział: „W poprzek".

Przecież kiedyś chciałaś być jak Rafał Blechacz, zazdrościłaś mu. Miałaś siedem lat i myślałaś, że wszystkie dzieci, tak jak Ty, idą do szkoły muzycznej.

Blechacz był moim wielkim idolem. Myślę, że muzyka poważna to bardzo trudny fach, wymagający wielu wyrzeczeń i dający szansę wybić się tylko garstce wybrańców, a cena, jaką trzeba za to zapłacić, jest wysoka. Udaje się nielicznym, a często nie decyduje o tym sam talent, a to, czy wpisujemy się w profil wytwórni. Muzyka poważna wymaga niezwykłej cierpliwości, a mnie zawsze było spieszno do tworzenia nowych rzeczy.

Wiesz, wierzę trochę w przepływ energii i przyciąganie rzeczy, które są nam pisane. Jeżeli się na nie odpowiednio otworzymy i wystarczająco często będziemy mówić „tak" pewnym propozycjom. W końcu każdy dowie się, czy dana rzecz dodaje mu skrzydeł, czy mu je podcina. Jeżeli ma energię, która nie pozwala spać, przyciąga, to trudno się od tego uwolnić.

I może ja się tym sytuacjom poddawałam. Przechodziłam od jednej propozycji do drugiej, i mimo pozostawania w muzyce klasycznej – którą kocham, poświęciłam jej 20 lat życia – ciągnęło mnie gdzie indziej niż Blechacza. Nie biłam się za to po ręce. Uznałam, że mogę być inaczej użyteczna dla innych.

Aleksandra Potoczek, reżyserka dokumentu o ks. Adamie Bonieckim, poprosiła Cię o napisanie muzyki. Gdy zobaczyłaś film, powiedziałaś jej, że nie ma sensu robić rzeczy nieważnych, i się zgodziłaś.

Tak, tym bardziej teraz nie warto robić rzeczy nieważnych. Życie jest kruche. Nie umiem przyjmować nieważnych treści, szkoda na nie czasu! Cieszę się, że przyciągam ludzi, którzy myślą podobnie jak ja.

Porozmawiajmy jeszcze o tym. Jak, przy akademickim wykształceniu muzycznym, zachowałaś luz, swoją drogę? „Radosna" – mnie się ten przymiotnik z Tobą kojarzy.

Zaczęło się wcześniej, w domu. Moi rodzice nie zajmują się muzyką, ale ona zawsze była dla nas bardzo ważna. Słuchało się jej, i nadal słucha, nałogowo.

Chodziło na koncerty, rozmawiało o niej. Mama gra na skrzypcach, tata w zasadzie na wszystkim, śpiewają nie tylko podczas urodzin czy Bożego Narodzenia. Wraca do mnie takie wspomnienie: jedziemy samochodem z tatą, do przedszkola albo do szkoły, on na zmianę słucha w samochodzie dwóch kaset – „Muzyki ogni sztucznych" Händla i Pink Floyd. Dla mnie to było naturalne. No przecież!

W takich warunkach szkoła muzyczna było oczywistym wyborem, ale forma edukacji, pomimo tego że miałam dużo fajnych sytuacji, wygranych konkursów, wyjazdów, trochę mnie uwierała, czegoś mi tam brakowało. Może tego, co zostało mi zaszczepione w domu – tej naturalności śpiewania czy grania gdziekolwiek, mieszania Händla z Floydami.

Nie zniszczyła Cię szkoła muzyczna?

Miałam szczęście do genialnych nauczycieli. Od 7. do 19. roku życia uczyła mnie pani Ewa Szurek. Wpoiła miłość do pięknego dźwięku i brzmienia. Nie do sukcesów, perfekcji czy przekonania, że celem mojej edukacji jest umiejętność zagrania 12 etiud Chopina.

W Sopocie chodziliśmy na *jam session* do klubu Papryka, często wpadali tam Leszek Możdżer i Sławek Jaskułke. Nawet Konkurs Chopinowski to nie było oglądanie arcytrudnej rywalizacji, tylko wspólna, wielka radość z tego, że wielu pianistów potrafi tak pięknie zagrać. Potem, na studiach w Warszawie, weszłam w środowisko zafascynowane filmem, teatrem, literaturą czy muzyką popularną. Na imprezach słuchaliśmy Vampire Weekend i czytaliśmy antologie polskiej poezji.

Całe życie w nowe miejsca prowadzą Cię ludzie. Z Dobrawą Czocher wydałyście „Białą flagę", płytę z aranżacjami piosenek Grzegorza Ciechowskiego. Z Joanną Longić grałaś jako Tęskno. Do Bergura Þórissona trafiłaś przez przyjaciółkę ze studiów w Berlinie, Islandkę. W końcu dotarłaś w Bieszczady, na Tchnienia.

Studiowałam wtedy w Berlinie. Podjęłam już decyzję, że biorę urlop i zaczynam w domu nagrywać swoją muzykę. Byłam już po „Białej fladze", na ramionach siedziały mi dwie postacie. Jedna mówiła: „Rób to, co do tej pory", druga: „Twórz swoje".

Fascynuje mnie budowanie atmosfery. Ona łączy ze sobą drobiazgi, które sprawiają, że na koniec ma się poczucie przeżycia czegoś niezwykłego lub po prostu obecności.

Bieszczady wydarzyły się przez przypadek. Na zaproszenie architekta Łukasza Pałczyńskiego trafiłam do Baligrodu, gdzie grupa młodszych nawet ode mnie ludzi robiła za własne pieniądze coś niesamowicie pięknego. Łukasz urządził wernisaż przestrzennej instalacji w starej cerkwi, następnie koncert i kolację w lesie nad potokiem. I właśnie chęć zrobienia czegoś wychodzącego ponad naszą normalną sferę działalności tak mnie zafascynowała.

Zainspirowani tymi wydarzeniami, razem ze znajomymi, których wtedy spotkałam, postanowiliśmy kontynuować spotkania i stworzyć własny festiwal. Tchnienia działają na styku wielu sztuk: muzyki, filmu, literatury, sztuk wizualnych. Budują rzeczy od zera.

I tak wygrała postać podpowiadająca, że to kreacja ma dla Ciebie większą siłę?

Myślę, że dotyczy to nie tylko tworzenia muzyki. Dopóki nie spróbujesz, nie wiesz. Zanim nie napiszę tekstu, nie zrobię naczynia z gliny, czegokolwiek – skąd mam wiedzieć, czy rzeczywiście tego nie umiem?

Tylko że motywacja pozytywna to rzecz szalenie krucha. Łatwo może się zawalić.

Gdy wyszła „Esja", przez jakieś pół roku nie sprawdzałam komentarzy i liczby wyświetleń na YouTubie. Tak się bałam. Wolałam nie wiedzieć. Ja po prostu zamykam drzwi, o których wiem, że będą mnie stresować.

Tak jest łatwiej, tym bardziej że zawsze jest coś do zrobienia. Chciałam pracować w muzyce, a musiałam jakoś zarabiać, więc imałam się różnych rzeczy. Aranżowałam, uczyłam muzyki dzieci i dorosłych, pisałam fortepianówki do ZAiKS-u. Pracy jest tyle, że te porażki, albo niepochlebne komentarze – a zdarzają się też takie odnoszące się do *stricte* wykonawczych rzeczy – dotykają mnie tylko na chwilę.

Jak się pisało muzykę do filmu o Adamie Bonieckim?

Sposób pokazania księdza Bonieckiego w filmie Oli Potoczek przypomina mi przyjaciela mojego i mojej rodziny, który też jest starszym człowiekiem, ma dziś 84 lata. To Stanisław Fiszer, który kiedyś wyjechał do Paryża i stał się tam bardzo poważanym architektem. Znał wszystkich. Rozmowy z nim są dla mnie ocieraniem się o świat znany z książek. Bardzo wpłynął na mój sposób patrzenia.

Właśnie z domu wyniosłam to, że czuję wartość w przebywaniu i rozmowie z ludźmi starszymi. Chodzi przede wszystkim o naukę płynącą z ich doświadczenia i mądrości. Z tej starości, która jest syntezą młodzieńczych popędów, pomysłów, z tym, co potem widzi się z dystansu. No i ja to bardzo lubię, bo to jest coś, czego nie da się w sobie wyrobić. Trzeba do tego wieku dojść. Trzeba to przeżyć.

Film Oli bardzo mnie dotknął, bo wydaje mi się, że mówi o człowieku samotnym, mądrym i starszym. Jest magnesem, którym przyciąga innych ludzi, ale równocześnie musi się też borykać z własnym życiem. I problemami fizycznymi. Zgodziłam się na napisanie muzyki pewnie też dlatego, że ten film po prostu nie ocenia. Czule obserwuje codzienność bohatera, wskazuje, nie komentuje.

No i pokazuje wartość przysiadania się do drugiego człowieka. Zagajania rozmowy.

Sama tego czasem doświadczam. Po występie w Kolonii podeszła do mnie pani, która powiedziała, że ma od roku wykrytego raka, ale dzisiaj, podczas koncertu, pierwszy raz o nim zapomniała. I co miałam jej odpowiedzieć? Przytuliłam ją. Nie było jeszcze koronawirusa, nikt się nie przejmował.

Ksiądz Boniecki ma pewnie więcej mądrości i wiedzy niż ja. Ale on też nie zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Jednak podchodzą do niego ludzie. Nawet nie zawsze czekają na odpowiedź, ona jest nieważna. Najbardziej oczyszczającym momentem jest samo zapytanie. ↦

↦ **Masz swoje jedno, specjalne miejsce spotkania?**
Miejsce? Jeszcze nie.

Będzie?
O tym jest kolejna płyta. Że choć mamy potrzebę posiadania tego jednego miejsca, z jego braku może ono być gdzieś pomiędzy. To może być „dom" zbudowany z rytuałów. Albo osób, z którymi stykamy się na co dzień. Dom zbudowany na wyimaginowanych fundamentach wcale nie musi się zawalić nazajutrz. Może trwać wiecznie i dawać nam schronienie niezależnie od miejsca i okoliczności.

Myślę, że dla mnie domem jest muzyka. Ja jej bardzo dużo – tak jak ludzie księdzu Bonieckiemu – oddaję. A ona to wdzięcznie przyjmuje, bez słowa zająknięcia. To mój stały punkt w życiu. Bezpieczny. Trochę jak w tej „Samotności", opowiadaniu Schulza z „Sanatorium pod Klepsydrą". Posłuchaj:

„Siedzę i słucham ciszy. Pokój jest po prostu wybielony wapnem. Czasem na białym suficie wystrzeli kurza łapka pęknięcia, czasem płatek tynku obsuwa się z szelestem. Czy mam zdradzić, że pokój mój jest zamurowany? Jakżeż to? Zamurowany? W jakiż sposób mógłbym zeń wyjść? Otóż to właśnie: dla dobrej woli nie ma zapory, intensywnej chęci nic się nie oprze. Muszę sobie tylko wyobrazić drzwi, dobre stare drzwi, jak w kuchni mego dzieciństwa, z żelazną klamką i ryglem. Nie ma pokoju tak zamurowanego, żeby się na takie drzwi zaufane nie otwierał, jeśli tylko starczy sił, by mu je zainsynuować".

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

HANIA RANI *(ur. 1990) jest pianistką, kompozytorką i wokalistką. Nagrywała i występowała m.in. z Dobrawą Czocher („Biała flaga", 2015) i Joanną Longić – jako duet Tęskno („Mi", 2018). Współpracuje z Otwartą Pracownią na osiedlu Jazdów w Warszawie, współtworzy festiwal Tchnienia. Jej debiutancki solowy album „Esja", wydany przez brytyjską wytwórnię Gondwana Records, otrzymał w styczniu pięć nominacji do Fryderyków, m.in. w kategoriach „najlepszy debiut" i „najlepszy kompozytor". Przyniósł jej też nominację do Paszportów „Polityki" i tytuł „Odkrycia roku" Bestsellerów Empiku. Kolejny album, „Home", ukaże się 15 maja.*

Wina niczyja

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Po dwudziestu latach od „Sąsiadów" Jana Tomasza Grossa dorobiliśmy się sporej biblioteki dzieł o polskich postawach wobec Zagłady. Ostatnie książki z tej kolekcji dowodzą jednak, że moralna refleksja wielu z nas wciąż tkwi w punkcie wyjścia.

Ile jeszcze można? – to pytanie krąży jak widmo nad debatą o ciemnych kartach polsko-żydowskiej przeszłości. Jedni zadają je z goryczą nauczyciela niepogodzonego z pedagogiczną porażką: „Ile jeszcze można mówić o polskiej winie wobec Żydów, żeby przekłuć balon niewiedzy?". Drudzy pytają oburzeni, a czasem głęboko zranieni: „Ile jeszcze można pisać o polskim antysemityzmie i współudziale w Holokauście? Wszak to Polacy byli ofiarą wojny". Inni myślą z letnią irytacją i zwyczajnym znużeniem: „Ile jeszcze można dyskutować o uwikłaniu w Zagładę? To nie przeszłość, tylko przyszłość woła o działanie".

A jednak jeszcze można, a nawet trzeba. Na spotkaniu z okazji dwudziestolecia publikacji „Sąsiadów", zorganizowanym przez Stowarzyszenie Otwarta Rzeczpospolita, Jan Tomasz Gross wychwalał „znakomite otwarcie intelektualne" badaczy i dziennikarzy na temat Zagłady w Polsce. A mimo to był bezradny wobec zasadniczego, jego zdaniem, problemu społecznej ignorancji, blokującej „pełne rozpoznanie polskiej tożsamości".

Książki, które w ostatnim czasie trafiły do księgarń, podnoszą ten problem. Paweł Piotr Reszka, Mirosław Tryczyk i Bożena Keff, dorzucając różne kamyczki do polskiego ogródka, nie wprowadzają debaty o przeszłości na całkiem nowe tory, ale trudno przejść obok ich prac obojętnie. W konwencji dochodzenia szukają nie tylko prawdy historycznej i moralnej, lecz przede wszystkim denuncjują strukturę uczuć, która kiedyś doprowadziła do hańbiących czynów i hańbi po dziś dzień tych, którzy nie odrobili lekcji pokory.

Martwemu to nie grzech

Płuczka jest dołem z wodą, w którym płukano wydobyte z ziemi ludzkie kości w poszukiwaniu tego, co miało doczesną wartość. W Bełżcu używano do przesiewania kości także raf, prostokątnych sit. Z rafą i łopatą szło się „na żydki" albo „na Icki". Język do dziś zdradza więcej, niż chcieliby o tej „gorączce złota" mówić jej uczestnicy i świadkowie.

O kopaczach żydowskiego złota pisali Jan Tomasz Gross i Irena Grudzińska-Gross w „Złotych żniwach". Pokazali wtedy fotografię, która miała przedstawiać ludzi zatrzymanych przy przeszukiwaniu dawnego obozu zagłady w Treblince. Tezę tę podważali na łamach „Rzeczpospolitej" Michał Majewski i Pa-

KRZYSZTOF KAROLCZYK / AGENCJA GAZETA

Spotkanie z Janem Tomaszem Grossem w auli Auditorium Maximum UJ, 2008 r. Na scenie od lewej: Henryk Woźniakowski, Marek Edelman, Jan Tomasz Gross, Joanna Tokarska-Bakir, Jakub Petelewicz, Andrzej Chwalba i Adam Michnik.

weł Reszka, twierdząc, że zdjęcie ukazuje osoby porządkujące obóz karny Treblinka I, a nie Treblinkę II, gdzie ginęli Żydzi. Paweł Piotr Reszka (inny dziennikarz niż noszący to samo nazwisko polemista Grossów!) znalazł w archiwach IPN w Gdańsku dowody, że to Grossowie mieli rację, a na fotografii, jak głosi podpis na zdjęciu z tego samego cyklu, znajdują się „rozkopywacze grobów Treblinki zebrani przed szczątkami ofiar w dniu obławy". Ale nie im poświęca swój reportaż.

Jego „Płuczki" są niesentymentalną podróżą po wsiach i miasteczkach położonych w sąsiedztwie obozów zagłady w Bełżcu i Sobiborze, gdzie w latach 1942-43 Żydzi ginęli od spalin w stacjonarnych komorach gazowych. Zaraz po wojnie zaczęło się zbiorowe przekopywanie tych terenów. Ludzie mówili, że znalezione tam złoto „śmierdzi", że jest „niedorobne" i przynosi nieszczęścia na całe wsie. Mimo zabobonu „chodził, kto tylko mógł", wspomina Edmund W. z Brzezin, które od Bełżca dzielą cztery kilometry. Na Kozielsko (jak mówiono o obszarze dawnego obozu) ruszały rodziny, znajomi, czasem dzieci. W spółce łatwiej było coś znaleźć. A to kolczyk, a to złotą koronkę, rublówki, rzadziej dolary. Banknoty znajdowało się przy niespalonych ciałach, w których „rąbali" najwytrwalsi poszukiwacze bogactw. W hierarchii kopaczy stali jednak najniżej. Chrześcijanin wszak nie bezcześci ciała. Za to kości i popiół traktowano jak coś już nieludzkiego, materię bez właściciela i bez czci. W niedzielę nie kopano.

Lokalni księża wiedzieli o procederze, ale gromkiej nagany z ich strony zabrakło. Nie było moralnego zakazu i nawet dziś ludziom trudno w tych działaniach dostrzec coś złego. „Jak one [Żydzi] już były martwe, a tu bida była, to nie jest grzech" – przekonuje jedna z rozmówczyń Reszki. Maria ze Żłobka koło Sobiboru dodaje: „Miało to wszystko w ziemi leżeć? Lepiej chyba było znaleźć i parę złotych mieć".

Bożena Keff, pisarka i literaturoznawczyni, pisze, że o doczesnym i pośmiertnym losie Żydów w Polsce przesądziło społeczne fatum. To nie tylko bierność wobec „bezpowrotnie skazanych" sąsiadów, ale także pilnowanie, by ich los się dopełnił. Dlatego Keff zatytułowała najnowszy zbiór esejów „Strażnicy fatum". Ilustracji tej postawy dostarcza jej literatura pierwszych powojennych dekad, szczególnie powieść Kazimierza Brandysa „Samson" i opowiadanie Zofii Nałkowskiej „Przy torze kolejowym" z tomu „Medaliony".

U Brandysa zatrzymuje się przy kulminacyjnej scenie, gdy Jakub Gold wychodzi z kryjówki na ulice Warszawy. Żaden Niemiec go nie ściga, ale podążają za nim warszawiacy, którzy nieuchronnie zwrócą tym zbiegowiskiem uwagę żandarmów. „Przy torze kolejowym" to dla Keff opowieść o tym, co mogłoby się stać, gdyby gorliwi strażnicy żydowskiego losu zachowali się w sposób ludzki. Wspomina, że jako uczennica łatwo ulegała „fałszywej transcendencji". Dzieliła powszechne do dziś przekonanie, że pomoc Żydom była niemożliwa z uwagi na wszechobecność nadludzi, czyli Niemców, i bezradność osób poczciwych, czyli Polaków. Po latach widzi w tym przekonaniu ułomną racjonalizację tego, co nazywa anempatyzmem wobec Żydów jako ludzi.

Także Reszka nie stawia wszystkiego na kartę „przyrodzonego" polskiego antysemityzmu. „Ktoś, kto kopał w dole, wyrzucił ziemię do góry i to coś upadło obok mamy. Mama to porwała i uciekła. A pan by nie wziął?" – pyta Edmund W. reportera. To „coś" to złote zęby zagazowanego Żyda. Wytłumaczenia, które podają rozmówcy Reszki, są trzy. Pierwsze, to wzięcie w nawias polskiej woli działania oraz przerzucenie odpowiedzialności moralnej na Niemców. Wiedziano, co Niemcy robili w Bełżcu i Sobiborze. I to oni mieli tak zohydzić Żydów, że nawet po wojnie ludzkie prawa nie objęły na nowo tej grupy. Jest to zresztą trop trafny.

W przypadku kopaczy i ich bliskich można dostrzec, opisywaną w kontekście niemieckim przez Alexandra i Margarete Mitscherlichów, „niezdolność do żałoby" po Żydach jako równych sobie i skłonność do widzenia w samych sobie głównej ofiary wojny. ↦

Drugie wyjaśnienie dotyczy procesów zbiorowych. Kopanie było powszechne i jawne, a skoro wszyscy chodzili „na żydki", rozmywa się odpowiedzialność. Trzecie wyjaśnienie jest kluczowe i odnosi się do dojmującej powojennej biedy na prowincji. Jeśli tak, to co się z tym złotem robiło? Faktycznie były rodziny, które kupiły krowę i ich życie stawało się znośniejsze. Jednak w wielu przypadkach bieda była uczuciem względnym. Chłopak przetopił złoto na obrączki ślubne, siostra wychodziła za mąż i trzeba było nową szafę obstalować, dziewczyna miała paradne kolczyki do kościoła, a za koronkę kupiła cukierki.

Dziedzice zbrodni

Po lekturze „Płuczek" można dywagować o meandrach powojennej moralności, ale „Drzazgę" Mirosława Tryczyka albo się odrzuca, albo przeżywa. „Autor odkurzył rodzinne albumy. Odkrył tajemnicę. By dotrzeć do prawdy, zszedł do piekieł" – zapowiada na okładce Marcin Kącki, redaktor książki, który towarzyszył Tryczykowi w kilku przystankach podróży-misji.

Jego kolejna, po „Miastach śmierci", praca o Zagładzie na prowincji nie jest jednak thrillerem, choć dialogów jak z „Demona" Marcina Wrony czy „Pokłosia" Władysława Pasikowskiego tu nie brakuje. To próba terapii, której poddawani są ci, których ojciec, wuj, dziadek brali udział w pogromach żydowskich sąsiadów, a ciotki, babki i prababki dobrze wiedziały, kto co zrobił i kto leży w płytkim grobie pod lasem.

Tryczyk dokonuje tej terapii w trzech aktach. Najpierw diagnozuje systemowe wyparcie – ze szkół, muzeów i przestrzeni publicznej – wiedzy o niegdysiejszym istnieniu i unicestwieniu żydowskiej społeczności w danej wsi. Potem odsłania kulisy lokalnych zbrodni. Wraca do omawianych już w wielu publikacjach pogromów w Wąsoszu, Radziłowie, Jedwabnem, Trzciannem i Szczuczynie. Nie interesuje go skala mordu, ale tożsamość społeczna i motywacja sprawców. Wreszcie konfrontuje ze świadectwami zła potomków i krewnych zabójców. Sprawdza, co z tą wiedzą zrobią i co ona zrobi z nimi. Jest przekonujący w tym ryzykownym geście, gdyż sam przedstawia się jako wnuk człowieka, który miał żydowską krew na rękach, i jako syn mężczyzny, który odziedziczył po ojcu antysemickie poglądy.

GRAŻYNA MAKARA

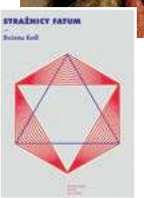

Bożena Keff
STRAŻNICY FATUM
Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2020

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA GAZETA

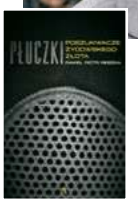

Paweł Piotr Reszka
PŁUCZKI. POSZUKIWACZE ŻYDOWSKIEGO ZŁOTA
Agora, Warszawa 2019

ŁUKASZ GIZA / AGENCJA GAZETA

Mirosław Tryczyk
DRZAZGA. KŁAMSTWA SILNIEJSZE NIŻ ŚMIERĆ
Znak, Kraków 2020

Historia dziadka to klamra tej terapii oparta na niedomówieniach, ale wina przodka zostaje wypowiedziana. „Była Żydówka, nie ma Żydówki" – można by powołać się na tytuł krótkiej powieści Mariana Pankowskiego. Dziadek Grzegorz ukrywał w Wólce Dobryńskiej kobietę, potem ona nagle zniknęła. Dwóch innych Żydów prawdopodobnie wydał w ręce Niemców, a ich ziemia trafiła do niego. Przed śmiercią dał wnukowi woreczek starych monet na dobrą przyszłość. A wnuk stał się jednym z rachmistrzów polsko-żydowskiej przeszłości.

Tryczyk idzie do Jana Skrodzkiego, którego ojciec, krawiec z Radziłowa, zatłukł 15-letnią Dorę Dorogoj. Jego rozmówca bez wahania wskazuje Polaków jako sprawców pogromu, a Kościół katolicki jako sekundanta. Ale ludzi stara się zrozumieć.

Z kolei wnukowie i prawnukowie raczej nie wybielają przodków, ale nie chcą mieć z ich czynami nic wspólnego albo negują spuściznę mordu. Bezpośrednie dziedziczenie winy jest koncepcją etycznie zwichniętą i słusznie oburza młode pokolenie. Jednak dziedzictwo odpowiedzialności za niegodne konsekwencje zbrodni jest już problemem, którego nie można unieważnić. Jeśli ktoś twierdzi, że bicie Żydów było bestialskie i niedające się usprawiedliwić, to dlaczego nie chce odpowiadać za te zwłoki, które leżą w jego ogródku? Dlaczego tak łatwo przychodzi odcinać się od motywowanych antysemityzmem zabójstw, a tak trudno jest postawić macewę w rogu działki? Albo napisać do Komisji Rabinicznej ds. Cmentarzy, co zrobić z tym szkieletem, który znaleziono przy przebudowie domu?

Spokój martwych burzy rutynę żywych. Ci, którzy odpowiedzialność za konsekwencje czują, są jednak ostrożni z moralizowaniem. „Patrzę na ten park, gdzie kazano Żydom łyżeczkami wyrywać trawę, i myślę, jakie mam szczęście, że urodziłam się później i nie musiałam przeżywać takich sytuacji, decydować, jak się zachować" – zastanawia się kobieta urodzona w Jedwabnem.

Prawda nie leży pośrodku

Pewnie można było się inaczej zachować, ale polska kultura robi wiele, byśmy uwierzyli w brak alternatywy. Keff, podobnie jak Elżbieta Janicka i Tomasz Żukowski, przygląda się literaturze współczującej Żydom w ich ostatniej drodze. W dziełach Ludwika Heringa, Adolfa Rudnickiego, Mieczysława Frenkela i Stanisława Łukasiewicza znajduje niewypowiedzianą zasadę, że „Żyd zobaczony publicznie musi umrzeć". Keff sabotuje tę

regułę dzięki jednej frazie z opowiadania Nałkowskiej. Pisze ona, że „nikt nie zapragnął" pomóc zranionej Żydówce, bo to pragnienie było społecznie niewygodne. Tymczasem w nocy ktoś wychodzi z lasu po kobietę. „Kiedy ci ludzie przychodzą po nią, jest martwa. I nie zabili jej Niemcy. Tak to wygląda z ich strony" – pisze Keff, przyjmując perspektywę ofiar. W tej optyce mówienie o świadkach Zagłady słowami Łukasiewicza, że byli „poniżeni własną bezradnością", jest obelgą dla pomordowanych.

„Słyszałem wiele razy, że to biedny region, że po wojnie ludzie nie mieli pieniędzy, pracy, szli do Sobiboru. Staram się to zrozumieć. Ale nie jestem w stanie wybaczyć" – wyznaje Reszce Yoram Haimi, archeolog, który w latach dwutysięcznych trafił na dziwne wykopy w dawnym obozie. I od razu wiedział. Oficjalny zakaz przeszukiwania obozu w Bełżcu wydaje w 1946 r. wójt, prowizoryczne ogrodzenie powstaje w kolejnej dekadzie, ale siatki zostają rozkradzione. Rośnie drugie i trzecie pokolenie kopaczy. W Sobiborze są jeszcze pod koniec lat 70., kiedy Claude Lanzmann kręci sceny do dokumentu „Shoah". Pyta przewodnika o doły, a ten kłamie, zawstydzony znanym mu procederem, że służą one walce ze szkodnikiem, który zagraża lasowi. W tym przypadku powiedzenie, że bieda nie hańbi, okazuje się z gruntu fałszywą wymówką.

Jeszcze dobitniej oskarżenie wybrzmiewa w „Drzazdze" dotyczącej mordów, gdzie Tryczyk nie szczędzi anatomii zła. Dzieci zabijane są na oczach rodziców, młode kobiety są gwałcone przed zadaniem im śmiertelnego ciosu, a w ziemi grzebie się czasem jeszcze żywych ludzi. Celebracji i perwersyjnej rozkoszy mordu nie da się zracjonalizować biedą, przedwojenną drabiną klasową, przymusem ze strony niemieckiego okupanta ani wiarą w to, że Żydzi walnie kolaborowali z Sowietami. 20 dziewcząt z Bzur, które pracowały u Polaków, żeby przetrwać wojnę, nie miało w głowie kolaboracji. Zginęły z rąk miejscowych mężczyzn, bo były Żydówkami, z którymi można zrobić, co się żywnie podoba, i nikt ich nie będzie bronić. Miejsce ich pochówku znaleziono w 2016 r. dzięki staraniom Tryczyka.

Za każdym rozdziałem, akapitem, zdaniem jego książki stoi przekonanie, że w przypadku wojennych relacji polsko-żydowskich prawda nie leży pośrodku, ale tam, gdzie leżą szczątki Żydów. Zabitych i grabionych bez sensu.

> Polska kultura robi wiele, byśmy uwierzyli w brak alternatywy i w niewypowiedzianą zasadę, że **„Żyd zobaczony publicznie musi umrzeć".**

Pan, chłop i Żyd

Książki Reszki i Tryczyka dotyczą społecznej samowiedzy o tym, co właściwie się zadziało między Polakami a Żydami. To samowiedza, która nie zmieniła się radykalnie na przestrzeni dekad, choć jest dziś wprawiana w drgawki. Rozmówcy Tryczyka najczęściej wiedzą, kto zabijał, ale zdają się mówić: co tu gadać, takie były czasy. Dla bohaterów reportażu Reszki poszukiwanie żydowskiego złota nie jest wstydliwym tematem, bo nie definiują tego jako bezczeszczenie szczątków ludzkich, lecz jako kopanie w torfie i żużlu. Ich pozorne mitygowanie się uwydatnia tylko braki refleksyjności.

Podobnie jak Mikołaj Grynberg w „Rejwachu", Reszka i Tryczyk są poddawani testowi „na Żyda". „Ja przepraszam, że tak mówię, a pan może jest Żydem? Zawsze to swego troszkę tak rusza" – martwi się Tadeusz S. z Chlewisk pod Bełżcem, kiedy opowiada Reszce o tym, że grywał w piłkę żydowską czaszką. Po chwili okazuje się, że makabreska została zmyślona. Ot, żeby powiedzieć coś ciekawego. Dla informatorów Reszki jest jasne, że „ciągnie on za Żydami", a za Tryczyka chcą się modlić. Jego matka bardziej niż tego, że wyjdzie na jaw prawda o czynach teścia, boi się, że w trakcie badań syna okaże się, iż ona i jej dzieci są Żydami.

Po dobrej stronie mocy stoi inteligencja. Archeolog pracujący w Sobiborze boi się spojrzeć w oczy izraelskiemu koledze, którego wujowie deportowani z Francji tam zginęli. Prof. Michał Bilewicz wspomina prababcię i jej maleńką wnuczkę, które zginęły w Bełżcu. „Staram się zrozumieć tych, którzy chodzili na Koziełsko, którzy zeszli na tak darwinistyczny poziom, nie przykładam do ich zachowania kategorii moralnych z zamożnego, spokojnego świata" – mówi, chcąc nie chcąc przypinając kopaczom etykietkę niecywilizowanego motłochu. Mimo że u Reszki i Tryczyka wieś nie jest tak jednorodna jak antysemicka Gurówka z „Pokłosia", to do pewnego stopnia kopiują znany z opracowań Zagłady obraz prowincji-nocy, brzydkiej siostry miejskiej inteligencji, która pochyla się nad żydowską traumą ze wstydem za zdziczałych rodaków.

Tym bardziej warto czytać książki tych autorów razem ze studium Keff, która bierze na celownik kulturę elit. Leszkowi Kołakowskiemu wypomina, że komentując opowiadanie Nałkowskiej, nazwał zabicie Żydówki na jej rozpaczliwą prośbę wyjściem najlepszym z możliwych. Polskiemu dyskursowi publicznemu nie może wybaczyć tego, że po wojnie ocalałemu Tadeuszowi Różewiczowi łatwiej będzie pisać o bogacących się na żydowskim złocie Szwedach i Szwajcarach niż o polskich kopaczach. Przypomina też, że obraz „Żyda z pieniążkiem" wisi spokojnie w wielkomiejskich apartamentowcach jako talizman polskich kapitalistów. I że ostatecznym argumentem elit, którym torpeduje się wezwania do obrachunku, jest (stojący w sprzeczności z figurą żydowskiego fatum) „zestaw z drzewkiem", czyli szafowanie wyrwaną z kontekstu liczbą polskich Sprawiedliwych mających drzewka w Yad Vashem.

Podczas wspomnianego rocznicowego spotkania z Grossem prof. Antoni Sułek zadał mu pytanie o to, co oprócz antysemityzmu warunkowało pogromy, wszak nie we wszystkich miejscowościach, gdzie przed wojną nie znoszono Żydów, doszło do przemocy. Gross odpowiedział wymijająco, uciekając się do ogólnej uwagi o zbiegu rozmaitych okoliczności. Omawiane tu książki rozwijają tę intuicję, odsłaniając różne oblicza społecznej osobowości i zbiorowego rozumu Polaków. Pokazują jednocześnie, że temat winy wciąż jest gorącym kartoflem przerzucanym między sąsiadami, klasami społecznymi i narodami. Ta wina chodzi jak bezpański pies po wiejskiej miedzy i miejskim bruku, szczekając do okien ludzi o spokojnych sumieniach.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

MATERIAŁY PRASOWE HBO

Winona Ryder i Anthony Boyle w serialu „Spisek przeciwko Ameryce", HBO 2020

Pełzająca zmiana

ANITA PIOTROWSKA

Podobieństwa między fikcyjnym wczoraj a realnym dziś narzucają się wprost. Serialowe dialogi, nawet jeśli żywcem wzięte z powieści Philipa Rotha, brzmią jak aluzje do współczesności.

Jeszcze kilka lat temu projekt tej adaptacji nie mógł się przebić w serialowym światku. Prezydentura Obamy stępiła ostrzegawczy pazur literackiego pierwowzoru i tym samym uśpiła zbiorowe lęki. Co więcej: „Spisek przeciwko Ameryce", powieść Philipa Rotha z 2004 r., opowiadał o czasach dawno minionych, a zarazem niebyłych – co by było, gdyby w 1940 r. Roosevelt przegrał wybory i do władzy doszedł bratający się z Hitlerem republikański populista, izolacjonista i rasista? Kiedy jednak w Białym Domu zasiadł człowiek głoszący hasła zbliżone do tych z kart powieści, rzeczywistość zaczęła uwiarygodniać fikcję. Miniserial HBO został nakręcony z perspektywy spełniającego się właśnie koszmaru – i chyba nie przypadkiem ma premierę w roku wyborów prezydenckich.

Historia alternatywna

Filmowy Charles A. Lindbergh istniał naprawdę, choć nie ubiegał się o fotel prezydenta. Jako bohater narodowy, który w 1927 r. pierwszy przeleciał nad Atlantykiem bez międzylądowań, staje się tu figurą zbawcy, który ma uchronić USA przez rzezią II wojny światowej. Szermujący pacyfistycznymi hasłami as przestworzy potrafi świetnie zarządzać strachem. Podczas gdy kroniki filmowe donoszą o zwycięskim marszu nazistów przez Europę, Ameryka wybiera zamknięcie – nawet za cenę paktu z diabłem. I Roth, a za nim twórcy serialu, pokazuje niedostrzegalne zrazu przemiany, jakim podlega społeczeństwo, które w demokratycznym głosowaniu samo wybrało demontaż demokracji. Przyglądamy się temu oczyma politycznych oponentów i zarazem ofiar – żydowskiej rodziny Levinów, która z dnia na dzień dowiaduje się, że nie jest wystarczająco amerykańska.

Bohaterowie zaliczają się, co prawda, do etnicznej mniejszości, ale zlaicyzowanej i zintegrowanej. „Nasi rodzice należeli do pokolenia, które ryzykowało wszystkim, by uczynić nas Amerykanami" – słyszymy podczas pogrzebu i mowa tu o przodkach przybyłych do USA ze wschodnioeuropejskich sztetli. To dlatego, mimo brunatniejącej z każdym dniem aury, ojciec rodziny Herman Levin nie chce słyszeć o emigracji do Kanady. Karykaturą takiej postawy jest rabin Lionel Bengelsdorf, który asymiluje się do tego stopnia, że wkupia się w łaski faszystowskiego establishmentu. Ile w tym z strony kalkulacji, a ile naiwności, to już osobna sprawa. Grający rabina John Turturro tworzy postać pożytecznego idioty, który zostaje wykorzystany przez Lindbergha, ażeby „koszerować" jego rasizm, i w nagrodę staje na czele programu „reedukującego" żydowskich chłopców w prawdziwie amerykańskich rodzinach.

Znajdzie się wśród nich również Sandy, starszy syn Hermana i Bess Levinów, doskonały materiał na samonienawidzącego się Żyda, ślepo zafascynowany nowym prezydentem. Z kolei ciotka Evelyn (Winona Ryder w wybornej formie), zmęczona staropanieństwem, oddaje śliskiemu rabinowi nie tylko duszę, ale i ciało, wzmagając tym tragiczny rozłam w rodzinie. W kwestii „co to właściwie znaczy być Żydem?" ciekawym przypadkiem jest Alvin – osierocony bratanek Hermana i wieczny buntownik, który reprezentuje postawę Żyda walczącego. Pod wpływem kronik filmowych z gett w okupowanej Polsce tudzież antysemickich chmur gęstniejących nad USA decyduje się ruszyć na „europejską" wojnę. Z tragicznymi konsekwencjami.

U Rotha przewodnikiem po niespokojnym świecie był 7-letni Philip, czytelnik komiksów i kolekcjoner znaczków, a zarazem pisarskie *porte-parole*. W serialu schodzi on na dalszy plan, ustąpiwszy miejsca Alvinowi i Evelyn. Lecz choć ciągle odsyłany przez starszych do swojego

pokoju, mały bohater często kogoś podsłuchuje albo podgląda, dostrzegając coraz większy absurd i grozę, które materializują się w jego koszmarnych snach. Jeden z bardziej rozdzierających wątków w filmie dotyczy przyjaźni Philipa z Seldonem – sepleniącym sąsiadem w kujońskich okularkach. Pożegnanie chłopców ma w sobie coś z atmosfery Marca '68.

W dziecięcym spojrzeniu odbija się również postać matki. Zoe Kazan doskonale oddaje siłę charakteru Bess – szorującej podłogi strażniczki domowego ogniska, a zarazem bystrej obserwatorki, lepiej wyczuwającej powagę sytuacji niż dumny i hardy małżonek. Zmarły przed dwoma laty Roth zapewne byłby poruszony tym aktorskim portretem, filmowe małżeństwo Levinów nosi wszak imiona jego rodziców, a wiele powieściowych szczegółów czerpie z dzieciństwa pisarza. Doceniłby też staranność, z jaką twórcy serialu oddają realia życia w dzielnicy, gdzie jazz miesza się z piosenkami w jidysz.

Filmowa rzeczywistość

Telewizyjny „Spisek" współtworzył David Simon, którego dotychczasowe produkcje („Prawo ulicy", „Kroniki Times Square") z pazurem opisywały amerykańską rzeczywistość w różnych momentach historycznych. Tym razem podobieństwa między fikcyjnym wczoraj a realnym dziś narzucają się wprost. Dialogi, nawet jeśli wzięte od Rotha, brzmią często jak aluzje do współczesności. Mechanizm, który wywindował na szczyty niebezpiecznego demagoga, też wydaje się znajomy – również w odniesieniu do demokratycznych elit, które nie doceniły przeciwnika. Nie uwierzyły, że ktoś bez politycznego doświadczenia mógłby pociągnąć mocarstwo w stronę miękkiego totalitaryzmu.

Serial pokazuje pełzającą naturę tej zmiany: niby wszystko wokół funkcjonuje po staremu, w radiu dalej śpiewa Sinatra, ale terror, zarówno instytucjonalny, jak i oddolny, zatacza coraz ciaśniejsze kręgi. Chodzi o to, by widz zdążył umościć się w swojskim świecie Levinów. Nie zobaczy w nim obozów koncentracyjnych, będzie za to przymusowo-dobrowolna relokacja, czyli „włączanie Żydów do mainstreamu", jak eufemistycznie określa się pomysł z dziedziny inżynierii społecznej. W bezpośrednim otoczeniu narasta atmosfera pogromowa – od aktów wandalizmu aż po fizyczną przemoc. Z każdym odcinkiem dramaturgiczna śruba przykręcana jest coraz mocniej. Ciepłe, miękkie światło, w jakim skąpany jest dziecięcy mikrokosmos Philipa, okazuje się zwodnicze, amerykańska sielanka sypie się na naszych oczach.

Pojawiają się głosy, iż Roth i jego serialowi następcy w imię interesów politycznych dokonują *reductio ad Hitlerum* i zanadto upraszczają historię. Np. demonizując Republikanów, a idealizując Roosevelta czy Kanadyjczyków, którzy wobec Żydów uciekających z Europy przed Holokaustem mieli sporo za uszami. Warto przy tej okazji wspomnieć o innych szczegółach z dziejów amerykańskiego międzywojnia, pokazanych w filmie „A Night at the Garden", nominowanym dwa lata temu do Oscara. To kilkuminutowy montaż archiwaliów, nakręconych w lutym 1939 r. w nowojorskim Madison Square Garden podczas wiecu amerykańskich nazistów. Prawdopodobnych uczestników tego zdarzenia widać też w serialu, kiedy Herman, jeszcze w lepszych czasach, szuka większego domu i trafia do niezbyt przyjaznej dzielnicy bawiącej się w klimacie Oktoberfestu.

Jednakże nie o ekstremistach z niemiecko-amerykańskiego Bundu jest ta opowieść. Twórcy „Spisku przeciwko Ameryce" nie po to też fantazjują na temat historii, aby wznosić hipotetyczne konstrukcje. Bardziej niż twarda polityka i postacie historyczne, jak antyfaszystowski dziennikarz Walter Winchell czy znany z rasistowskich poglądów przemysłowiec Henry Ford, którym Roth dopisał nowe życiorysy, liczy się tu wewnętrzna integralność głównych bohaterów. Czyli zwykli ludzie postawieni w obliczu sytuacji kryzysowych. Równie bowiem niebezpieczne, co ciemne spiski polityków i okrzyki pogromowe gojowskich sąsiadów, mogą być zachowania tych wszystkich dzieci we mgle, które z różnych powodów dały się uwieść ideologii wymierzonej przeciw ich własnemu jestestwu.

Kiedy ciotka Evelyn podczas fetowania Ribbentropa mówi, że czuje się niczym na balu w „Przeminęło z wiatrem", które wyrosło ongiś z nostalgii za dawnym, opartym na niewolnictwie porządkiem, jest w tym głęboka, nieuświadomiona ironia historii. ©

SPISEK PRZECIWKO AMERYCE *(The Plot Against America) – reż. Thomas Schlamme, Minkie Spiro. Prod. USA 2020. Odcinki we wtorek na HBO i HBO GO*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [28 III – 3 IV]

1. Sala samobójców. Hejter

Dramat, reż. Jan Komasa. Polska 2020, VOD

Zamknięcie kin przeniosło całe życie filmowe do sieci. Stąd niespełna dwa tygodnie po premierze można obejrzeć w domu najnowszy tytuł zrealizowany przez twórców „Bożego Ciała". Tytułowy bohater, zagrany przez Macieja Musiałowskiego, uosabia frustrację, która staje się zaczynem nienawiści i przemocy.

2. Gundermann

Biograficzny, reż. Andreas Dresen, Niemcy 2018, HBO GO

Słynny bard z enerdowskich Łużyc pracował w kopalniach jako operator koparki, buntował się przeciwko systemowi komunistycznemu, a zarazem współpracował z nim. Po latach stał się ikoną nieistniejącego kraju i gwałtownych przemian, jakie przeszły zjednoczone Niemcy. W roli Gerharda Gundermanna wystąpił Alexander Scheer.

3. Pewnego razu... w Hollywood

Komedia, reż. Quentin Tarantino, USA 2019, CHILI

W czas morowy warto nadrabiać zaległości. Zwłaszcza że najnowszy film Tarantina to rozrywka na najwyższym poziomie. Twórca „Pulp Fiction" składa hołd Fabryce Snów, a zarazem pisze jej historię alternatywną. Bieg wydarzeń zmienia tu dwóch czarujących „przegrywów", w których wcielili się Brad Pitt i Leonardo DiCaprio.

4. Zjadanie zwierząt

Dokumentalny, reż. Christopher Dillon Quinn, Chiny/Indie/ /Niemcy/USA/Wielka Brytania 2017, vod.pl

Jesteśmy tym, co jemy – dlatego warto wiedzieć, skąd się biorą kupowane przez nas produkty spożywcze, zwłaszcza pochodzenia zwierzęcego. Adaptacja książki Jonathana Safrana Foera zwraca uwagę przede wszystkim na hodowle przemysłowe, które nie tylko pomnażają cierpienie zwierząt, ale mają istotny wpływ na stan środowiska naturalnego i zdrowie człowieka.

Miasto bez teatru

DARIUSZ KOSIŃSKI

Mamy tak wiele masowych przedstawień narodowych, na czele z Marszem Niepodległości i patriotycznymi pielgrzymkami kibiców. Tym bardziej potrzebny jest nam teatr publiczny.

Pandemia COVID-19 spowodowała najpierw zamknięcie teatrów i innych instytucji kultury. Stadiony pozostawały otwarte dłużej, choć na części z nich mecze odbywały się przy pustych trybunach. Ale już po dwóch dniach UEFA i polska Ekstraklasa poddały się pod presją krytyki, oskarżającej szefów sportowego biznesu, że dla pieniędzy i igrzysk narażają ludzkie zdrowie i życie.

Zgodnie z tezami Giorgia Agambena, Włocha, który okazał się prorokiem przede wszystkim we własnym kraju, biopolityczny stan wyjątkowy błyskawicznie i bez oporów sprowadził nas do poziomu nagiego życia i nawet Kościół nie był w stanie przekonać kogokolwiek, że troska wyłącznie o to, by przetrwać, odbiera sens temu, czemu przetrwanie tak bardzo chce się zapewnić. W lęku przed nieswoją śmiercią żyjemy jałowym życiem dla życia.

Mamy więc zamknięte i teatry, i stadiony. W dziedzinie widowisk jest to stan absolutnie wyjątkowy. Pandemia i wyjątkowe ograniczenia wprowadzone w ramach walki z nią wyostrzają elementarne pytania o potrzebę teatru, zarazem zakorzeniają je w bezpośrednim doświadczeniu. W przeddzień Międzynarodowego Dnia Teatru (27 marca) zapytajmy więc: brak go czy nie brak?

Poza scenami oczywistości

Decyzja o zamknięciu instytucji kultury wyczyściła mój kalendarz z siłą wodospadu.

Odwołano przedstawienia i premiery, na które się wybierałem. Kolejno wypadały inne, mniejsze wydarzenia, także te offowe, których organizatorzy wcale nie mają pewności, czy zebrana publiczność stawi się w liczbie przekraczającej górną granicę dopuszczalnych zgromadzeń. W ciągu niecałej doby stało się jasne, że co najmniej na dwa tygodnie zostanę w mieście, w którym nie ma teatru.

Mieszkanie na co dzień w mieście bez teatru o wiele lepiej służy racjonalnemu spojrzeniu na teatr niż stały związek ze środowiskim uznającym oczywistość jego istnienia. Jeśli ludzie, których znam, lubię i szanuję, nie mają problemu z tym, że w ich życiu teatr nie odgrywa żadnej ważniejszej roli, a czasem wręcz w ogóle się nie pojawia, to pytanie o jego potrzebę i wartość staje się zdecydowanie bardziej dojmujące.

Z drugiej strony jednak nigdy chyba nie spotkałem się z wyrażoną wprost i jednoznacznie negacją sensu tego, czym się zajmuję. Wprost przeciwnie: słowo „teatr" jest przyjmowane zazwyczaj z rodzajem szacunku, związanego z czymś dziwnym, odległym, ale budzącym raczej pozytywne skojarzenia. Najprościej byłoby to wyjaśnić wytworzonym przez edukację i pewien obyczaj poczuciem autorytetu, który przyjmuje się „na wiarę", właśnie dlatego, że się go nie sprawdza i nie konfrontuje z żywym doświadczeniem. Byłbym jednak daleki od lekceważenia wyobrażenia, zgodnie z którym teatr stanowi konieczną część jakiegoś innego, obdarzonego autorytetem sposobu życia. Mówi ono bowiem, że jest to rodzaj doświadczenia specjalnego, niedostępnego każdemu, które jednak z jakichś powodów powinno istnieć, jego brak odczuwa się zaś jako ważne naruszenie pożądanej sytuacji cywilizacyjnej i kulturowej.

W poczuciu mieszkańców miasta bez teatru samo jego istnienie „gdzieś tam" jest ważne także dla nich. Świadomość istnienia teatru daje pewność, że „gdzieś tam" są jacyś specjalni ludzie, którzy poddają nasze bycie-tu-oto koniecznej refleksji i nieustannemu sprawdzaniu, czy nie dzieje się z nim coś złego. Jednocześnie podtrzymują pewne wzory i pewien poziom zachowań, do którego może niekoniecznie sami aspirujemy, ale którego istnienie zapewnia także i nam poczucie kulturowej ważności.

Ta paradoksalna postawa była znakomicie wręcz widoczna w pierwszych dniach po ogłoszeniu decyzji ministra kultury. Było oczywiste, że więcej ludzi dotknie bezpośrednio zamknięcie kin, ale media informowały w pierwszej kolejności o zamknięciu teatrów, z ludźmi teatru rozmawiały i o sytuacji ludzi teatru informowały z prawdziwym przejęciem. Ton tych medialnych felietonów był dość jasny i spójny: weszliśmy w stan wyjątkowy, bo teatry nie grają. Na statku alarm, kapitanowie prężą się na mostku, ale nie ma komu zrealizować rady, której podobno na planie „Rejsu" udzielił Markowi Piwowskiemu Andrzej Wajda: trzeba zejść na brzeg i z dystansu pokazać, czy ten okręt na pewno płynie i dokąd.

Kwarantanna

Tym, co dotknęło całe społeczeństwo na poziomie podstawowym, a właśnie w przypadku teatru odgrywa rolę kluczową, jest bezpośredni kontakt międzyludzki. To jego dotyczą wprowadzane zakazy i skomplikowane procedury, i to on też jest jedną z tych cech teatru, którą powszechnie uznaje się za podstawową i wyjątkową zarazem. Film można obejrzeć w domu, muzyki czasem na domowym sprzęcie wysłuchać jest wręcz lepiej. Ale teatr pozbawiony bezpośredniego, żywego kontaktu między aktorami a publicznością traci podstawy swego istnienia.

Wprawdzie rozwijający się kiedyś w Polsce wyjątkowo bujnie Teatr Telewizji czy propagowane właśnie po wybuchu pandemii oglądanie przedstawień w internecie każą nieco zweryfikować to dogmatyczne stwierdzenie, niemniej jednak przekonanie, że „nażywość" jest podstawą teatru, zachowuje swoją wagę nawet tam, gdzie wcale nie zabiega się jakoś szczególnie o współudział widowni, pozwalając jej skoncentrować się na patrzeniu.

W XIX wieku, gdy reguły widzialności były ściśle regulowane, teatr miał ogromną moc przyciągania, ponieważ pozwalał bezkarnie oglądać. Gdzież indziej młoda kobieta mogła tak bezczelnie lornetować przystojnego amanta? Gdzie indziej mężczyźni mogli w sposób społecznie akceptowany oglądać w sytuacji

MAGDA HUECKEL / MATERIAŁY PRASOWE

Mateusz Łasowski jako Ksiądz Piotr w spektaklu „Mickiewicz. Dziady. Performance", Teatr Polski w Bydgoszczy, październik 2016 r.

prywatnej kobietę niebędącą ich żoną? Oczywiście w naszej voyeurystycznej kulturze motywacje te utraciły znaczenie, niemniej wciąż działa niezwykłość oglądania „na żywo" tego, co dziś zazwyczaj oglądamy w ramach medialnych formatów. Właśnie w ich kontekście teatr zyskał nowe społeczne znaczenie, stając się miejscem potwierdzania istnienia rzeczywistości międzyludzkiej jako czegoś innego niż globalnego spektaklu i teatru życia codziennego.

Krytykowany wzrost liczby działań nastawionych na sytuację komunikacyjną zachodzącą tu i teraz, w obecności i/lub przy współudziale tych, a nie innych ludzi, stąd się właśnie bierze. I nie musi ona wcale przyjmować formy wciągania widzów do współdziałania czy atakowania ich. Powiedziałbym nawet, że właśnie tam, gdzie pozostawia się mnie jako osobę, która patrzy w spokoju, owo patrzenie „na żywo" staje się szczególnie ważne i cenne. Staje się doświadczeniem, czyli źródłem wiedzy wyrastającej z tego, co przeżyte (łacińskie *experientia* pochodzi od *ex* – „z"; *peritus* – „to, co sprawdzone, przeżyte"), i zarazem stanowiącej zwrócone w przyszłość wezwanie do świadczenia.

Dlatego można być widzem medialnej relacji, ale nie można stać się jej świadkiem. Za pośrednictwem mediów poznajemy „fakty" i „wydarzenia", otrzymujemy „wiadomości" i „informacje". Doświadczenia wymagają naszej żywej obecności.

Zakazy wprowadzone wraz z ogłoszeniem stanu zagrożenia epidemicznego oznaczają zdecydowane ograniczenie doświadczeń, a więc – istotne zubożenie życia. Pozwala to – jak sądzę – na dostrzeżenie, jak ważną jego częścią są doświadczenia wzmacniane przez to, że przechodzi się je zbiorowo, z nieznanymi innymi (co nie oznacza natychmiast powołania wspólnoty).

Teatr jest sztuką takich doświadczeń. Jego mityczna „magia" na tym właśnie polega, że coś dzieje się w sposób przygotowany, a choć wiemy, że tak jest, to doświadczamy tego bardziej intensywnie niż rzeczy, które nam się w życiu „zdarzają naprawdę". Ta intensywność oczywiście stanowi jeden z podstawowych efektów i mierników teatralnego talentu i rzemiosła, ale zarazem jest warunkowana przez to, że doświadczamy jej z wieloma innymi, sami będąc „patrzonymi" i przez współwidzów, i (choćby potencjalnie) przez aktorów. Oni nas widzą, dlatego doświadczamy tak silnie tego, co nam zgotowali. ↦

↦ Na tym polega nieuchronna słabość oglądania rejestracji: ja widzę wszystko dobrze, ale nikt na mnie nie patrzy.

Teatr publiczny

Mimo tego zasadniczego braku, w rejestracjach lub transmisjach przedstawień jest nadal coś, co rozpoznajemy natychmiast jako „teatralne". I nie chodzi tu ani o specyfikę miejsca, ani o przewagę dialogów, na którą tak często narzekają recenzenci filmów realizowanych na podstawie dramatów. Jest to raczej pewna czasoprzestrzenna rozciągłość, swoiste rozplanowanie czy też rozwarstwienie rzeczywistości sprawiające, że nawet trwające tyle samo „Hamlet" teatralny i filmowy różnią się w sposobach wytwarzania obrazu świata.

Dotykamy tu czegoś szczególnego dla teatru jako kulturowego wytworu nowożytnej cywilizacji europejskiej, powstałego w tym samym niemal czasie, gdy wytwarzały się podwaliny demokracji i społeczeństwa obywatelskiego.

Teatr, jaki znamy i uważamy za „tradycyjny", a więc stały, repertuarowy, zawodowy i publiczny, powstał w Europie w drugiej połowie XVIII wieku, by dość szybko upowszechnić się jako narzędzie oświaty i modernizacji w duchu oświecenia (dokładnie tak było w Polsce), a następnie stać ważną, choć funkcjonującą w sposób wcale nieprosty, częścią sfery publicznej w rozumieniu Jürgena Habermasa. To ostatnie właśnie zadecydowało, że stał się on teatrem publicznym w istotnym (a nie tylko finansowym) znaczeniu tego pojęcia.

Teatr publiczny jest ważny. W roku 2015, z inicjatywy Macieja Nowaka, pierwszego dyrektora Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego, Ministerstwo Kultury ogłosiło jubileusz 250-lecia teatru publicznego. Pod kierunkiem następczyni Nowaka, Doroty Buchwald, niezłomnej obrończyni teatru publicznego, jak najsłuszniej uhonorowanej właśnie Nagrodą im. Zygmunta Hübnera, miałem okazję ten rok współtworzyć, odbierając od niej wielką lekcję jego wartości, której wcześniej – przyznaję – nie doceniałem. Zwolennicy i przedstawiciele wkrótce zwycięskiego obozu rzucili się wówczas na nas, twierdząc, że cały koncept teatru publicznego to wymysł mający na celu wymazanie jedynie słusznego teatru narodowego. Tłumaczyłem, że są to dwa różne rozumienia funkcji teatru i że nie negując znaczenia sceny narodowej, powinniśmy wspierać właśnie teatr publiczny. Nic to nie dało, a w październiku 2015 r. narodowe zatryumfowało.

Mieszkanie w mieście, gdzie nie ma teatru, lepiej służy racjonalnemu nań spojrzeniu niż stały związek ze środowiskiem uznającym oczywistość jego istnienia.

Pozostaję wierny swojemu ówczesnemu stanowisku, a nawet się w nim umacniam. Skoro w życiu zbiorowości jest dziś tak wiele masowych przedstawień narodowych, na czele z Marszem Niepodległości, performansami kibiców i patriotycznymi pielgrzymkami, to tym bardziej potrzebny jest nam teatr publiczny. Na czym polega różnica?

Teatr narodowy ma na celu tworzenie i podtrzymywanie wzorców tożsamościowych (czyni to nawet wtedy, gdy narodowe atakuje, czego najlepszym dowodem jest sadomasochistyczna rozkosz „Wesela" Wyspiańskiego), teatr publiczny zaś stanowi narzędzie kształtowania sfery publicznej. Nie w tym znaczeniu, że przekonuje do jakichś racji (choć niekiedy przekonuje, i to bardzo jednoznacznie), ale w tym, że przez doświadczenie uczy samej zasady jej istnienia jako przestrzeni debaty i wielości sądów.

Nowożytny teatr Zachodu zasadza się wszak na tym, że każdy ma prawo głosu. Dzięki czysto dramatycznym talentom jego mistrzów, na czele z największymi: Williamem Szekspirem i Juliuszem Słowackim, każdy, nawet największy łotr i idiota jest obdarzony pełnym mocy głosem i może przedstawić swoją interpretację rzeczywistości, swoje jej rozumienie. Konfrontacja takich interpretacji z widocznymi na scenie wypadkami wytwarza sens, dany publiczności do współustanowienia.

Używam tu pojęć „interpretacja" i „sens", bo odsyłają do wydanej niedawno książki Michała Pawła Markowskiego „Wojny nowoczesnych plemion" (pisał o niej obszernie w „Tygodniku" Marcin Napiórkowski). Jej główna teza głosi, że będący podstawą współczesnego populizmu rozpad społeczeństw na całkowicie obce sobie grupy wynika z kierowania się opiniami, wiarami i wartościami, przy jednoczesnym braku wysiłków na rzecz wspólnego ustalania sensu.

Do tego konieczna jest umiejętność interpretacji. Tę ostatnią Markowski zdaje się wiązać wyłącznie z literaturą i akademią, nie dostrzegając, że to właśnie publiczny teatr dramatyczny jest wielką szkołą procedur wspólnego ustanawiania sensu. Autorzy, aktorzy, reżyserzy i wreszcie widzowie teatru dramatycznego tym się właśnie zajmują. Cały zaś proces teatralny polega na wielkim wspólnym wytwarzaniu sensu i jednocześnie – na indywidualnym obserwowaniu i doświadczaniu, jak ten proces przebiega w całej swej złożoności, także poprzez budzenie i przewalczanie opinii. To bezcenne zwłaszcza dziś.

Donald Trump i Emmanuel Macron (by już nie sięgać po polskie przykłady) nie są postaciami dramatycznymi – są histrionami w wielkim spektaklu, który współtworzą i który współtworzy ich (choć łudzą się, że nad nim panują). Postaciami dramatycznymi stać by się mogli dopiero wtedy, gdyby zostali zinterpretowani, do czego trzeba by użyć określonych umiejętności wytworzonych właśnie przez teatr na przestrzeni kilkuset lat, odkąd pewien przybysz ze Stratford ośmielił się interpretować królów i królewiczów. Te umiejętności składają się na fundamentalne znaczenie publicznej szkoły sensu i interpretacji, jaką jest teatr, całkowicie odmienny pod tym względem od medialnych spektakli i masowych performansów tożsamości.

Niesiony taką interpretacją już chciałem napisać, że wszyscy, którzy mają dość wojen plemiennych i kulturowych, powinni spotkać się na teatralnej widowni, by doświadczyć procesu wytwarzania sensu. Ale przypomniałem sobie, że teatry są przecież zamknięte...

© DARIUSZ KOSIŃSKI

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

REKLAMA

Już w kioskach
i na przekroj.pl
PRZE
KRÓJ
nr 2 (3569)/20
19,90 zł (w tym VAT 8%)
ZA
WIOSNĘ
NASZĄ
I WASZĄ
M. RACZKOWSKI

JAN

Klata:
Stan wyjątkowy

„Pojęcie pandemii zakłada pojęcie polityczności" – czasy mamy wyjątkowe, więc pozwoliłem sobie z lekka sparafrazować nie byle kogo. Kogo? Samego Carla Schmitta – ulubionego (obok Olgi Tokarczuk, Jarosława Marka Rymkiewicza i tekściarza Bayer Full) autora Jarosława Kaczyńskiego.

A zatem szara eminencja musiała wyjść z cienia autoizolacji i udać się do radia. Czasy mamy dziwne, zaiste. Na falach eteru Naczelnik udzielił panu Ziemcowi wywiadu, w którym wymawiał wyraz „konstytucja" częściej niż Donald Trump „China". Wywiad odbija się teraz szerokim echem i ludność rzuca się do internetów, żeby zobaczyć, czy Naczelnik nie przybył do radia w koszulce „Konstytucja"... ale nie, był *in blanco*, pod krawatem czarnym, w humorze wisielczym. Konstytucja, zgodne z konstytucją, nie wbrew konstytucji – mruczał kojąco, delektując się odmienianiem rzeczownika na „k" niczym Robert Makłowicz deklinujący „papryka". Konstytucja została dopieszczona, niewątpliwie, może czuć się pewnie, że nikt się na nią nie zamachnie, a jeśli spróbuje, to podniesiona ręka zostanie odcięta i wyląduje na śmietniku historii. „Co to się z ludźmi porobiło" – pomyślała konstytucja, a Prezes nawet się nie uśmiechnął, chyba że do środka.

„Don't panic, we're from Poland" – nieco zapomniany slogan warto odświeżyć i zawiesić nad urnami za kilka tygodni. Ludzie nie mogą wychodzić na ulicę, ale przecie konstytucja! „Wybory w terminie są ważne, aby zapewnić stabilność" – orzekł szeregowy poseł w wymarzonej sytuacji. Ten, kto decyduje o stanie wyjątkowym, jest suwerenny. Ten, kto decyduje o stanie wyjątkowym bez oficjalnego ogłoszenia stanu wyjątkowego, jest jeszcze bardziej suwerenny, suwerenny wręcz niebywale. „Wszystko jest pod kontrolą". Wszyscy jesteśmy w aresztach domowych, trzymani w niepewności, zarządzani strachem, ale 10 maja dostaniemy przepustkę do urn, żeby wybrać stabilność wolności od testów na wirusa. Naczelny Epidemiolog pozwala, a nawet zaleca.

Zrządzeniem losu upiorna dziwność rzeczywistości na razie gra do jednej bramki. Władza, a raczej władca podjął się katastrofalnego igrania z żywiołem epidemii. „Wyjątek jest bardziej interesujący niż normalna sytuacja. Normalność o niczym nie świadczy, wyjątek świadczy o wszystkim; reguła istnieje tylko dzięki wyjątkom, które ją potwierdzają. Wyjątki są wyrazem prawdziwego życia, przełamującym rzeczywistość skostniałą w mechanicznej powtarzalności" – to nie Prezes, to Schmitt, ale tak jakby Prezes. ©

Lektor:
Prawda literatury

▪ *Wasilij Grossman*
ŻYCIE I LOS
Przełożył Jerzy Czech,
Noir sur Blanc,
Warszawa 2020,
ss. 980.

Podobno przyszedł teraz czas nadrabiania czytelniczych zaległości. Nie wyobrażam sobie wprawdzie zatopionych w lekturze ludzi, którzy pracują zdalnie i równocześnie zajmują się znudzonymi dziećmi – może jednak warto spojrzeć wstecz i przypomnieć czasy naprawdę niewyobrażalnych katastrof. Zwłaszcza że wznowiono właśnie „Życie i los", jedną z najwspanialszych powieści rosyjskich XX wieku. Epopeję bitwy stalingradzkiej, ale przede wszystkim zbiorowy portret ludzi w trybach machiny wojennej i oskarżenie obu totalitaryzmów, hitlerowskiego i stalinowskiego.

Wasilij Grossman urodził się w 1905 r., debiutował kilka lat przed wybuchem II wojny. Od 1941 r. pracował jako korespondent wojenny: był w oblężonym Stalingradzie, na Łuku Kurskim, w obozie na Majdanku i w Treblince tuż po ucieczce Niemców. Jego matkę zamordowano wraz z całą żydowską społecznością rodzinnego Berdyczowa. Powieść „Za słuszną sprawę" (u nas w wydana w 1957 r. jako „Życie i losy", w skromnym jak na literaturę radziecką nakładzie) wkrótce po opublikowaniu w prasie stała się przedmiotem wściekłej nagonki ideologicznej. Maszynopis „Życia i losu" – jej ciągu dalszego, czy raczej rozwinięcia – złożony został przez autora w 1960 r. w miesięczniku „Znamia". Redaktor naczelny Wadim Kożewnikow okazał się czujny i po lekturze przekazał maszynopis (wraz z donosem) do KGB. Funkcjonariusze zrewidowali mieszkanie Grossmana, konfiskując wszystkie materiały związane z powieścią. Pisarzowi, który zaprotestował w liście do Chruszczowa, Michaił Susłow, prawa ręka pierwszego sekretarza, odpowiedział ironicznie, że publikacja będzie możliwa za dwieście lat...

Załamany Grossman zmarł w 1964 r. na raka. Jednak ukryta przed rewizją kopia trafiła za granicę. Wydane w 1980 r. w Lozannie, a w 1988 r. w ZSRR „Życie i los" uznano za jedno z najwybitniejszych świadectw epoki. „Na wielkość książki Grossmana – pisał Adam Pomorski – składa się przenikliwość, niewiarygodna, przerastająca miarę epoki śmiałość myśli – i ostrość widzenia. Racja życia, niespójnego, poszczególnego, fragmentarycznego, uwikłanego w sprzeczności i słabości, ironicznego w swych próżnościach i szaleństwach, oślepiająco czystego w odruchach dobroci – wyraża się w tej powieści we wspaniałym ciągu szkicowanych portretów (...) Wielka to tradycja prozy i dziennikarstwa: wielka jak prawda". ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Przycina nas

Bardzo cię przycina? To nowa forma rytualnego „co słychać?", w pewnym sensie nawet bliska znaczeniowo, bo rozchodzi się o dźwięk, zniekształcony mniej lub bardziej przez środki internetowej komunikacji na żywo. Codzienność nagle wypełniła się skrzekiem, rzężeniem, głosami dudniącymi jak z dna wiadra albo przeciwnie: owiniętymi w watę, pochłaniającą sporą część dźwiękowego spektrum. Przycina nas, od dołu i od góry, spłaszcza z przodu i wydrąża niuanse. Laptop szwankuje, już dawno mieliśmy kupić szybszy, rolę jąkały i marudy, który rozwleka każdą dyskusję, pełni ten z towarzystwa, kto ma najsłabszy sprzęt i wolny internet w domu.

Ale to wszystko nieważne, nie mamy innego wyjścia dziś, chcąc zachować minimum styczności z ludźmi. Trzeba jakoś dalej działać – np. szykować Wasz ulubiony tygodnik – a przede wszystkim patrzeć ludziom w twarz, choćby przez brudną szybę. Przycina nas, ale jesteśmy. Odkrywając, że w pewnych sytuacjach udział poprzez „lajfa" może nie być uciążliwym ersatzem, tylko nowym doświadczeniem wspólnoty w dystansie. Moja nauczycielka medytacji ruchowej, odcięta od możliwości zebrania grupy, prowadzi zajęcia przez sieć, krótsze, ale za to znacznie częściej. I już po paru wieczorach wiem, że kiedy władze pozwolą nam się znowu spotkać na sali, to będę ją prosił, żeby utrzymała „domowe" lekcje, bo wchodzę w swoje ciało i emocje w inny sposób, i jedno doświadczenie z drugim się dopełnia. Kiedy raz spróbujemy usiąść do telewina z bliźnimi z dalekich miast, odkrywamy, że są równie zabawni jak ci, z którymi dotychczas wychodziliśmy na miasto co sobota. Trzeba kochać i dbać o stałych przyjaciół, ale to nie znaczy, że czasem nie przynudzają, i dobrze znaleźć alternatywę.

Siedzimy wgapieni w monitor, w każdym okienku inne dekoracje, inne światło, inna paleta. Zauważyliście, ile nagle się dowiedzieliśmy o cudzych mieszkaniach? Partnerów z pracy, a przede wszystkim różnych osób publicznych, które zamiast napudrowane niczym mumie w studiu, zjawiają się przez skype'a, bez makijażu (a w każdym razie tak to wygląda, kamerka w laptopie raczej wyostrza skazy), w przypadkowej scenografii pieleszy. A może nie całkiem przypadkowej? Chwała temu, kto sprząta za plecami i nie zmusza mnie, żebym wchodził w jego rozbebeszoną kuchenność. Ale wielu bliźnich podejrzewam o pewien świadomy wysiłek wizerunkowy. Czy to tylko przypadek, że co i rusz widzę dobrze skadrowane biblioteczki?

Jeśli to trochę dłużej potrwa, portale wnętrzarskie wprowadzą rubryki z poradami, jak urządzić w mieszkaniu kącik do telespotkań, e-salony i e-gabinety, z wymiennym tłem dostosowanym do statusu i rangi rozmówcy (fototapeta dla przyjaciół, szary lub beżowy panel dla biura), z oświetleniem, które nie uczyni z nas *zombie*, i jakąś barierką, która zatrzyma dzieci przed wtargnięciem na wizję. Kot snujący się nonszalancko jest mile widzianym akcentem ocieplającym, dzieci jednak nie, wszystko przycina w transmisji, ale za to szczebiot przechodzi przez kabel wręcz wzmocniony.

Dzieci, jak się okazuje, przy dłuższym ich pobycie w zamknięciu, to takie bardziej kłopotliwe koty, przyłażą nie tylko dwa razy na dobę po miskę, a jak się wgramolą na kolana, to nie potrafią usnąć i trudno się pracuje. O mruczeniu w ogóle nie wspomnę. Jak je nieco zmęczyć i odstresować, kiedy wstaną od swoich lekcji *online*? Np. zagonić do kuchni. Kiedy tylko ogłoszono zamknięcie szkół, pomyślałem, że to czas, bym się dzielił pomysłami, jak z pożytkiem spacyfikować potomstwo, tak żeby oswoiło się z prostymi czynnościami, których opanowanie zapewni mu w dalszym życiu minimum autonomii kuchennej, żeby nie wyrosło na takich dorosłych, co kiedy im się powie: „ubij, utrzyj, wymieszaj", rozglądają się jak cielęta za termomiksem.

Miałem zacząć od pizzy, bo wyrabianie ciasta, a potem obserwacja jego przemian to fascynująca magia. Kiedy zaś damy dzieciom kulki wyrośniętego ciasta, niech robią z tego placki w dowolnym kształcie, po czym wymyślą najdziksze warianty składników na wierzch: wyjdzie z tego świetna kreatywna zabawa. Część tych wynalazków nawet da się potem zjeść. Ale zanim zasiadłem do pisania, naród wymiótł ze sklepów drożdże. Pomysł więc na razie diabli wzięli. Mój zacny kolega Michał Kuźmiński piecze bez drożdży świetne podpłomyki. Gdy je nazwiemy tak jak w Alzacji *tarte flambee*, to w ogóle nie czujemy, że to kryzysowa rzecz. Ja jednak wolę zaczekać, aż drożdże wrócą, przecież nie będzie nas tak wiecznie przycinać. ©℗

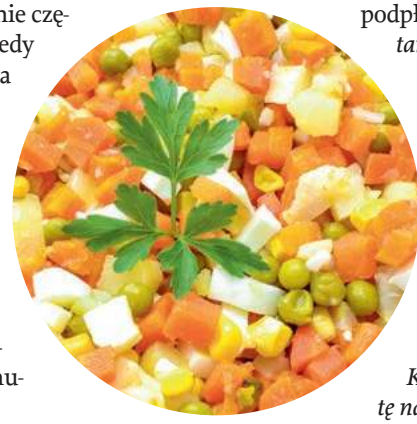

ADOBE STOCK

Tymczasem zaś nagotujmy kilka pęczków włoszczyzny, wywar z warzyw zawsze się przyda, a potomstwo posadźmy do krojenia w idealnie równą kostkę. Warzywa są miękkie, więc nie trzeba dawać niebezpiecznie ostrych noży. Kiedy darmowa siła robocza wykona za nas tę najbardziej niewdzięczną czynność, możemy potem wspólnie się wyżyć w robieniu tuzina wariantów sałatki jarzynowej, która nie zasługuje na to, żeby ją dusić na śmierć majonezem. Podzielcie posiekaną mieszankę na kilka misek i spróbujcie namówić dzieci do wymyślania sosów. Jasne, na pierwszym miejscu na pewno pojawi się keczup, ale może podsunąć im jeszcze sos sojowy i ostrygowy, różne oleje i oliwę, chrzan, winegret, harisę, guacamole? A co z dodatkami? Jeśli wsypią pokruszone czipsy cynamonowe, nie zrażajcie ich, ale podsuńcie inne, mniej awangardowe. Kukurydza zamiast groszku. Paluszki krabowe, szynka, kabanosy, ser żółty i nie tylko? No i jeśli los was obdarzył dziećmi, które lubią oliwki (zazdroszczę), to koniecznie, w każdym kolorze.

ZMYSŁY

REQUIEM DLA ŚNIEGU

Pisanie w początku wiosny o śniegu
byłoby aktem co najmniej przewrotnym.
Ale nie po bezśnieżnej zimie,
gdy łączy nas tęsknota za dawną normalnością.

BARTEK DOBROCH

Jeśli w ogóle się u nas pojawiał, to jak jętka jednodniówka, by szybko rozpłynąć się na nagrzanej ziemi, asfalcie czy betonie. W Krakowie spadł już na początku grudnia, ale szybko zniknął. W Warszawie pierwszy śnieg, który na chwilę przykrył chodniki, trawniki i dachy, spadł 29 stycznia. Najpóźniej od przynajmniej pół wieku. W okolicach Słupska służby odśnieżające wyjechały do pracy tylko raz, o czwartej nad ranem, a i tak do południa wszystko, co odgarnęły, zdążyło stopnieć. W Szczecinie śniegu nie było tej zimy w ogóle.

Obrazki z przyszłości

Nawet w Górach Izerskich, znanych z chłodnego mikroklimatu, w styczniu było zaledwie sześć dni z temperaturą poniżej zera. Zima 2019/2020 kazała myśleć o słowach Olgi Tokarczuk: „Coś jest ze światem nie tak".

To zdanie powracało jak mantra w drugiej połowie stycznia, podczas jazdy samochodem przez pół Europy. Wycieraczki walczyły z deszczem. Słowacja brzydka niczym dżdżyste Mazowsze. Górna Austria tak mokra, szara i mglista, że mogłaby być późnojesienną Litwą czy Białorusią. Bawaria ciemna jak noc listopadowa. Szwajcaria w kolorze grafitu i mdłej zieleni. A Dolina Aosty, z granicą śniegu na 2 tys. metrów czy nawet wyżej, jak z majowej kartki z kalendarza. Dopiero na jej krańcu, pod Monte Bianco, jak we Włoszech nazywa się najwyższy szczyt Europy, styczeń okopał się śniegiem, broniąc swego terytorium przed armią cieplejszych miesięcy.

ANNE-CHRISTINE POUJOULAT / AFP / EAST NEWS

W słynącej z regularnych i ogromnych opadów Japonii śniegu też było niewiele. – Na wyspie Honsiu to najlżejsza zima, odkąd zaczęto prowadzić statystyki. Poniżej 2 tys. metrów bardzo często padał deszcz, nie śnieg. Ośrodki narciarskie są kompletnie nieprzygotowane na taką sytuację – opowiada pracujący tam jako instruktor Piotr Śnigórski. Nieco lepiej było na wyspie Hokkaido, gdzie w sezonie spada około 10 metrów śniegu. Ale i tam w wielu ośrodkach nie otworzono niżej położonych tras.

W ośrodku narciarskim Luchon-Superbagnères we francuskich Pirenejach śnieg transportowano śmigłowcem na stoki z wyższych partii gór. Tę decyzję, która spotkała się z silną krytyką, także ze strony francuskiej minister ds. ekologii, władze ośrodka tłumaczyły troską o zachowanie 50-80 miejsc pracy dla personelu. Operacja transportu 50 ton śniegu kosztowała ponad 5 tys. euro i wzbudziła dyskusję na temat „ceny śniegu". Czy wolno utrzymywać dla naszej przyjemności pokrywę śnieżną w ośrodkach narciarskich, ingerując w środowisko i przymykając oko na wpisany w koszt takich operacji ślad węglowy?

Bezśnieżny klimat

Według Copernicus Climate Change Service była to najcieplejsza zima w całej Europie, a temperatury grudnia, stycznia i lutego były aż o 1,4 st. Celsjusza wyższe od poprzedniego rekordu z lat 2015/2016. W Polsce było najcieplej od 241 lat, odkąd królewski astronom Karol Bystrzycki zaczął prowadzić zapisy obserwacji pogody. Średnia temperatur była o 4 stopnie wyższa od normy wieloletniej (rekord należał dotychczas do zimy 1989/1990 i wynosił 3,5 st.). Na Litwie – o 5,4 st.

Zima była też rekordowo bezśnieżna. – W zasadzie nie było warunków do wytworzenia się pokrywy śnieżnej poza obszarami górskimi. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby tej pokrywy na obszarze niżu polskiego nie było w ogóle. Należy się spodziewać, że to się będzie powtarzać – mówi klimatolog Witold Lenart.

Radość z braku śniegu i z wiosennej pogody w środku zimy jest niewłaściwa. Wpływ zmieniającego się klimatu na występowanie śniegu jest bowiem wzajemny: jego brak także wpływa na wzrost temperatur. Na obszarach, gdzie leży śnieg, temperatura jest zawsze niższa o ok. 5 stopni.

– Jeżeli powstaje pokrywa śnieżna, mamy inne albedo, czyli stosunek ilości promieniowania odbitego do padającego, niż w okresie, w którym grunt jest nagi – tłumaczy Lenart. – Śnieg powoduje zmianę odbioru promieniowania krótkofalowego i emisji promieniowania długofalowego, całego bilansu radiacyjnego.

Z punktu widzenia naszego kraju – jednego z najuboższych w Europie, jeśli chodzi o zasoby wodne – bezśnieżna zima oznacza większą suszę. Śnieg stanowi rezerwuar wody. Co prawda także paruje, ale znacznie słabiej, zwłaszcza gdy jest pokryty zeszkloną skorupą i zleżały.

W Polsce poza terenami górskimi zaprzestano już mierzyć pokrywę śnieżną i jej miąższość. Notuje się jedynie jej obecność lub brak. Jest już nawet w Polsce obszar – okolice Goleniowa i Pyrzyc na Nizinie Szczecińskiej – gdzie w ogóle nie występuje. W tym roku z klimatologicznego punktu widzenia zima trwała tam poniżej trzech dni.

Śniegu nie zastąpi zimą deszcz, bo pada na nieprzygotowaną, nieporośniętą glebę, którą wypłukuje, i spływa do Bałtyku. Działanie retencyjne śniegu jest znacznie lepsze. Tymczasem z polskiego klimatu i krajobrazu zniknęły także jego nielubiane (przez co niedoceniane) elementy, takie jak przedwiosenne i wczesnowiosenne (nieraz wielkanocne) opady mokrego śniegu, roztopy, łąki nasiąknięte wodą, a nawet błoto, nie tylko to pośniegowe.

– Jeśli nie można zatrzymać pewnej części wody w wyniku tworzenia się pokrywy śnieżnej, jest to bardzo niepokojące – ocenia Witold Lenart. – W zasadzie śnieżny klimat powoli się już wynosi z Europy, a nawet z Eurazji. Jako tako trzyma się jeszcze w Ameryce Północnej. ↦

Śmigłowiec przewozi śnieg do ośrodka narciarskiego w Luchon-Superbagnères, Pireneje Francuskie, 15 lutego 2020 r.

Izolator i schron

Brak śniegu może oznaczać dla rolnictwa niższe plony. Narażone są uprawy ozime. Każde 30 mm wody zatrzymanej w opadach śniegu przekłada się na tonę zboża. Śnieg, zwłaszcza świeży, ma także właściwości podobne do wełny izolacyjnej. Najbardziej wytrzymałe pod względem termicznym żyto ozime wytrzymuje pod okrywą śnieżną do minus 30-32 st. Przy jej braku – nawet 10 st. mniej.

– Najkorzystniej jest, jeżeli rośliny są zahartowane, to znaczy temperatura jesienią stopniowo się obniża, gleba zamarza i na zamarzniętą glebę spada śnieg. Inaczej może doprowadzić do podduszenia roślin i porażenia pleśnią śniegową – wyjaśnia prof. Bogdan Kulig z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie.

Rośliny dobrze przetrwały tę łagodną zimę, gdyby jednak temperatury się obniżyły, to przy braku śniegu sytuacja mogłaby być katastrofalna. Oprócz przemarznięcia przy bezśnieżnej zimie roślinom grozi wysmolenie. – Suche, mroźne wiatry wiejące ze wschodu odciągają wodę z liści, dochodzi do zamierania komórek, liście przyjmują czarne zabarwienie, jak osmolone szczapy drewna – opisuje Kulig.

Brak śniegu może powodować gorsze przezimowanie nie tylko roślin, ale też organizmów pożytecznych, mikroflory czy mikrofauny glebowej, a także rozwój chorób. Wiele roślin zakwita wcześniej, przez co naraża się na przemarznięcie. W przypadku drzew owocowych straty mogą być ogromne.

Śnieg jest biotopem, czyli nieożywioną częścią ekosystemu, długość jego zalegania wpływa na okres wegetacyjny roślin. Zmiany w nim można zaobserwować nawet w górach, gdzie pod wpływem ocieplenia klimatu podnosi się granica pokrywy śnieżnej w okresie zimowym. W styczniu w Karkonoszach kwitła leszczyna, pojawiały się kwiaty, których nazwa zapowiada przedwiośnie: pierwiosnek wyniosły, przebiśniegi, śnieżyce.

Jeśli zimy będą coraz cieplejsze i uboższe w opady, to w Tatrach, do których należy odnotowany 15 kwietnia 1995 r. na Kasprowym Wierchu polski rekord wysokości pokrywy śnieżnej wynoszący 355 cm, w górę powędrują piętra roślinne z reglami i kosodrzewiną, ograniczając przestrzeń życiową jedynych w naszych górach reliktowych gatunków zwierząt związanych ze śniegiem i mrozem – kozic i świstaków.

Dla zwierząt śnieg bywa często schronieniem. – Kuraki budują jamy śnieżne, które jak igloo odizolowują je od wiatru i temperatury na zewnątrz, a także chronią przed drapieżnikami – opowiada Jan Krzeptowski-Sabała, przyrodnik i edukator z Tatrzańskiego Parku Narodowego. – Pod śniegiem toczy się też zimowe życie. Jego pokrywa ma znaczenie dla myszy i nornic, które pozostają aktywne przez całą zimę.

Ślady po tym sekretnym ekosystemie, zwanym *subnivium*, w postaci labiryntu korytarzy w trawie i na powierzchni gleby znajdujemy po roztopach. Ale śnieg bywa też wrogiem. „Małe zwierzęta chroniące się w *subnivium*, czyli w śniegu lub pod nim, zostają niekiedy uwięzione pod lodową skorupą, gdy słońce stopi wierzchnią warstwę, która w nocy zamarznie – pisze w książce „Zimowy świat" amerykański biolog Bernd Heinrich. – Ryjówki, które wyjdą na lodową skorupę, a potem nie odnajdą w porę dziury prowadzącej do azylu, giną porwane przez drapieżniki lub po prostu zamarzają".

Tegoroczna nieobecność śniegu wpisana jest w jego naturę, niestabilną i kruchą, podlegającą ciągłemu przeobrażeniu, w wyniku której fantastyczne gwiazdki zmieniają się w okrągłe ziarna lub kryształy w kształcie kielichów.

Dla żyjących na północy drapieżników – lisów, łasic, sów – polowanie na gryzonie żyjące pod śniegiem jest jedyną szansą na przetrwanie w surowym klimacie, kiedy samo przebrnięcie przez zaspy bywa niemożliwe. Innym zwierzętom śnieg utrudnia jednak zdobywanie pożywienia. Jeszcze inne, żyjące w górach – w Tatrach to często kozice – padają ofiarą lawin. Ale dla młodych kozic wiosenne płaty śniegu są polem harców i gonitw. – Widziałem też świstaki zjeżdżające na takim płacie śniegu. Dla zwierząt, dla których plus 15 to już upał, jest to zarówno zabawa, jak i chłodzenie – mówi Krzeptowski-Sabała.

Kształty radości

Nasze zabawy na śniegu można uznać za atawizm. Śnieg budzi radość, od czasu gdy w dzieciństwie smakowaliśmy jego płatki jak śmietankowe lody. Taką radość widziałem w oczach studentów z Arabii Saudyjskiej, którzy podczas wycieczki na Kasprowy Wierch, w wyjątkowo chłodnym czerwcu, po raz pierwszy w życiu zobaczyli padający śnieg, a także w zabawach mnichów z zakonu kartuzów, zjeżdżających na butach i turlających się po śnieżnym stoku w scenie z dokumentu „Wielka cisza".

Śnieg ma swoje tajemnice. Chyba każdy słyszał opowieść o tym, że nie ma dwóch takich samych płatków śniegu. To przekonanie panuje od 135 lat, odkąd Wilson Alwyn Bentley jako nastolatek zaczął łapać śnieżynki. Zajmował się tym przez 40 lat, oglądał je pod mikroskopem, opisywał i fotografował. Sam zresztą zauważył, że nietrudno znaleźć niemal identyczne, a naukowcy rozróżniają dziś ponad 6 tysięcy kształtów płatków. Ich sześciokątna formę zauważył już w połowie XVI wieku pastor Olaus Magnus z Uppsali, a w 1610 r. opisywał Johannes Kepler.

Ich życie rozpoczyna się wysoko w chmurach. Do powstania śnieżynki potrzebna jest woda, niska temperatura i jądro kondensacji – rusztowanie, do którego w wyniku resublimacji, czyli przejścia pary wodnej w lód, dołączają kolejne cząsteczki wody.

Przy dużym mrozie płatki są małe, mają kształt gwiazdek i składają się w 90 proc. z powietrza – to wymarzony przez narciarzy lekki puch. W łagodnych temperaturach są większe, tworzą wilgotny i ciężki śnieg, bardziej niż do jazdy na nartach czy desce nadający się do bitwy na kulki śnieżne czy lepienia bałwana. A teraz rośnie w Polsce pierwsze pokolenie, które nie zna tych zabaw, podobnie jak znaczenia innych słów związanych z obecnością śniegu, takich jak kulig, sanna, odwilż, roztopy, śnieżyca czy zawieja.

Być może tegoroczna nieobecność śniegu wpisana jest w jego naturę, niestabilną i kruchą, podlegającą ciągłemu przeobrażeniu, przemianom niszczącym i budującym, w wyniku których fantastyczne gwiazdki zmieniają się w okrągłe ziarna lub kryształy w kształcie kielichów. Kierunek tych przemian, temperatura i wiatr wpływają na konsystencję, miąższość, stabilność pokrywy. Przekonanie, jakoby Eskimosi, czy raczej Inuici, posiadali 50, 100 lub 200 określeń na śnieg, to legenda miejska. Jednak rzeczywiście najbogatszym słownictwem związanym ze śniegiem mogą pochwalić się języki ludów Północy, choćby lapońskie, w których językoznawcy znaleźli około 300 określeń rodzajów śniegu, śladów na nim oraz śnieżnego otoczenia.

W Polsce gatunki śniegu rozpoznają głównie specjaliści od klimatu i pogody oraz pasjonaci gór. Narciarze trasowi najczęściej dzielą śnieg na naturalny i sztuczny, mokry i suchy, świeży i ubity; ci jeżdżący poza trasami potrafią rozróżnić puch świeży od zsiadłego, koszmarną do jazdy szreń łamliwą od wymagającej lodoszreni, znaleźć w górach śnieg ziarnisty, jak i najbardziej pożądany wiosną, aczkolwiek przy obecnych zimach rzadziej spotykany firn.

„Gips, boraks, gangle, sparszywiały śnieg odwilżowy, złączony z podłożem czy lecący na dźwięk ludzkiego głosu? Gdyby pierwsi narciarze wiedzieli więcej o kaprysach tatrzańskiego śniegu, kto wie, czy narciarstwo w ogóle by się rozwinęło" – pisali w książce „W stronę Pysznej" Stanisław Zieliński i Wanda Gentil-Tippenhauer.

Groźny esteta

Tęsknota za śniegiem sprawia, że staje się on dziś coraz cenniejszy. Rosną koszty produkcji sztucznego śniegu w niżej położonych stacjach narciarskich, narciarze coraz częściej podejmują podróże już nie tylko w Alpy, ale też do Gruzji, Skandynawii, a nawet na Syberię, do obu Ameryk i Japonii. I coraz częściej orientują się, że podróżując dla własnej pasji, przyczyniają się także do jej śmierci.

– Narciarstwo, szczególnie freeride'owe, powoli zmienia oblicze. Heliskiing, kiedyś królewska forma narciarstwa, choć nadal będący cichym marzeniem wielu, jest coraz krytyczniej postrzegany. Najpopularniejsza forma transportu na szczyt to teraz własne nogi, i to nie tylko ze względów ekonomicznych – mówi Piotr Śnigórski.

Śnieg może izolować, odcinać od świata jak choroba, a nawet zabijać. W Polsce lawiny zagrażają tylko turystom i narciarzom – we wschodniej Turcji co najmniej 38 osób, pasażerów busa oraz ratowników, zginęło w lutym w dwóch lawinach.

W tej samej części Turcji, w odciętym od świata przez wielkie śnieżyce mieście Kars, rozgrywa się akcja powieści Orhana Pamuka „Śnieg" (przeł. Anna Polat). „I jak we śnie płatki śniegu wciąż padały, bezszelestnie, a mężczyzna siedzący przy oknie, zapatrzony w ich baśniowe kształty, poczuł oczyszczającą moc niewinności, ulgę i wolność, których szukał od lat. Uwierzył, że może być w tym świecie bezpieczny jak w domu" – pisze Pamuk.

Bo śnieg to także poczucie ciepła i bezpieczeństwa, powrót do krainy dzieciństwa, do tego, co baśniowe. Rozbudza wyobraźnię, zarówno poprzez kształty, które tworzy oklejając drzewa i krzewy, jak i przez zjawiska takie jak pył diamentowy, który przy dużym mrozie tworzy słupy świetlne. Biel śniegu daje światło, które w krótkie zimowe noce poprawia nasze samopoczucie, a na Północy umożliwia w ogóle przetrwanie nocy polarnych. W naszym krajobrazie śnieg kryje brzydotę, przestrzenny nieład i bałagan, w alpejskich wioskach podkreśla harmonię drewnianych domów, lasów i pól.

W ALPACH ŚNIEG POWRÓCIŁ i była to najpiękniejsza zima tej zimy na przedwiośniu. Zwłaszcza we Włoszech. Niedługo po tym, 10 marca, z powodu pandemii choroby COVID-19 sezon został zamknięty. Ale internetowe kamery wciąż nadają obrazy na żywo z pokrytego bielą, słonecznego, niedostępnego świata. Dwuznaczne piękno katastrofy.

Nietknięte pofałdowane baranki tras na Grosté w Madonna di Campiglio, w marcu zwykle pełne narciarzy. Nieskazitelne białe łąki Alpe di Siusi. Zdziczałe pochyłe ogrody Val Gardeny. Opuszczone Livigno. Olimpijski spokój Sestriere. Na myśl przychodzi znowu Pamuk i jego „milczenie śniegu".

© BARTEK DOBROCH

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wydania specjalne „Tygodnika" w formie e-booków
do końca marca taniej o 30%
Więcej na powszech.net/ebooki
weź, czytaj!
TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

ANDRZEJ

Stasiuk:
Pusto

Zostań w domu, zostań w domu – proszę bardzo. Akurat ta obywatelska czynność przychodzi mi z łatwością. Z tego okna wyjrzeć, z tamtego, ze wszystkich stron widok na kraj tradycyjnie udręczony się roztacza. Ruscy, Niemcy, modernizm, postmodernizm, hitleryzm, komunizm, kapitalizm, elgebetyzm, i teraz zaraza. I wszystko z zagranicy. Pamiętam jak w dzieciństwie u dziadków na wakacjach trzeba było nocą przejść przez choleryczny cmentarz. Krzyż tam stał w ciemnościach. Ciarki po plecach chodziły. I ta nazwa: „choleryczny". Tajemnicze to było i przeklęte jakieś. Jak z najczarniejszej baśni. A teraz COVID-19. Gdzie te śniegi niegdysiejsze.

No ale już nie mogłem. Ile można wyglądać przez okna na kraj, ile można fotografować przylatujące akurat ptactwo, ten drobiazg ucieszny: kopciuszki, raniuszki, pliszki, gąsiorki i całą resztę idiotycznie świergotliwą, gdy tutaj pandemia i pandemonia. Ile można pisać o tym powieści i felietonów dla „Tygodnika"? Ile można w kółko oglądać wschody i zachody słońca? Nie mogłem i pomyślałem, że jednak wyjdę do ludzi. Zgodnie z zaleceniami krajowej administracji bardzo ostrożnie. Czyli w moim przypadku samochodem. Tak, mam ten niedostatek umysłowy, że traktuję swój samochód jak drugi dom. Wożę w nim nawet kuchenkę turystyczną, żeby zrobić sobie kawę, wożę śpiwór, karimatę i namiot. „Nie wychodź z domu, nie wysiadaj z auta" – tak sobie zmodyfikowałem zalecenie. Oczywiście miałem moralny dylemat, bo ostatnio coraz więcej słychać głosów, że ludzie strasznie żałują, że wcześniej tyle jedli, latali samolotami, pili kawę z Hondurasu po 60 zeta filiżanka oraz kupowali sobie codziennie garsonkę, ale teraz się poprawią. W średniowieczu flagelanci postępowali całkiem podobnie. No ale pojechałem, obiecując sobie, że potem już nie będę jeździł, ani kupował sobie tych garsonek.

Ach, jak pusto było. Jak we śnie mizantropa. Siódma rano i żadnych aut, żadnych rodaków. Przypomniały mi się dni młodości, kiedy mieszkałem w Warszawie. Bardzo wtedy lubiłem wychodzić na miasto w dniach, gdy graliśmy mecze międzypaństwowe. Albo gdy telewizja podała informację o wynalezieniu bomby neutronowej, która miała niszczyć jedynie siłę żywą, a resztę pozostawiać w jakim takim porządku. Zwierzam się tutaj Państwu z najczarniejszych tajemnic mojej młodzieńczej duszy, ale czyż czas zarazy nie jest najlepszym momentem na taką właśnie spowiedź?

Jechałem na wschód, w stronę Bieszczad, i łapałem w radiu religijne stacje. W każdej z nich chóry intonowały „Święty Boże". Wiadomością dnia był fakt, że prezes udał się do kościoła i nic mu się nie stało. W eterze pachniało apokalipsą.

W Żmigrodzie wjechałem na krajową dziewiątkę. Rumuńskie i bułgarskie tiry gnały niczym bałkańskie smoki i lewiatany przez wyludnioną krainę, mając w nosie wszystkie przepisy. Bo któż miałby strzec szos, skoro trzeba było pilnować po domach zadżumionych na kwarantannie. Wyprzedzali się nawzajem pod górkę na podwójnej ciągłej. Nawet mi się to podobało. Ten Mad Max na ziemi jasielsko-krośnieńskiej. I to w Wielkim Poście. Jak też będzie wyglądała Wielkanoc, zastanawiałem się, czujnie zerkając we wsteczne lusterka. Czy Pan zmartwychwstanie samotnie? Tak jak na początku? W tajemnicy? Przy pustych trybunach? Wśród garstki najwierniejszych stojących od siebie w dwumetrowych odległościach?

W słynnej skądinąd Tylawie zjechałem do wiejskiego sklepiku, uzupełnić domowe zapasy. Miejscowy areopag na przekór czasom był już na miejscu. Starodawni z wyglądu, o twarzach udręczonych minioną nocą, w nieśmiertelnie burych barwach, sączyli harnasia albo wojaka, dzieląc się najnowszymi wieściami. Wśród nich uwijał się właściciel i spryskiwał odkażającym sprejem koszyki. „Pana też poproszę – powiedział wskazując butlę z płynem na ladzie. – Bo przecież jakoś musimy żyć, prawda?". Skinąłem głową i wykonałem dobrze znany gest, powracający teraz w wielkim stylu. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

REKLAMA

OFERTA SPECJALNA

w księgarni internetowej **znak.com.pl**

dla Czytelniczek i Czytelników
Tygodnika Powszechnego

40% rabatu na wybrane tytuły

Promocja dostępna na stronie **znak.com.pl/tp75**

REKLAMA

ALFA ROMEO **STELVIO** W ABONAMENCIE BEZ WPŁATY WŁASNEJ
OD **1680 ZŁ** NETTO/MIES. SPRAWDŹ NA ABONAMENT.ALFAROMEO.PL

Wynajmujący: Leasys Polska Sp. z o.o. Oferta wynajmu jest skierowana wyłącznie do przedsiębiorców. Rata wynajmu 1680 PLN netto dotyczy samochodu Alfa Romeo Stelvio Executive 2.0 GME 280 KM AT Q4 w umowie na 36 miesięcy, z limitem 10 000 km rocznie, bez wpłaty własnej. W racie zawarte jest ubezpieczenie OC. Szczegóły promocji są dostępne u autoryzowanych dealerów Alfa Romeo. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu przepisów kodeksu cywilnego i ma charakter wyłącznie informacyjny. Rzeczywisty wygląd i cechy pojazdu mogą się różnić od prezentowanych w materiale reklamowym. Emisja CO_2 dla Alfa Romeo Stelvio: 183-187 g/km, zużycie paliwa: 7,9-8,1 l/100 km. Szczegóły i informacje dotyczące spełniania wymogów ochrony środowiska dostępne u dealerów sieci FCA Poland.

LEASYS
FCA BANK GROUP

ALFA ROMEO **STELVIO**

La meccanica delle emozioni

ALFA ROMEO